O MIŁOŚCI OJCZYZNY.

Nauka druga

miana w Rzymie

w Poniedziałek Wielkanocny

(dnia 24 Marca 1864 r.)

Najmilsi bracia!

Kiedym do was po raz pierwszy w tym roku mówił, patrząc na was patrzyłem na przedstawicieli nieszczęśliwego narodu naszego, i mówiąc do was miałem zamiar mówienia i mówiłem do całego narodu. A mówiłem słowami Ojca świętego, najwyższego i najprawdziwszego Ojca tegoż naszego narodu, Ojca wszystkich narodów, bo zastępcy tu na ziemi Stworzyciela i Boga, króla i rządcy ich wszystkich. I słowa te Ojca świętego nie były to słowa ogólne jakie, powiedziane na wszelki przypadek, i odnieść się mogące do wszystkich bez różnicy. Były to owszem słowa szczególne i bardzo szczególne, powiedziane do nas, powiedziane do narodu polskiego; żywe jego imieniem, jego cierpieniami, jego nieszczęściem. Były to słowa pociechy i nadziei, otuchy i mocy. Mówił nam żeśmy synami matce naszéj Kościołowi dobrze zasłużonymi, i w tém słowie była zaiste pociecha; mówił że nam Bóg Najwyższy dał posłannictwo do spełnienia, i w tem słowie była nadzieja; mówił nam żebyśmy nie ustawali, i owszem coraz silniéj trzymali sztandar wiary, tego posłannictwa naszego, i w tem słowie była otucha; mówił i rozkazywał aby świat cały Chrześciański modlił się za nas, i w tem słowie była moc; pociecha, nadzieja, otucha, moc, najczystsza, najwyższa, nie-

zrównana. Świat nam nic podobnego dać nie mógł. Ten głos modlitwy, który z milionów i milionów piersi podniósł się z ziemi do tronu Bożego, a któremu tam przed nim wtórowało niebo całe, ten mówię taki głos, wołający o pomoc do Boga, to dopiero siła, to potęga, któréj wielkość mierzyć się może jedną tylko wszechmocnością Bożą.

Atoli mimo to ten Bóg wszechmocny a dobry a miłosierny, zdaje się jednak że ręki dotąd nie wyciągnął jeszcze na ocalenie nasze. Klęski się pomnożyły, cierpienia z dnia na dzień boleśniejsze, skruszenie większe i coraz większe, nieszczęście granice i miarę przerasta, a Bóg zdaje się głuchy na wołanie nie już nasze, ale świata całego! Cóż to? Czy już twarz Swą odwrócił i rękę usunął, i kazał aby rzeczy szły ślepym, przyrodzonym swym torem i toczyły się same do koniecznych następstw i do ostatnich przepaści? I czy nas czeka nieuchronna ostatnia zagłada?

Niech komu drży serce, kto niema wiary w Boga; niech sobie dłonie załamuje kto nie wierzy w słowo i w modlitwę Kościoła. Ja powtórzę com pierwszą razą powiedział: narodzie polski! nie lękaj się: ty żyjesz i żyć będziesz; sobie samemu nie wierz, kiedy ci się będzie zdawało że umierasz; tyś nieśmiertelny, bo ty masz posłannictwo od Boga, i to ci mówi Kościół, i to ci mówi Bóg sam. Więc nie lękaj się i dzisiaj, i nie wierz, aby to już była chwila ostatnia twoja. Ale i dzisiaj dodam com wtenczas dodał: Tylko na miłość Boga, o narodzie polski! bądź wierny temu właśnie posłannictwu twemu, o którem ci Bóg i Kościół mówi, temu posłannictwu, w którem leżą wszystkie warunki twego życia i rękojmie twojéj tu na ziemi nieśmiertelności. Ach, narodzie polski! bądź wierny posłannictwu twemu.

A czyś doprawdy wierny? ja cię nawet o co mniejszego zapytam: czy rozumiesz przynajmniéj, czy wiesz dobrze jaki jest ten charakter, jakie jest to posłannictwo Boże, o którem Ojciec święty mówił i mówi do ciebie? Narodzie polski! Stał się do ciebie głos Boży; uderzyła w twe uszy trąba jego archanioła na ziemi: czy ty to wołanie rozumiesz? czy głos téj trąby umiesz rozpoznać? Bóg do ciebie przemówił, Swoje słowo do ciebie przysłał. Czy wiesz, że teraz inne twoje sumienie niż było przed chwilą? inaksza i nieskończona przed Bogiem odpowiedzialność? Ty musisz poznać ten głos Boży, ty musisz iście zrozumieć to jego słowo do ciebie; Bóg darmo nie przemawia, i twoim najświętszym dzisiaj obowiązkiem, zrozumieć, co On tobie mówi, zrozumieć jaki twój charakter i jakie posłannictwo od Boga ci dane. Ta jest, mówię, dzisiaj twoja pierwsza najświętsza powinność, tak jak drugą będzie

abyś wypełnił to co poznasz i zrozumiesz, to właśnie słowo Boże i to dzieło Boże.

A więc pytam się o to właśnie, nie już czyś wierny? czyś się wziął do dzieła? czy je spełniasz jak należy? ale pytam się o to naprzód i przedewszystkiem: czy wiesz? czy rozumiesz? czy czujesz? czy masz oczy otwarte? rozum jasny? serce obudzone? i czyś już przynajmniéj gotów do dzieła?

I to jest, o czem właśnie przychodzę dzisiaj mówić do was. Powiem wszystko co w sobie zamyka głos Ojca świętego o nas i do nas powiedziany, a jak oddam wiernie i jasno za łaską Bożą wszystko co w sobie zamyka, dopełnię i ja posłannictwa mego, i tylko jedno wtedy nam pozostanie, prosić Boga, aby dał błogosławienstwo temu słowu Swojemu, i aby ono przyniosło zbawienie, które się w niem jednem zamyka. Prośmy Boga wszyscy o tę łaskę!

I.

Nim do saméj rzeczy przystąpimy, powtórzmy raz jeszcze proszę to słowo, które mamy tłómaczyć, to mówię słowo Ojca świętego, które dzisiaj już tylko jedno nam pozostało, powtórzmy je z uszanowaniem i ze czcią religijną.

„Wolą jest Ojca św., tak mówi, aby czyniono szczególne „modlitwy za nieszczęśliwą Polskę, którą z boleścią widzi, że „się stała w téj chwili bojowiskiem rzezi i krwi. Naród pol„ski był zawsze katolickim, i był jakoby przedmurzem prze„ciwko najazdowi fałszu, a więc zasługuje, aby się modlono „za niego, żeby był uwolniony od bied, które go przygniata„ją, żeby nie stracił nigdy swego charakteru, ale żeby się „zachował zawsze wierny temu posłannictwu, które mu Bóg „powierzył, i żeby nie tylko strzegł (jakokolwiek), lecz aby „zachował nietykalny i niepokalany, i to za jednomyślną zgo„dą wszystkich synów tego narodu, sztandar wiary katolic„kiéj i religii swoich Ojców.“

Najmilsi! Oto posłyszéliście na nowo głos Ojca świętego, poznaliście go na nowo, i po samym wdzięku zrozumieliście go lepiéj niż kiedy. Nie będę wam powtarzał objaśnienia, z jakiem się do was wtedy odzywałem, dziś nie o nie mi chodzi. Z resztą ono całe w tém się zamykało, że według Ojca świętego naród polski był katolickim, w tem cała jego chluba i wielkość, zachwiał się, w tem całe jego nieszczęście i przyczyna nieszczęść, ale na nim spoczywa jednak ten charakter i to posłannictwo, być katolickim i żyć i czynić po katolicku, i w tem cała jego nadzieja, a w tem znowu cały obowiązek

aby nie stracić tego charakteru, i aby posłannictwo to odzyskać; w tem nareszcie cała moc i całe życie na przyszłość, aby ten święty sztandar swych Ojców, sztandar wiary i religii katolickiéj czysty i niepokalany podnieść wysoko, i bronić go dzielnie a jednomyślnie. Narodzie polski! być katolickim, to wszystko dla ciebie! Oto słowo które słyszałeś.

Ale teraz: co to jest być katolickim? Oto słowo, które masz posłyszyć.

Co to jest być katolickim? To pytanie w innych czasach mogłoby się może wydać zbytecznem, może nawet krzywdzącem; ale dziś nie tak. W tem zamąceniu wszystkich wyobrażeń w jakiem żyjemy, jest to pytanie nawet potrzebne, nawet konieczne. Ach! bo nam się mylić nie można. Nam nie można byle jak być katolikami; — właśnie w tem bieda nasza i nieszczęście, żeśmy byli byle jakiemi. Nam potrzeba być istotnie, prawdziwie, gruntownie katolickim narodem.

Cóż to jest tedy być katolickim? Nim wam na to pytanie w szczególności odpowiem, muszę wam wprzódy wielką rzecz wypowiedzieć, wielki czyn zatwierdzić i wykazać; rzecz i czyn, które stanowią treść historyi dzisiejszego czasu, treść obecnéj chwili, téj w któréj żyjemy; a więc rzecz i czyn niesłychanéj wagi; a które jednak nie jednemu na myśl się nie nasuną, nie jednemu może samo ich przypuszczenie dziwnem się wyda. A ta rzecz i ten czyn są następne: że dziś na świecie, i oddawna, a jeżeli chcecie od samego początku, tylko dwie są sprawy, które między sobą istotny i wierutny, to jest nigdy nieprzejednany boj wiodą, tylko dwa obozy, do jednego z których wszyscy wojujący nareszcie przejść muszą, i tu lub tam ostatecznie zatknąć namioty; dwie mówię sprawy i dwa obozy: katolicki i przeciw katolicki.

Wojna powiedziałem tu kiedyś, jest na porządku dziennym naszego czasu; gdzie się jeno w przestrzeni dzisiaj obrócisz wojna i wojna, i gdzie znowu w czasie myślą zasiągniesz i tuż za nami z tyłu, i przed nami na przyszłość także wojna, i końca jéj nie widać, tak jak niewidać granic. Nawet tam, gdzie jéj niby nie ma, tam nawet huczy i szczęka; tyle wszędzie zbroi i zbrojnych; jak gdyby chciała mówić: Nie jestem, lecz będę! Ale czy wiedzą ci wszyscy, czy wie ta wojna sama o co się ona toczy lub toczyć będzie? Nie sądzę, a przynajmniéj nie wie tego jasno i na czyste. Bo gdyby wiedziała każda ze stron wojujących na co się obróci ostateczny wojny wypadek, możeby nie było tyle krwi nadaremnie prze-

lanéj. Ale i to należy do prób i klęsk i kar i oczyszczeń biednéj ludzkości, że się omyli i w wojnach i w przyczynach wojen, tak jak się myli w czem innem. Opatrzność atoli nad wszystkiem czuwa i nie daje zbaczać ostatecznym następstwom. Te następstwa zawsze do swego celu trafiają, prowadzone przez nieomylną téj Opatrzności rękę; a te końcowe cele wszystkich wojen na tem świecie dwa tylko; te o których mówiłem, upadek lub podniesienie, podniesienie lub upadek, według tego jak to wchodzi do najwyższych zamiarów, jednéj lub drugiéj z onych spraw naczelnych jednego lub drugiego z owych obozów, to jest katolickiego lub przeciw katolickiego; lecz tak postawione i tak prowadzone oną najwyższą ręką te zmienne koleje téj wojny, że wszystko nareszcie skończy się zupełnym tryumfem jednego, a zupełną drugiego zagładą: tryumfem Bożego dzieła, a zagładą dzieła przeniewierstwa i bezbożności. I ten będzie ostatni koniec. Ale tymczasem wojna, i w téj wojnie, jak powiedziałem, tylko dwie sprawy, i tylko dwa obozy.

Z téj wysokości patrząc na biedne ludzkie waśnie, i na ich krwawe a żałosne swary, na ich zajadłe boje, na ich wiekowe nienawiście i bezlitościwe wytępiania się, jakieś smutne uczucie opanowywa duszę. To co powiedział Chrystus na krzyżu o Swoich nieprzyjaciołach w chwili kiedy oni nad Nim swój krwawy odprawiali tryumf: Ojcze odpuść, bo nie wiedzą co czynią! jakże o wielu możnaby i trzebaby powtórzyć, o tych często co najzajadléj się srożą w tych naszych codziennych wojnach. Pod pozorem rozmaitych, jakoby słusznych i świętych powodów i przyczyn, podnoszą rękę świętokradczą na to co jedynie jest słusznego i świętego na ziemi. Raz w imię jakiejś świeckiéj i ludzkiéj sprawiedliwości, w imię krzywdy lub prawa, w imię sławy, honoru, racyi stanu, polityczněj konieczności, w imię nawet handlu, lub interesu często ladajakiego, ale zawsze w imię czegoś, co jeszcze uszy ludzkie nie razi ostatecznie, co ma jakiś pozór słuszności, rzucają się na to, co bliżéj lub daléj do Chrystusa, i do Boga się odnosi, i nie wiedząc co czynią, sprawiają dzieło zatracenia. Inny raz znowu w imię praw ludu, w imię narodowości, na to samo się rzucają, rozumiejąc że wszystko co od ludu wychodzi, co się narodowości tyczy, już tem samem jest święte, i choćby tam sam Bóg był z drugiéj strony, ustąpić musi. Niebaczni! zapomnieli że i Hunny były narodowością i Tatarzy narodowością, i Kurdy czciciele szatana są niemniéj narodowością, i Żydzi zabójcy Boga są narodowością także, i jeszcze jaką narodowością! jak drugiéj nie było i nie będzie. Zapomnieli lub nie wiedzieli, że nie narodowość uświęca sprawę,

ale sprawa uświęca narodowość. Zapomnieli lub nie wiedzieli; i dla tego zamiast uświęcić narodowość oddając ją świętéj sprawie, na świętą sprawę biją w imię narodowości, gotowi dla niéj samego zastępcę Bożego na ziemi przybić do krzyża, i jeszcze się cieszyć z dokonanego dzieła. Nieszczęśliwi! wielu z nich wie co czyni, o tych nie mówię, ale większa część nie wie, i gdyby się im kiedy powiódł ich zamiar ojcobójczy, i udało się im czego chcą: ukrzyżować mówię Ojca świętego, i wtedy jeszcze zastępca Chrystusowy mógłby jak sam Chrystus ze swego krzyża zawołać do Boga: Ojcze odpuść im, boć nie wiedzą co czynią!

Boże wielki, co za chaos, co za zamięszanie! Jaka to nowa wieża Babel! Tylko niestety nie języki się tu mięszają, ale miecze i ciosy; i nie w powietrzu ta wrzawa się odbija, ale w sercach i duszach, w społeczeństwie całem wzburzonem i rozsrożonem na siebie; i nie ulata z wiatrem, ale spływa ze krwią do ziemi, i sieje po niéj trupami. Boże wielki co za okropny widok! I nie w tem jeszcze jego okropność że tu śmierć i trupy i mogiły; ale w tem zaiste, że tu takie zamięszanie, takie przewrócenie wyobrażeń, sądów, zasad, że tu tak machają ciosami na ślepo, biją nie wiedząc za co i na co, wrzeszczą, aby tylko zakrzyczyć, pienią się, aby tylko zaplwać, szarpią aby tylko podrzeć i zniszczyć! Ach Panie! nie wiedzą, nie wiedzą co czynią! Ale Panie to najsmutniejsza iż mówią że wiedzą. Kiedy to słyszę, tedy mię już nadzieja odbiega. Być w takiem zaślepieniu i w takim odmęcie, i mówić że się widzi jasno i że się czyni dobrze, to już chyba ostatnie zatracenie, i ostatnia rozpacz! Ten widok iście smutek, i smutek smutków!

Czy to ja do nas samych mówię, czy do innych! I do innych i do nas. Dzięki Bogu! Do téj ostatniéj rozpaczy i do tego ostatniego smutku może u nas jeszcze nie doszło. Dzięki Bogu! Ale nas jednak te klęski na około otoczyły, i grożą nam, i trzeba dobrze rozpoznać skąd to złe przychodzi, i na czem się ono właściwie zasadza. To złe całe w tem leży, że się nie wie i nie zważa na to, iż tylko dwie sprawy są na tym świecie: sprawa Boża, którą jest sprawa Kościoła katolickiego, i sprawa szatańska, którą jest wszystko co tamtéj przeciwne. I znowu to złe w tem leży, że się nie uważa iż każdy musi, chce czy niechce, do jednéj z tych spraw należyć, a zatem że powinien należyć do sprawy Bożéj, czyli do sprawy katolickiéj. I następnie w tem złe leży, że się nie rozciąga

tego tem bardziéj do narodów; że się raczéj uważa naród za coś co samo w sobie sprawę jakąś stanowi; a tu nie ma spraw dziesięciu lub dwudziestu na tym świecie, tylko dwie, i tak jak każdy człowiek, tak i każdy naród, musi do jednéj z tych spraw należyć; a powinien należyć do Bożéj sprawy, i być katolickim. Więc złe w tem leży, iż się przypuszcza że sprawa narodowa jest sama w sobie świętą; kiedy ona tylko wtedy jest świętą gdy jest katolicką. Nie trzeba się mylić! sprawy narodów w obec prawdy, w obec sprawiedliwości, w obec Boga, tym samym podlegają warunkom i temu samemu zakonowi co i sprawy pojedynczych ludzi. Jak człowiek pojedynczy staje się przeniewiercą przeciw Bogu naprzód umysłowo, kiedy się staje heretyckim, potem w sercu gdy zostanie wszetecznikiem, nareszcie w życiu całem gdy się stanie zbrodniarzem i łotrem, jednem słowem gdy we wszystkich dziedzinach życia przestanie być Chrześcianinem, a kiedy mówię Chrześcianinem, jednego tylko rozumiem katolika; tak naród każdy jest przeniewiercą przeciw Bogu gdy to samo uczyni: gdy nie strzeże zakonu Bożego w każdéj z tych dziedzin życia społecznego; i jak człowiek pojedynczy traci prawo do życia, gdy jego zbrodnie dojdą do pewnéj miary, tak i naród. Dla pojedynczego człowieka jest sprawiedliwość ludzka; narodów sprawy idą przed trybunł Boży, i tam Opatrzność pisze dla nich sama wyroki.

Otóż złe w tem siedzi, że się téj najgłówniéjszéj prawdy nie uznaje, i że się bez niéj żyje, działa, postępuje, a co gorzéj walczy się i wojuje. I to jest przyczyną owego zamięszania i owéj ostatecznéj nieszczęśliwéj doli ludzi i narodów, która na około nas się rozgospodarowała i już do nas kołace. Już i u nas mięszają się wyobrażenia i sądy, uczucia i zamysły; już i u nas chcą wojować na ślepo, w imię swoje własne, na rzecz praw człowieka tylko, na korzyść materyalnego jakiegoś narodu, złożonego choćby z pogan, choćby z przeniewierców; już i u nas rozdzielają sprawę narodową od sprawy Religii, naród od Boga, Polaka od katolika. Wołają, niemądrzy! przed ludami odchrześcianionéj Europy, przed wyobrazicielami i narzędziami téj saméj sprawy antichrześciańskiéj, przeciwkatolickiéj, z którąby powinni byli wieczny rozbrat uczynić już dla tego samego że Polacy; ale oni wołają przed temiż samemi nieprzyjaciołmi i Boga i swemi, wołają że nie są Ultramontanami, to jest że nie są katolikami! I udają jeszcze że nie wiedzą iż to, to samo znaczy, że w języku tych ludzi, do których mówili właśnie Ultramontaninem nazywa się katolik. Myślą że zmieniając słówka uratują językiem, to co ciężką ręką do przepaści wrzucili. Ale czyn czynem, a słowo

słowem. Więc są między nami, co się katolicyzmu w imieniu narodu wyrzekli i wyrzekają, są co nie chcą aby sprawa polska była sprawą katolicką. Niewiem czy wiedzą co czynią, ale czynią, więc niechże to co czynią, już raz wiedzą. Oto chcą wtrącić biedny ten nasz naród jeszcze do cięższego nieszczęścia; odebrać mu jego ostatnią, jego jedyną nadzieję i siłę, i tak bez tarczy, bez zbroi, bez miecza, bez podpory, bez siły, nawet bez przytomności, chcą zdradzonego haniebnie Samsona, oddać w ręce tych samych Filistynów, z którymi całe życie wojował.

Nie, na Boga, tak być nie powinno, tak zaiste nie będzie! To dopiero byłoby nieszczęście, to dopiero śmierć! nie ta, choć okrutna, ale pozorna, pod którą dziś jęczymy; ale śmierć prawdziwa i ostateczna, z któréj niema zmartwychwstania. Nie, na Boga! tak nigdy nie będzie; i właśnie aby nie było, modli się świat katolicki na głos Ojca świętego; i dla tego że się modli, dla tego właśnie nie będzie tego nigdy. Żyje Bóg, który karci, ale i zbawia, sprowadza do piekieł, ale i wyprowadza. (Tob. 18.) Żyje Bóg, Zbawiciel nasz i pocieszyciel, ratunek nasz i nadzieja nasza, On nas nie opuści, i nie da na pożarcie dusz wyznawających Jemu. (Psalm.) Żyje Bóg, ucieczka nasza i moc, i my nie zginiemy i my będziemy żyli! A ci co się dzisiaj przed narodami obcemi, i przed nieprzyjaciołmi Boga i Kościoła wyrzekają tegoż Kościoła, a więc i tegoż Boga, w imieniu Polski; mamy nadzieję że się wtedy w piersi uderzą, kiedy mimo nich i przeciwko nim, Bóg ich naród uratuje; mamy nadzieję, iż wtenczas powiedzą że są katolikami, katolikami prawdziwymi, to jest rzymskimi, to jest ultramontańskimi. Lecz nim to uczynią pojmujecie, najmilsi, dla czego za nich my to już dzisiaj uczynić powinniśmy, i też choć bez gniewu i bez wyrzutu, ale ze smutkiem i z bólem duszy już dziś przeciwko nim występując czynimy. Pojmujecie najmilsi! Bo wszelkie zgorszenie musi być naprawionem, i za głośne wyparcie się sprawy Bożéj przez tych z synów narodu, którzy nie wiedzą co czynią, musi nastąpić głośne oddanie czci Bogu i świadectwa prawdzie ze strony tych, którzy wiedzą o co idzie, i co się święci. I cała moja mowa dzisiejsza dla tego jest tak stanowcza i tak jasna, żeć już raz przecie trzeba wiedzieć co się święci, raz wiedzieć o co idzie.

A więc teraz dobrze o wszystkiem wiecie i nie ma dwuznaczności. Idzie o to, o to właśnie co nam wypowiedział zastępca Boży na ziemi. Idzie o to aby Polska była jak zawsze katolicką, i lepiéj niż kiedy, aby była wierna temu charakterowi swemu, aby spełniła posłannictwo dane jéj od Boga, aby

chwyciła potężniejszą niż kiedy prawicą sztandar wiary i religii katolickiéj, i jako przedmurze nieprzełomne Kościoła broniła go a tem samem sprawy Bożéj na ziemi przeciw wszystkim bramom piekielnym. Niech to czyni, a żyć będzie. Niech to czyni, a sprawę Bożą podeprze i siebie samą ocali choćby ze śmierci i z grobu. Niech to czyni, a już nie będzie się lękała drugi raz umierać.

Oto, o co tu idzie! Powiedziałem: wylałem moję duszę, i teraz mi lżéj na sumieniu, swobodniéj na piersi; mogę wolno odetchnąć. Ach, oby tylko ten głos w tych murach się nie zamknął, aby szczególniéj nie odbił się marnie o uszy! Niech idzie, niech idzie tam gdzie go posyłam, niech idzie do serca narodu! Panie, Ty mu błogosław na drogę! Ty mu wstęp utoruj, Ty go sam wprowadź do umysłów, i Ty sam o Panie idź za nim i kończ go w duszach Twoją mocą i Twojem uderzeniem, Ty temu głosowi daj skuteczność i owoc stokrotny. Wszakże to Twój głos, iście Twój. Nicem nie zmienił ze słów namiestnika Twego. Twojemu słowu błogosław Panie! Niech rozproszy owe ciemności, zamęty, niepewnoście sobie przeciwne które się tam już wkradły, niechaj rozpędzi może jeszcze gorsze burze, zwątpienia, rozpacze, niedowierzania Tobie o Panie i słowu Twojemu i rozkazowi Twemu, które może tam już się srożą. Niech ratuje, o już czas Panie! niechaj ratuje! Wszakżeś Ty sam powiedział: słowo moje nie wróci do mnie próżne. A więc o Panie niech to Twoje słowo do narodu polskiego poniesie mu doprawdy pociechę i zbawienie, a wróci do Ciebie pełne jego szczęścia i pełne jego wdzięczności. Panie, Panie, to godne Ciebie dzieło i godne słowa Twojego!

Proszę jeszcze o uwagę. Zostaje mi odpowiedzieć wam teraz na to drugie pytanie: Co to jest być narodem katolickim.

II.

Zaprawdę nicby nam nie pomogło wiedzieć o co idzie, wiedzieć że trzeba być narodem katolickim, gdybyśmy nie wiedzieli co to znaczy: być narodem katolickim? I to najmilsi jest właściwie zadaniem dzisiejszéj mojéj mowy do was. Potrzeba było pierwéj poruszyć duszę do sprawy Bożéj; ale raz to uczyniwszy, pozostaje rzecz główna: pokazać na czem się zasadza ta sprawa Boża. I do tego przystępuję.

Lecz jakże? czy w dwóch lub trzech słowach będę mógł całą tę rzecz tak naprędce odprawić? A jednak o to będę się kusił, bo mi właśnie o to idzie abym jak najkrócéj, i jak

najzrozumialéj całą tę rzecz wystawił. Wszakże mówię do wszystkich, i tego pragnę aby ta mowa mogła zostać we wszystkich umysłach i sercach, na codzienny że tak powiem użytek. Owszem dalej idę; i chciałbym nie tylko w jak najkrótszéj mowie całą rzecz zamknąć; ale pragnąłbym ją uwydatnić we dwóch lub trzech wyrazach; tak, że powiedziawszy te trzy wyrazy wszechmocne, jużby tem samem ten co je wyrzekł, powiedział: i co katolik, i że on sam katolik.

I mam, mam te trzy wyrazy; dość mi będzie je powiedzieć abym wszystko co zamierzam już tem samem powiedział. Proszę o baczność! Oto wypowiadam te wyrazy: *Bóg*, *Chrystus*, *Kościół!* W tych trzech imionach cała rzecz katolicka, i zarazem cała różnica od tego co nie jest katolickie, od tego co jest przeciw katolickie.

Widzieliśmy owe dwie sprawy i dwa obozy, które świat rozdzielają. Teraz możemy na nie spojrzyć daleko jaśniejszym wzrokiem. Pospieszmyż i spojrzyjmy. Czy widzicie ten widok? Tu po prawéj stronie obóz Boży, wojsko wybranych, zastęp święty! Nie wielki wprawdzie, jeśli go z przeciwnym porównamy; ale jaki wspaniały, jaki cudowny, jaki niezrównany! Dosyć z tego widoku tylko jedną rzecz wam pokazać. Patrzcie na chorągiew: Biała jak śnieg, a jedna, jedna! Na niej złotemi, owszem słonecznemi głoskami wypisane właśnie owe trzy słowa święte: *Bóg*, *Chrystus*, *Kościół*. Dość spojrzyć na te słowa, na tę chorągiew, na to wojsko; aby zobaczyć że w tem godle jego siła i zwycięztwo. *Inhoc signo vinces*. W tym znaku zwyciężysz!

Ale teraz patrzmy na ten inny przeciwny widok. Z góry świętéj, zstąpmy w te doły, jaskinie, błota i trzęsawiska. Jaka niesforna tłuszcza! A chorągwi? ile tu chorągwi! Czy podołamy je przeliczyć? Lecz zaczekaj, jest sposób. Nie łudźmy się liczbą, barwą, postacią tych nieprzerachowanych chorągwi i chorągiewek: przypatrzmy się a zobaczymy że cała ta nieogarniona tłuszcza dzieli się na trzy mniejsze, choć także nieprzerachowane kupy. Najpierwsza, najliczniejsza, wszystkie inne na około otacza; to szermierze na pierwsze spotkanie, prostaczkowie, famulusy dobrej woli. Nad temi legionami legionów pierwszego rzędu jest jedna wielka chorągiew, spólna wszystkim pierwsza z téj strony; możemy czytać. Czytajmyż: *Bóg*, *Chrystus*, *ale nie Kościół*. Czy słyszałeś: nie Kościół? Wszak rozumiesz? Wszak rozumiemy dobrze? To jedno słowo wszystko mówi, i już znamy doskonale pierwsze szeregi naszych nieprzyjaciół. Idźmyż daléj.

Patrz, to hufce drugiego rzędu, mniejsze wprawdzie co do liczby, ale jeszcze massa straszliwa; nad wszystkiemi pro-

porcami tych drugich legionów znowu jedna wielka chorągiew; ale już różna od pierwszéj, chorągiew druga. Czytajmy co na niéj: *Bóg*, prawi, *ale nie Chrystus*, *ale nie Kościół*. Rozumiem, idźmy do końca. Tu już owi Tryaryusze dawnych legionów rzymskich, trzeciacy, wojownicy trzykroć potężni, sami śmiertelni zapaśnicy, wodzowie co śmierci rozkazy dają. Oni już nie mają kilku chorągwi; tylko jedna nad nimi powiewa; chorągiew trzecia; najczerwieńsza, a na niéj napis czarny, wzrok do ostatniéj przepaści wtajemniczający. Jużeśmy przeczytali: *Nie Kościół*, *nie Chrystus*, *nie Bóg!* A czyśmy już zarazem nie zrozumieli wszystkiego? Zdaje mi się, że tylko spojrzyć na ten obóz i na te jego chorągwie, a już widać całą treść złego, całą tajemnicę nieprawości, całe ono *mysterium iniquitatis*. Widzimy gdzie się złe poczyna, jak rośnie, i gdzie jego dno ostatnie. I znowu, przez oddziałanie ku stronie przeciwnéj, jeszcze lepiéj rozumiemy teraz tajemnicę dobréj strony i dla czego na jéj sztandarze koniecznie jest napisany: Bóg, Chrystus i Kościół. Ja od tego widoku jeszcze oczu moich odwrócić nie mogę, patrzyłbym i patrzył, tak mi patrząc wszystko wydaje się jasném, zrozumiałém, przytem gwałtownem, koniecznem a nareszcie i nad wszystko uroczystem i straszliwem. I pierś mi się wzdyma, i wstaję stokrotnie z coraz nową siłą, i wołam głosem coraz pełniejszym przekonania i prawdy: Ach biada! biada tym co walczą pod chorągwiami przeciwników bożych: O najmilsi! chodźcie wszyscy tu gdzie Bóg i gdzie sztandar Jego!

Więc wróćmy do tego sztandaru i już tylko na ten jeden patrzmy, i zrozumiemy ostatecznie to hasło, które on nam podaje: Bóg, Chrystus, Kościół.

Najprzód Bóg! Najmilsi moi, żeby być katolikiem trzeba naprzód wierzyć w Boga. I naród aby był katolickim, trzeba naprzód aby wierzył w Boga. Już słyszę jak mi wołają: Któż w Boga nie wierzy? A szczególniej nasz naród, nasz? Zgoda, najmilsi! wiem o tem, i Bogu dziękuję! Ale czegoś jednak nie dostaje jeszcze, aby ten Bóg tak ogólnie wzięty był katolickim Bogiem, i wiara w Niego aby już była katolicką. Patrzcie na chorągiew: tam nie jeden tylko jest wypisany Bóg, ale tuż za nim idzie Chrystus i Kościół. Więc to Bóg jakiego nam Chrystus opowiedział, Bóg o jakim nas Kościół naucza. Ten jeden jest Bóg katolicki, i w takiego trzeba wierzyć, aby być człowiekiem, aby być narodem katolickim.

To nie Bóg niedowiarków, i tu słuchajcie mię dobrze: będę wam powiadał, jaki to nie jest Bóg, abyśmy potem zrozumieli, jakim jest doprawdy.

To nie Bóg niedowiarków powiadam, nie Bóg filozofów, nie jakaś istota najwyższa jak to mówią, lub siła najwyższa; istota i siła choć najwyższa lecz martwa i ślepa, konieczna i fatalna, bez wolnéj woli i bez osobistego istnienia i działania; to nie taki Bóg bezosobisty, — precz z Bogiem filozofów!

To nie Bóg tych innych niedowiarków odrzucających Chrystusa, nie Bóg Deistów, nie Bóg nie będący Ojcem, nie będący Synem, nie będący Duchem Świętym: nie, to nie taki Bóg jednoosobowy, Bóg Żydów i półmędrków!

To nie Bóg heretyków, dodających mu co lub odejmujących, robiących go albo swawolnym albo niewolnikiem, albo niedołęgą pobłażliwym, albo mścicielem nienasyconym, albo chamratem; albo katem i oprawcą; nie to nie Bóg o ludzkim zakroju; — precz z Bogiem heretyków! Precz nawet z Bogiem tak nazwanych poczciwych ludzi! Nie, nie taki Bóg katolicki!

Nie, zaiste, nie taki Bóg nasz! I nie w takiego naród ma wierzyć. Tylko jeden jest Bóg prawdziwy, ten którego daje Chrystus i Kościół.

Lecz za Bogiem idzie koniecznie wiara. Nie dosyć mieć Boga prawdziwego, trzeba mieć wiarę prawdziwą. Jedno bez drugiego życia duszy nie da. I dla tego na tym sztandarze gdzie napisano Bóg, domyśla się podpisana wiara. Więc wiara, wiara prawdziwa! — A co to wiara prawdziwa? Mówię o wierze narodu. Więc co to wiara prawdziwa narodu? To trzeba zrozumieć.

Rzecz prosta: trzeba aby naród wierzył że tylko Bóg katolicki jest Bogiem prawdziwym. Tylko wtenczas będzie narodem katolickim, tylko wtedy znajdzie się w obozie Bożym, tylko wtedy będzie stawał za sprawą Bożą. Trzeba jednem słowem aby wiara narodu była katolicka.

Ale zarazem potrzeba aby ta wiara była rzeczywistą wiarą. Nie trzeba ją tylko w głowie nosić, ani gdzieś w sercu głęboko z uszanowaniem chować; trzeba ją mieć wypisaną na czole, trzeba ją mieć jasną i promieniejącą w ustach i w słowie, trzeba ją mieć żywą i gorącą w ręku i uczynkach. Tylko wiara w życiu i w czynie jest prawdziwą i rzeczywistą wiarą.

A więc wiara narodu katolickiego powinna być wiarą życia i uczynków.

A więc naród katolicki powinien być téj wiary swojéj żywem i ustawicznem świadectwem, jéj wyznawcą, jéj obrońcą, jéj mścicielem, jéj zapaśnikiem, jéj rozszerzycielem.

A więc narod katolicki dwóch rzeczy względem swéj wiary powinien zawsze przestrzegać: niedopuszczać aby była bluźnioną; to czynić aby była sławioną i wyznawaną.

A więc precz zbluźnierstwami i z bluźniercami! Precz z Bogiem filozofów! Precz z Bogiem Żydów i półmędrków! Precz z Bogiem heretyków! Precz z fałszywemi Bogami! Precz z fałszywemi wiarami i naukami! Precz! Śród narodu katolickiego mieszkać powinien tylko Bóg katolicki i wiara katolicka.

Lecz jak to? Więc już prześladować?

O broń Boże! Osoby choćby tych samych bluźnierców, a tém bardziéj zwiedzionych i obłąkanych, godne są politowania. Więc dla osób miłość i przebaczenie. Ale dla ich nauki, odrzucenie i wywołanie. A to bardzo prostym sposobem, nie krwawym, nie groźnym, nie przymusowym. Niech się jedno oburzy sumienie całego narodu. Kiedy kto śród narodu o takim niekatolickim, o potwornym Bogu mówi, niech nikt nie słucha, i owszem niech się każdy gorąco ujmie i surowo skarci. Niech to cały naród czyni, a doprawdy nie będzie w nim ani bluźnierstw, ani bluźnierców.

Czemu tego u nas nie czynią? Bo wiary nie ma; mówię owéj prawdziwéj i rzeczywistéj, gorącéj i żywéj wiary. Człowieku! Ty się mienisz katolikiem; a kiedy przed tobą na Boga katolickiego wygadują, ty milczysz, często może się uśmiechasz. O Boże, co się to dzieje! Katoliku mniemany! Ja ciebie samego biorę na sędzię, przed tobą twą sprawę wytoczę i wezwę cię do wydania sądu na siebie samego Posłuchaj, oto twoja sprawa. Jesteś synem, albo bratem, albo mężem. Niechże stanie przed tobą jaki ulicznik bez czoła, a choćby najdworniéj przystrojony, i niechaj choćby z uśmiechem dobrego towarzystwa, zacznie ci prawić że twój ojciec łotr, że twoja matka złośliwa wiedźma, że twoja żona nierządnica; ach! miałbym cię za ostatniego z ostatnich, gdybyś się nie porwał z miejsca gdzie siedzisz, i brzydkiego lżyciela za kark i za drzwi nie wypchnął. A kiedy o Bogu, o twoim Bogu, o Bogu katolickim albo o wierze Jego świętéj i przykazaniach, takie same lub może gorsze mowy przed tobą się toczą, ty milczysz? Milczysz! I to katolik z ciebie? Osądź siebie sam, ja nie potrzebuję cię sądzić. Mówi Ewangelia: kto nie wierzy już jest potępiony. Katoliku udany! Jeżeli ty sam nie masz ani wiary ani serca, nie chciej przynajmniej aby naród był takim jak ty niedołęgą lub takim jak ty winowajcą. Naród nie może cierpieć aby przed nim, w jego łonie bluźniono Boga, aby przed nim do jego uszu gadano że jego Bóg do Boga nie podobny; że jego Bóg inny jakiś, a nie katolicki; albo nawet że go wcale nie ma. Tego naród ścierpieć nie może i nie powinien, naród mówię który jest i ma być ka-

tolickim. Pozwalam niech się nie sroży, nie katuje, nie prześladuje, niech nawet za kark nie bierze i za drzwi nie wypędza, i na to pozwalam; ale jeśli chce jedno zostać katolickim, naród musi przecie ujmować się za katolickiego Boga i przynajmniéj usta zamknąć bluźniercom. Niechaj nie bluźnią! Oh! potrafi to uczynić jeźli jest doprawdy i z duszy katolickim; potrafi to samą zgrozą swoją i publicznem potępieniem. Lecz jeśli tego nie czyni, jeszcze nie jest katolickim narodem, albo już nim być przestał. Ach! niechże się opamięta i zacznie byś tém czém być był zawsze powinien. To pierwszy warunek aby był katolickim: Bóg katolicki i wiara katolicka.

O narodzie mój! Czy taki twój Bóg? A jeśli Bóg taki, czy taka wiara twoja?

A teraz na drugiem miejscu Chrystus. Chrystus to pośrednik, między Bogiem i nami, to droga i przewodnik; to nauka i nauczyciel, to zbawienie i Zbawiciel. On łączy Boga z człowiekiem, i człowieka z Bogiem. I jak Bóg prawdziwy, jedyny, tak i pośrednik prawdziwy jedyny; i Chrystus jedyny. To już znaczy, że jak Bóg katolicki, tak i Chrystus katolicki. Więc powtóre aby być katolikiem trzeba wierzyć w Chrystusa, i to w Chrystusa katolickiego. I naród aby był takim, musi wierzyć w samego Chrystusa.

Tu znowu słyszę: któż nie wierzy w Chrystusa? Przecież my wszyscy Chrześcianie; a Polska przedewszystkiem chrześciańska, i arcychrześciańska! Zgoda. Ale jednak czegoś niedostaje jeszcze. Patrzcie znowu na chorągiew: tam po Chrystusie idzie Kościół. Więc to Chrystus jakiego nam Kościół opowiada. Nie każdy Chrystus jest prawdziwy, to jest nie każdy jest katolicki, kto się takim tylko mianuje: ale jeden tylko jest i katolicki, i prawdziwy, ten jeden którego opowiada Kościół. W tego wierzyć, w tego jednego, obowiązek i człowieka i narodu.

To nie Chrystus filozofów. To nie Chrystus naprzykład, jakiego nam jakiś Strauss wyroił, albo jakiego nam jakiś Renan mniemany żywot napisał, którego cała historya odbywa się w ciemnéj i osowiałéj fantazyi takiego jak pierwszy marzyciela, albo w tępem i zwietrzałem sercu takiego jak drugi sofisty; nie, to nie taki Chrystus, klecionka myśli ludzkiéj, widmo lub naśmiewisko rzeczywistości, i prawdy, i rozumu samego, nie taki jest prawdziwym, jest katolickim Chrystu-

sem, któremu razem z katolicką wiarą oddają cześć i rozum, i prawda, i rzeczywistość, tylą wiekami bogate!

To nie Chrystus Żydów, nie Chrystus polityków, bankierów, demokratów lub socyalistów, Messyasz jakiś przynoszący wiek złoty, czyli raczéj złoto wieku tego, dobry byt i używanie, szczęście, gody, raj na téj ziemi, królestwo Boże zbyt podobne do królestwa tego świata. Nie, to nie taki Chrystus, nie Chrystus świata tego, lepidło rąk jego i brudnych i krwawych, nie taki jest prawdziwym, jest katolickim Chrystusem, któremu ma się kłaniać naród katolicki i świat mający kiedyś być równie katolickim.

To nie Chrystus heretyków mówiący każdemu do ucha co się jego sercu już wprzódy podobało, to nie ten anioł ciemności co się przemienia w anioła światłości ile razy znajdzie jakich Mahometów chcących religie stwarzać, lub jakich reformatorów chcących je naprawiać, lub jakich ciemnych sekciarzy chcących je zniszczyć. Nie, to nie taki Chrystus, nie Chrystus szatana, mara wychodząca z piekła, nie taki jest prawdziwym, jest katolickim Chrystusem, na którego imię drżą i kolana zginają, i niebiosa i ziemia, i to samo piekło, które chciałoby Go zniszczyć; tém wściekléj, im bardziéj nadaremno.

To nie Chrystus Towiańskiego, zdradliwszy utwór i szkodliwsza mara niż wszystkie Chrystusy i heretyków i Żydów i niedowiarków. Nie! to nie taki Chrystus, ale prawdziwy, ale katolicki. Ten którego opowiada Kościół.

A teraz za Chrystusem idzie nadzieja, nadzieja katolicka. Na owéj chorągwi jak pod wyrazem Bóg domyśla się wiara, tak pod wyrazem Chrystus domyśla się podpisana nadzieja. A co to jest nadzieja chrześciańska, nadzieja katolicka? Jest to pragnienie, oczekiwanie, spodziewanie się jedynego prawdziwego dobra, jak tam wiara była poznaniem, wierzeniem jedynéj istotnéj prawdy. Jest to nadzieja żywota wiecznego, dóbr nieskazitelnych.

Ale ta nadzieja nietylko mieszka w głębi duszy, ona się rozlewa po całem obliczu życia na zewnątrz. Ona wchodzi we wszystkie czynności, i każdéj daje inne znaczenie i inną wartość. I tak nadzieja chrześciańska nie tylko jest podstawą wewnętrzną i źródłem żywotnem w życiu Chrześcianina, ona jeszcze jest prawidłem zewnętrznem i zakonem życia publicznego, tak każdego pojedynczego katolika, jak każdego katolickiego narodu. Ma więc swoję postać publiczną i społeczną, warunki, godła, przepisy, akty. To wszystko Kościół nam podaje w Sakramentach świętych i w obrządku publicznym. W obrządku i Sakramenatch znajduje się ten właśnie

i taki Chrystus, jakiego nam daje Kościół, Chrystus prawdziwy, jedyna nadzieja nasza, bo jedyny środek, sposób, droga do zbawienia i jedyny Zbawiciel.

Więc naród katolicki tak powinien swe życie publiczne urządzić, aby cześć ta Chrystusa w Sakramentach i w obrządku kościelnym była jego zakonem i jego życiem publicznem. Powinien przyznać się publicznie do téj nadziei swojéj, w niéj położyć że tak powiem całą swą chwałę i szczęście, i tak się cieszyć i szczycić wykonywaniem publicznem jéj aktów, jak każdy żołnierz swoim sztandarem i swoim wodzem. Powinien na sobie nosić znamię Chrystusowe. Tylko tak naród może być i będzie katolickim.

Jakże? Więc nie cierpieć i nie znosić innych wyznań i różnowierczych obrzędów? Nie, tego nie twierdzę; i tu znowu powiadam: trzeba znosić co znosić można, co ma pewne prawa nabyte, co z drugiéj strony nie jest prostem bluźnierstwem i urąganiem się z owéj katolickiéj nadziei i jéj wyznawania; znosić mówię z cierpliwością i z miłością; to każe rozsądek i miłość chrześciańska. Ale to nie pozwala jeszcze otwierać wolnych szranków wszystkim nieprzyjaciołom Chrystusowym; nie pozwala zaprowadzać wolności szalonéj i nieznającéj hamulca żadnego, gotowéj bić w policzek Chrystusa i plwać na jego święte oblicze. Nie, tego naród katolicki znieść nie może i nie powinien. Ach jakbym wolał, żeby i nie potrzeba było najmniejszej grozy i odwetu! żeby naród tak był mocny w swym katolickim zakonie, tak katolicki w swém publicznem życiu, żeby żaden niedowierca albo przeniewierca, nie śmiał nawet stopy postawić na jego gruncie, z obawy aby wszyscy od niego nie uciekli, i jako trędowatemu i zapowietrzonemu nie pozwolili nawet zbliżyć się do siebie.

I oto drugi warunek aby naród był katolickim: Chrystus, mówię, katolicki, i cześć religijna publiczna katolicka; obrządek kościelny katolicki. O narodzie mój! Czy taki twój Chrystus? A jeśli taki Chrystus, czy taka cześć religijna? takie święcenie obrządku kościelnego? Czy uczęszczasz do Sakramentów? Czy gorąco się garniesz do tych źródeł żywota? Czy z Chrystusem wchodzisz w przymierze codzienne i zaczynasz z Nim ten spólny żywot który ma być wiecznym? O narodzie mój? gdzie twój Chrystus? gdzie twoja nadzieja?

Po Bogu, po Chrystusie przychodzi Kościół. Żeby być katolikiem, potrzeba wierzyć w Kościół tego jedynego na ziemi wyobraziciela i zastępcy i Chrystusa i Boga. I naród równie

tylko wtedy jest katolickim, kiedy wierzy w Kościół, kiedy jest jego dzieckiem wiernem i posłusznem, czci go i kocha, i słucha jak dziecko.

Tu się warunki zmieniają i rzecz się inaczéj przedstawia. Gdy o Boga chodziło wszyscy wołali: Wierzymy w Boga! Gdy chodziło o Chrystusa, może nie tak jednomyślnie, ale i wtedy jeszcze ńiemal wszyscy wołali: I w Chrystusa wierzymy! Lecz teraz gdy o Kościół chodzi, wielu zapewne będzie milczało, nie mało zapewne podniosą się naprzeciw; mimo to jednak, i tu jeszcze, a szczególniéj u nas, wielu wołać będzie: I w Kościół wierzymy! Któż w Polsce nie jest katolikiem? Któż nie jest w Kościele? A jeśli i nie jest, któż przynajmniéj nie stoi obok Kościoła? I czyż jest ktokolwiek coby był przeciwny? Przyjmujemy i wyznawamy Kościół!

Chwalebna zgoda! Ale czy my wiemy téż wszyscy jaki to jest ten Kościół? I czy kiedy mówimy katolicki, wiemy téż co to jest prawdziwy katolicki Kościół? Bo tu właśnie o prawdziwy katolicki Kościół idzie, i iść powinno. Jakimże on jest, ten jedyny?

Najdrożsi moi! już nie będę wam mówił, że to nie jakieś zborzyszcze niedowiarków, nie jakaś utopia nowowiercza, nie jakiś Falanster niby chrześciański, nie jakieś miasto świętych, raj wybranych na ziemi; chociaż, ktoby wierzył? i takie dziwactwa weszły do niejednéj głowy niby chrześciańskiéj i niby katolickiéj, chcącéj pogodzić światło z ciemnością i Chrystusa z Belialem!

Nie będę wam mówił, że ten Kościół prawdziwy to nie one, źle pomyślane, koszlawe, przestrzelone, walące się budynki, bez podwalin i bez dachu, stawiane nieraz przez samychże synów Kościoła, przez złych katolików, bez przybytku, bez ołtarza, bez Świętego świętych, bez Boga i bez kapłana; iste szopy zajezdne na użytek wszystkich włóczęgów, wszystkich samozwańców, bez prawa, bez posłannictwa, bez charakteru, nieraz bez nazwiska.

Nie! Kościół prawdziwy, to ten jedynie katolicki Kościół, który Bóg i Chrystus ustanowił, i który dowodzi siebie, przynosi listy wierzytelne od Chrystusa i od Boga

To ten jedyny Kościół, na którego czele jest Papież. Tak jak Boga objawił nam i dowiódł Chrystus, jak Chrystusa objawia i dowodzi Kościół, tak Kościoła prawdziwość objawia i dowodzi Papież. A Papieża już nic innego nie potrzebuje dowodzić. On tylko jeden na świecie. Dość oczy podnieść i spojrzyć. Tak jak w królestwie jakiem jest który się nazywa królem, nikt go się nie pyta o dowody, tak i w świe-

cie chrześciańskim jest kto się nazywa i twierdzi jego głową, jest do którego Chrystus powiedział: Tyś opoka, a na téj opoce zbuduję Kościół mój; jest mówię w świecie chrześciańskim Papież, i nikt go o dowody nie pyta. Rzecz tak jasna jak słońce, ani potrzeba jéj dowodzić. A zresztą sam Bóg od lat blizko 2000 pisze jéj i pisze dowody, co dzień nowe i co dzień liczniejsze; chcieć je zliczyć, to byłoby chcieć zbierać promienie słoneczne w dzień biały.

Oto jest Kościół katolicki!

A teraz jak za Bogiem i Chrystusem Kościół, tak za wiarą i nadzieją przychodzi miłość. Na onéj chorągwi, o któréj była mowa, tam gdzie napisany Kościół, domyśla się podpisana pod nim miłość. I jest to miłość wzajemna, spółeczna, miłość katolicka. Jest to ona miłość, o któréj mówi Chrystus: Po tém poznają żeście uczniowie moi, jeśli miłość mieć będziecie wzajemną ku sobie. Miłość powtarzam wzajemna, miłość spółeczna, miłość katolicka.

Tu wchodzi cały ustrój towarzystwa, całe urządzenie społeczne, całe oparte na miłości. Kościół to doprawdy zgromadzenie świętych, to spółeczeństwo synów Bożych, kochających się jak bracia, i nie znających innego zakonu prócz miłości. Bo kto brata nie kocha, ten nie kocha Boga, powiada Apostoł miłości. Więc tam tylko bracia, i tam miłość tylko. A nad braćmi jest Ojciec, i ten jest téj miłości środkiem, i całego tego życia ogniskiem.

Więc i miłość ma swój znak w tym kraju miłości, i jak prawdziwego Kościoła znakiem prawdziwym jest Papież, tak prawdziwéj onéj miłości prawdziwym znakiem jest miłość dla Papieża, miłość dla tego spólnego Ojca miłości.

A więc i naród katolicki, aby był prawdziwie katolickim, powinien tém samem znamieniem być naznaczonym, powinien być w tym Kościele, i w téj miłości. Owszem tu jest dopiero ostatnie i niemylne znamię katolickiego narodu.

Tylko ten naród jest prawdziwie katolickim, który kocha Papieża i staje za Papieżem.

Tylko ten jest katolickim który, broń Boże! nie wierzy baśniom, potwarzom, złośliwym gadkom, i ohydnym kłamstwom, jakiemi na niego miotają nieuczciwe usta brzydkich wyrodków; ale raczéj powstaje na taką sprosność!

Tylko ten jest katolickim który się oburza na niesprawiedliwoście, kradzieże, grabieże, jakie spólnemu Ojcu wyrządzają ci sami źli synowie, nie mając dosyć na tém że oplwali Ojca, ale i to dodając że go z szat obdarli.

Tylko ten jest katolickim, który do głębi sumienia się wzrusza, patrząc jak niektóre potwory prawdziwe, najgorsi śród

najgorszych, nie tylko plwają i zdzierają szaty, ale już są gotowi pięściami w twarz bić tego Ojca i drzeć go za włosy, i deptać nogami, i jeszcze słuchać czy dyszy, i nie odstąpić aż póki ducha nie wyzionie. Ten jest zamiar i to jest dzieło tych bohaterów z podziemnéj fabryki, na których imię trzęsą się sprzeniewierzone Włochy, którym tryumfy gotuje Anglia protestancka i antychrystowska; którym i u nas chciano mir zgotować, ale których nazwiska, dla Boga! nie powinny nigdy splamić ust polskich i pióra polskiego, chyba na ich potępienie, jeśli jedno zachować chcemy jakiekolwiek prawo do imienia narodu katolickiego.

Więc tylko ten naród jest katolickim który oburza się, odpycha, potępia te zbrodnie dokonane na Papieżu, na tym Ojcu miłości swojéj i miłości całego świata chrześciańskiego, i który przy nim stoi sercem całem i umysłem i wolą; i przynajmniéj głosem wielkim świadczy przed niebem i ziemią o tém co się dzieje w jego duszy, jeśli ręką i czynem nie może naprawić tego co się dzieje na tym świecie.

Ach tak! tylko ten naród jest prawdziwie katolickim. Szczęśliwy naród! gdzie go będę szukał dzisiaj? Bo czyż mogę powiedzieć że nasz naród jest tym szczęśliwym narodem? Gdzież go będę szukał, tego wybranego narodu, żeby mu powiedzieć iż on doprawdy jest szczęśliwym narodem, najszczęśliwszym z narodów wszystkich, największym, najzacniejszym, najmocniejszym? Albowiem zaprawdę, tak jest jak mówię. Gdziekolwiek ten naród się znajduje, on, on doprawdy, jest najmocniejszym, najzacniejszym, największym a razem i najszczęśliwszym z narodów; bo od niego, i do niego jednego należy przyszłość. Bóg, bracia moi, będzie na końcu panował nad ziemią całą przez miłość; przyjdzie na końcu królestwo miłości, i da chwałę Bogu! Ale przez kogo przyjdzie? Właśnie przez ten naród szczęśliwy, przez to dziecko miłości, które było zawsze u boku swojego ojca, które szczególniéj było u jego boku i nieodstąpiło od niego w dniach próby, w dniach poniżenia, i krzyża, i konania, i śmierci, — ach ono to dziecko, ten naród szczęśliwy będzie dziedzicem zmartwychwstania i panem przyszłości!

O narodzie mój! jakżebym pragnął abyś ty był tym narodem szczęśliwym! A czy chcesz być nim? Oto ci dałem klucz do tego szczęścia i tajemnicę téj wspaniałéj przyszłości. Bądź narodem katolickim i stój przy Papieżu!

A teraz najdrożsi, widzicie co to jest być narodem katolickim, to właśnie co wam chciałem od początku pokazać.

I to właśnie, czego żąda od nas Papież w tych słowach erdecznych które do nas obraca, albo które wyrzekł za nami.

To właśnie o co się modlił i modli świat katolicki. To właśnie co mamy sami uczynić. Ten jest nasz obowiązek, a zarazem ta nasza pociecha i ta nasza nadzieja!

Bracia moi! Przyznaję że obecna chwila jest ciężka. Tylko ostateczna lekkomyślność może jeszcze z głową podniesioną kroczyć. Kto uczciwy i rozumnego serca ten zgina czoło, i niemal upada na duchu. Tak złe urosło, tak nadzieja dobrego zginęła lub ginie.

Ale dla czego taki upadek?

Śmiem odkryć tajemnicę Bożą: w jéj świetle stanie nam przed oczyma prawdziwa przyczyna upadku, ale zarazem i prawdziwy sposób powstania.

Wszystko złe i przyczyna złego w tém leży, żeśmy nierozsądni! porzuciwszy ramię Boże, chcieli się oprzeć i oparli niestety na ramieniu ludzkiem.

Pókiśmy występowali w imię Boże, nieprzyjaciel drżał i truchlał, miecz mu z rąk sam wypadał, i siły nie miał przeciwko nam wystąpić: bośmy z Bogiem byli i tylko z Bogiem.

Ale kiedyśmy sami za miecz porwali, rachując na nasze ramię cielesne, i rachując na książęta i narody, na ich wozy i konie i zbroje, na mocarze ziemskie i na bogi ziemskie; Bóg nasz jedyny, któremuśmy ufać przestali, puścił nas na los przemysłu naszego i siły naszéj, i zostawił nas w opiece tych bogów z krwi i ciała, którymeśmy zawierzyli: niechże nam pomogą po swojemu, i niech tak przynajmniéj, oszukując nas po swojemu, i okrutnie, rozumu nas nauczą!

I stało się tak iście, bo inaczéj stać się nie mogło. I taka jest przyczyna prawdziwa naszego dzisiejszego upadku i nieszczęścia.

Tak mówię stać się musiało. Albowiem inne są warunki naszego narodu i różne od innych niekatolickich narodów. My jesteśmy narodem katolickim, i publicznie, czynnie, stanowczo a wyłącznie mamy być, jako naród, narodem katolickim. Bóg nas na to wybrał, namaścił, dał posłannictwo i przykazanie. To nam jeszcze dzisiaj Kościół święty, to Zastępca Boży, to Bóg sam powiada. Więc my tak mamy być narodem katolickim, tak być tym narodem Bożym, że jeśli nim nie będziemy doprawdy, a czynnie, stanowczo, wyłącznie; nie będziemy wcale narodem.

Być, albo nie być! mówi sławne hasło. Narodzie Polski! albo będziesz katolickim i Bożym narodem, albo nie będziesz wcale. To miej sobie raz za powiedziane. I to ci śmia-

ło i z pewnością dziś od Boga mówię, owszem nie ja mówię, ale ten który w Jego imieniu tu na ziemi przemawia; i którego głos jest głosem Bożym. Albo będziesz katolickim narodem, albo wcale narodem nie będziesz.

Ale ja wiem, że ty będziesz i będziesz katolickim. Wątpliwości być nie może, i ten upadek twój dzisiejszy to tylko chwila próby.

Przedłuża się niestety! Ale co najsmutniejsza, tedy to że ty sam, narodzie mój, ty sam przedłużasz tę chwilę nieszczęsną. Ach! czemuż nie rozumiesz albo nie chcesz rozumieć? Zaiste trzebaby płakać nad tobą łzami Zbawiciela patrzącego na Jeruzalem i wołającego żałośnie: Ach! gdybyś poznało, i ty, i to w tym dniu twoim, co ku pokojowi twemu! ale teraz to zakryte przed oczyma twemi (Łuk. 19, 42)!

Czyż długo jeszcze będzie tak zakryte? Czyż długo jeszcze nie poznasz i nie zrozumiesz? O! zrozumiej już raz, i stań tam gdzie Bóg chce cię mieć, stań tam mocno i stanowczo, stań sercem, duszą, siłą całą; stań a wszystko się przemieni, i złe się skończy.

Narodzie nieszczęśliwy! nie, nie rozpaczaj Bóg cię nie opuścił; — owszem, Bóg teraz bliżéj ciebie, teraz kiedyś skruszony, aniżeli przed chwilą kiedyś o swojej sile powstawał, Bóg teraz bliżej ciebie i blizko bardzo, tak blizko że jak ty z twéj strony krok uczynisz, już go będziesz mógł ująć za rękę. Bóg czeka na ciebie, i przyzywa, i woła:

„O narodzie mój wybrany! tyś o mnie zapomniał, i o „mnie nie myślisz, ale ja o tobie pamiętam i mam cię ciągle „na myśli. Ty do kogo innego się uciekasz i mnie nie chcesz, „ale ja chcę ciebie i chcę koniecznie; jam cię wybrał dla sie„bie, i do kogo innego nie puszczę. Ty szukasz innego opar„cia, i tem samem mnie się opierasz; idziesz gdzie sam chcesz, „a nie idziesz gdzie ja chcę; lecz ja ciebie sprostuję i mimo „ciebie ocalę; choćby cię trzeba było przełamać, ja cię prze„łamię, choćby o ziemię obalić, ja cię o ziemię obalę, jak „Pawła, wybrane naczynie moje; ja cię skruszę do ostatka, „i z ostatniego skruszenia ja cię podniosę innym zupełnie: „będziesz świętym, będziesz moim. Ja, Pan! postanowiłem, „i uczynię; rzekłem i spełnię. Ale ty, narodzie mój po cóż „jesteś tak głuchym, tak twardym tak bez rozumu i bez ser„ca? Po co się opierasz tak długo, narodzie mój wybrany? „Próżno tobie przeciw ościeniowi wierzgać! Sobie tylko przy„czyniasz męki, a mnie bólu i smutku. Czas już, czas oba„czyć się narodzie mój! Już miéj rozum, miéj serce, miéj mi„łość i miłością zrozumiéj czego chce od ciebie moja miłość „nieskończona. A jak porzucisz wszystko inne, a mnie się

„miłością oddasz, jak nie będziesz iść za mądrością świata te-
„go ani za jéj zasadami, ale ukochasz mój zakon i ten jeden
„spełniać będziesz, jak moję sprawę za swoję poczytasz i mo-
„ję siłę za swoję, — i raz przestaniesz szukać pomocy u lu-
„dzi, wyciągać ku nim rękę żebraczą, a rzucisz się w moje
„objęcia, i mnie jednemu oddasz się w ręce, w tedy zoba-
„czysz co z tobą uczynię, ja Pan twój i Bóg; jakim ty bę-
„dziesz mi dzieckiem, a ja Ojcem; jakim ty ulubieńcem, a ja
„miłośnikiem. Wtedy pokażę, w tobie i na tobie cuda mo-
„jej Dobroci, i Wszechmocności, i Wszechmiłości; i świat zdzi-
„wiony z uwielbieniem patrzyć będzie na to dzieło miłości mo-
„jéj; i narody i pokolenia przychodzić będą i wołać w zachwy-
„ceniu: Oto naród ukochany od Boga! oto dziecko jego ulu-
„bione! Pójdźmy i patrzmy co Bóg uczynił, pochwalmy Go,
„błogosławieństwo i dzięki oddajmy: albowiem dobry, albo-
„wiem na wieki miłosierdzie Jego! albowiem bez dna i bez
„liczby i bez miary jest miłość Jego nieskończona!“

O narodzie mój! Usłysz nareszcie i zrozumiéj ten głos Boga twego, otrząśnij się i zrzuć nędzę i śmierć przeszłą, a rozpocznij to życie, to szczęście, tę chwałę które ci zgotował twój Ojciec prawdziwy i jedyny, twój Pan, i twój Bóg! Amen.

POEZYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

I.

Święty Wincenty a Paulo.

Hymn Polski.

(Księdzu *W... O...*)

Piastunie sierotek święty!
Ludziom łzy słodkie z ócz płyną, —
Takiś bo piękny Wincenty
Z twoją na ręku dzieciną!

Z dzieciną twoją na ręku
Chrystus uwielbił cię w Niebie,
I w macierzyńskim swym wdzięku
Marya chlubi się z ciebie.

Rowienni w pracy i w płacy
Stanisław Kostka, Kazimierz,
Święci coś szepcą Polacy:
— „Za spółpiastunów czy przyjmiesz?

„Wincenty! nędześ tułacze
„Zaznał w zamorskiéj niewoli;
„Patrz, ilu naszych to płacze!
„Cięży im żywot, och! boli.

„Wincenty! z nami i z niemi
„Podnoś ku Panu ramiona, —
„W krzyżów i mogił tam ziemi,
„Rola już pulchna, sprawiona.

„Wincenty! lud nasz — lud boży,
„Cichy, cierpliwy, usłużny,
„Siostr tobie, braci przymnoży,
„Nie pożałuje jałmużny.

„On cię nad wszystkich ukocha,
„Z Francyą ścieśni przymierze,
„I swéj Królowéj pieszczocha
„Za rodzonego przybierze.

„Piastujże polskie sieroty,
„Uposaż starce, kaleki,
„I rozesłańców swych roty
„W świat stąd wyprawuj daleki!

„Piastunie sierotek święty!
„Braciom łzy słodkie z ócz płyną, —
„Takiś bo piękny Wincenty,
„Z twoją na ręku dzieciną!“

II.

Abarim i Thabor.

(Do Józefa Zaleskiego.)

Dzień za dniem chłodniéj nam starym,
Tęskniéj ku słońcu dzień za dniem; —
Kiedyż bo druhu! owładniem
Wyżyny swojéj Abarim?

Puść wzrok po białéj wzwyż pleśni!
Pruszy śnieg niby — śnieg z włosa;
Ciżba szczebluje w Niebiosa:
Nasi-ć po wieku rowieśni! —

Daléj — wciąż daléj od ziemi.
Mijają chmurę po chmurze;
Pod niemi ziemskie już burze,
I wrzawa ziemska — pod niemi.

Z czem sercu było tak miło,
Co umysł cenił niemało,
Malało — wciąż im malało,
Śniło się — zanim prześniło.

Och, aniołowie w przelocie,
Na nędzny padoł im płaczu,
Rzadziéj już druhu tułaczu!
Podają z nieba łakocie.

Patrz! mgła się nieco rozpierzcha,
Co czujem zmysłem proroczym,
W pełni niebawem zaoczym
Tam na Abarim — u wierzcha!

Daléj-że, daléj do słońca,
Do wolnéj duchów ojczyzny,
W on obiecany kraj żyzny
Na żywot — żywot bez końca!

Czy widzisz obrzask ów złoty?
Thabor to, Thabor Chrystusa!
Piotroważ w sercu pokusa
By trzy tam rozpiąć namioty!

Błogoć-by w jasnéj sukience
Wzlecieć już w przestwór duchowy! —
Niestety, ciężą okowy,
Śmierć niepopuszcza swe jeńce.

Chrystus, Pan czasów rozstrzeni —
Pogromca śmierci na krzyżu, —
Czuwa mój druhu! w pobliżu;
I nas, i nas ON przemieni!

Daléj-że, daléj do słońca,
Do wolnéj duchów ojczyzny,
W on obiecany kraj żyzny
Na żywot — żywot bez końca!

Paryż d. 9 maja 1863.

LITWA I ŻMUJDŹ.

Wojtkuszki, Wiłkomierz, Poboisk, Leonpol, Dziewałtów, Siesiki, Nidoki, Widziszki, Pan Podkomorzy, U Pani Abelowéj, P. Rakowski, Piniany, Surdegi, Uciana, Belmonty, Bracław, Widze, Nowo-Alexandrów, Magnat i Arystokrata, Proszony wieczór, w Nowo-Alexandrowskim powiecie.

(*Z niewydanych pamiętników Kamertona.*)

Po trzyletnim prawie pobycie w Wilnie, podczas którego przebiegłem większą część gubernii Wileńskiéj, a wysuwając się po za jéj granice, zwiedziłem Nowogródek, Nieświerz, Łuck i Grodno; postanowiłem powrócić do Rygi. Wojna ustała, nastąpił błogi pokój, odetchnęły ludy po długich i krwawych zapasach.

Czém-że jest wojna? pojedynkiem narodu z narodem, powiedział już niewiem jaki autor. Nie zgadzam się na to. Dwie osoby się pokłócą, wyzwą, biją; jedna z nich polegnie, lub ranę odniesie; jest to pojedynek. Dwaj mocarze poróżnią się z sobą, powodem kłótni najczęściéj osobista uraza, celem podboje, lub pożądanie cudzéj własności, wymówką zabezpieczenie granic, lub zemsta za urojoną nieraz zniewagę. Jest to wprawdzie pojedynek, ale mocarza z mocarzem, wykonany jeno przez podwładne im narody; i kiedy w pierwszym jedna ofiara, jedna rodzina w żałobie, w drugim tysiące ofiar, żałobą kraj cały okryty, a w skutku, głód, nędza, zniszczenie.[1])

[1]) Zapytano razu pewnego księcia Kazłowskiego, rodem Rossjanina, jednego z najdowcipniejszych ludzi swego czasu: jaka zachodzi różnica pomiędzy rewolucyą w absolutném a konstytucyjném państwie? Ta sama, odpowiedział, jaka zachodzi między morderstwem a pojedynkiem. W pierwszem zbuntowani zadają śmierć panującemu, jest to zabójstwem. W drugiem, rzucają mu rękawicę, ten ją podnosi, walczy; zwycięzca, winowajców podług prawa karze, zwyciężony, wynosi się na ziemię wygnania; jest to pojedynkiem. Z dwojga złego wolę pojedynek jak morderstwo.

W połowie maja 1858 roku opuściłem Olgierdową stolicę, przepełniony wspomnieniami téj przeszłości, która się od nas chociaż coraz bardziéj oddala lecz była.

Wiosenna pogoda, ciepły wietrzyk szeleści pomiędzy zaledwo rozwiniętemi drzewami, w gęstwinie śpiewa słowik, odzywa się kukułka, a nad głową orzącego rólnika dzwoni skowronek wzbijając się w górę. Po pastwiskach buja bydełko, szczęśliwe że się z uwięzi zimowéj wyrwało, słychać piosnkę pastuszka połączoną z odgłosem fujarki, a ta piękna i żyzna ziemia nasza zdaje się mówić do ciebie: uprawiaj mnie tylko dobrze, a z głodu nie umrzesz!

Po drodze z Wilna do Wiłkomierza spotykałem wszędzie lepszy ład, porządek, i dbałość. Coraz to lepiéj zbudowane wioski, dobrze utrzymywane dwory, powstające z muru kościoły, i pomyślałem w duchu: kto z Bogiem, Bóg z nim.

Jużem minął Mejszagołę, gdzie Olgierd ustąpiwszy tronu Jagielle, w późnéj starości odpoczywał po znojach zakłóconego ciągłemi wojnami panowania, jużem zostawił po prawéj stronie gościńca piękne Poszerwinty, dziedzictwo Józefa hrabiego Leduchowskiego; jużem przejechał przez Szerwinty, kędy na miejscu kościoła fundowanego w roku 1475, przez Katarzynę, Agnieszkę i Bohdankę Oscikówny, wznosi się nowy, kosztem tamecznego proboszcza, parafii i pobożnych składek z muru wyprowadzony. W Chrzczeniszkach do dawnego pałacyku księdza prałata Bohusza dobudowują się dwa skrzydła;[1]) a o milę daléj na wzgórzu, zkąd widok się rozciąga na daleką okolicę, na próżno dziś szukasz miejsca kędy istniał obronny dworzec; murawa pokryła gruzy, wyrosły na niéj wiekuiste drzewa, a nieopodal ztamtąd na polach pobojskich znajdziesz jeszcze gdzie nie gdzie kurhany poległych rycerzy mieczowych i zbuntowanéj Litwy.

Kto tyle krwi przelał zapytaj dziejów? Odpowiedzą: książe litewski Swidrygajłło. Kto w tym dworcu przemieszkiwał, zapytaj podań ludowych? Swidrygajłło.[2]) Przez jakie koleje przechodziły późniéj te miejsca, z jakiego powodu przezwano je Wojtkuszkami? Niewiadomo.[3]) W połowie XVII stulecia należały po części do rodziny Skorulskich, po części do rozdrobionéj szlachty. Okupił je w sto lat późniéj Michał Kossakowski wojewoda Witebski, i w nich w dwóch przeciwległych sobie gmachach, rezydencyą swoję założył. Prowadziła do niéj ciemna ulica jodłowa, na przeciw któréj wznosiła się obszerna budowla złożona z dwóch ogromnych sal. Tam się nieraz zbierała sejmikowa szlachta, drzały ściany od gwarnych rozpraw częstokroć kłótni, a nie jedna beczka wina lub miodu wypróżniona zwaśnionych godziła, przywracała braterstwo.

---

[1]) Chrzczeniszki nabył od księdza Bohusza, gubernator wileński Bagniewski, od niego Łabanowski, a od tego Julian Pomernacki.

[2]) W ogrodzie Wojtkuskim, po za oficyną, jest obszerny ogród owocowy, wśród którego pozostały ślady okopiska i wałów; kto wie czy to nie na tém miejscu istniał dworzec Swidrygajłły.

[3]) W konotatkach pozostałych po księdzu infułacie Osińskim znajduje się wzmianka, jakoby Wojtkuszki za panowania Kazimierza Jagiellończyka należały do Wagajłły Giedrojcia, który ochrzczony Wojciechem czyli Wojtkiem, od imienia swego nazwał je Wojtkuszkami. Wagajłło miał brata Gagulissa, ten pozostał w pogaństwie. Oba bracia byli na obraniu Kazimierza Jagiellończyka na Wielkie Księstwo Litewskie. (Wiadomość ta udzieloną mi została przez marszałka Buszyńskiego badacza starożytności Żmujdzko-litewskich.)

Gdy się kończyła biesiada, do jednéj sali wnoszono zasłane już łóżka dla płci żeńskiéj, w drugiéj płeć męzka kładła się pokotem na sianie, a sen pokrzepiający zamykał dzień upłyniony, po którym następny był najczęściéj poprzedzającego powtórzeniem.

Po sutéj uczcie pewien starosta wyjeżdżał z Wojtkuszek nocną porą, wsadzono go do sań, bo się na nogach zaledwo mógł utrzymać, zaraz téż zasnął, i w jodłowéj ulicy wypadł do śniegu. Dojeżdżając dopiero do Wiłkomierza, dostrzegła służba że pana swojego straciła, a powróciwszy nazad dla wyszukania zguby, znalazła ją na pół zakopaną w śniegu. Nie zmarzł jednak starosta, gdyż wtedy gorętsza krew w żyłach płynęła, nie zachorował nawet, gdyż dawnéj daty ludzie byli twardszéj i wytrzymalszéj natury.

Wojtkuszki należą dzisiaj do hrabiego Stanisława Kossakowskiego, wnuka wojewody, i z postępem czasu, z cywilizacyi wymaganiem nowy kształt przybierają.

Huczne i gwarliwe biesiady ustały, środkową więc budowlę rozebrano, a na miejscu dawnego mieszkalnego domu, wznosi się z muru gmach wspaniały, który obszernemi rozmiary zastosowanemi do potrzeby, połączonemi z ozdobą i wygodą, w kraju naszym pierwsze zajmie stanowisko. Gdyby który z goszczących tu niegdyś, wstał z grobu i zawitał, niewiedziałby zrazu gdzie się znajduje, wszedłszy dopiero do wnętrza, poznałby że jest w Wojtkuszkach, po téj tradycyonalnéj gościnności, którą wnuk odziedziczył po praojcach i święcie przechowuje jak relikwję przeszłości. Jeżeli prześliczne położenie miejsca nęci do siebie przechodnia, kto raz tylko przestąpił progi tego domu, gdzie go zatrzymuje prawdziwa uprzejmość, szczere ściśnienie dłoni, jakże tam chętnie powraca! Kto raz Panią tych miejsc poznał, chociażby był najbardziéj uzbrojonym przeciwko płci żeńskiéj, wyznać będzie musiał, że można być rozumną bez zarozumiałości, dowcipną bez żółci, dobroczynną bez ostentacyi, można świat lubić a dopełniać święcie obowiązków dobréj żony i matki, można z jednéj ziemi do drugiéj być przeniesioną, a do téj sercem przyrosnąć.

Spuszczając się z Wojtkuskiéj góry gościńcem ku Wiłkomierzowi, spostrzegasz w dolinie miasteczko Poszyliny, z pięknym murowanym kościołem architektury bizantyńskiéj, założonym 1793 roku przez wojewodę Michała Kossakowskiego i małżonkę jego Barbarę z Zybergów. O parę wiorst daléj jest w lesie oberża Piwonją zwana, należąca do Wojtkuszek. Piwonja przed czterdziestu laty była celem spaceru Wiłkomierskich mieszkańców, tam w osobnym, przeznaczonym na to budynku, odgrywano komedje, a słynne piwoniowskie bale ściągały tłumnie do siebie obywateli z bliskich i dalekich nawet okolic. Dzisiaj jeszcze, kiedy pozostałe niedobitki z owych czasów i balów obok Piwonii przejeżdżają: „Pamiętasz, odzywa się jeden do drugiego, jakieśmy się tu bawili, tańczyli, do ładnych panienek brali; pamiętasz pannę Anielę, Agnieszkę, Ludwikę? wszakże takich piękności już więcéj nie ujrzemy na świecie? A choćbyśmy dzisiaj i ujrzeli którą z nich, zawołalibyśmy ze smutkiem: Co za stara baba!“

Cóż to za miasto rozciąga się na tych wzgórzach po nad prawym brzegiem Świętéj rzeki? Jest to Wiłkomierz, *Vilcomeria* po łacinie, *Vilkomergen* po niemiecku, *Wilkomergie* po litewsku.[1])

---

[1]) Nazwanie *Wilkomergie*, pochodzi od *Wilkas*, wilk, i *Merga*, dziewka; co znaczy: Wilcza-dziewica. Teodor Narbutt, wyprowadza je od *Wilkas* i *Mirts*, umrzeć,

Zapytaj dziejów czem było? Odpowiedzą, iż sięga najodleglejszéj starożytności. Zapytaj czém jest dzisiaj? Stolicą powiatu Wiłkomierskiego. Wejdź do środka, rzuć okiem na zabudowania miejskie, a ujrzysz murowane domy i sklepy otaczające obszerny plac do koła, murowaną pocztę konną a na przeciw niéj dom rządowy, w którym pobierają myto drogowe; murowane kaznaczejstwo, szkołę powiatową, szpital, kilkanaście prywatnych domów, murowany kościół parafialny katolicki, i bożnicę żydowską. Pójdź daléj a ujrzysz cerkiew drewnianą, oraz gmachy, gdzie istniały przed laty, kościół, klasztor i szkoły pijarskie;[1]) również jak nie mało schludnych dworków rozpołożonych pośród ogrodów, przy Kowieńskiéj, Remigolskiéj, Oniksztyńskiéj ulicach. Wyjdź za miasto, a nad urwistym brzegiem Świętéj znajdziesz drewniany domek z ogrodym spacerowym publicznym, coś nakształt warszawskiéj doliny Szwajcarskiéj lub Arkadii, z tą różnicą, iż te w niczem nie przypominają miejsc których nazwę przybrały, a ogród pana Abela, choć w nim niezasłyszysz ani orkiestry Bacha, ani trąbki Rejczaka, położeniem swojem zachwyca. Tam jeżeli szukasz towarzystwa, spotkasz się z niższą klassą urzędniczą, lub wyższą izraelską; jeżeli zażądasz ochłody, podadzą ci kieliszek wódki, kufelek piwa, a nawet kalteszanu. W innéj zupełnie stronie miasta, bo na przeciw konnéj poczty jest drugi ogródek, założony przez inżynierską komendę, utrzymywany starannie, i będący co wieczór zebraniem arystokracyi obywatelskiéj, urzędniczéj i wojskowéj. Wracał raz mąż z żoną z tego ogródka i użalał się, że tam nie masz bufetu, dostać nie można ani lodów, ani ponczu, ani szampana. „Ale za to, rozdają panowie oficerowie prześliczne bukiety, i to tylko ładnym kobietom,“ odpowiedziała żona, pokazując ogromny pęk kwiatów.

W Wiłkomierzu, spojrz na ludzi: prócz urzędniczéj i to licznéj osady, prócz konsystującego czasami wojska, w domach i po ulicach sami Żydzi! Handlują, frymarczą, oszukują gdy się uda, faktorują na rozkazy; oni wszystkie produkta zakupują i sprzedają, cały przemysł, cały ruch, całe życie w ich ręku, dla tego téż w dzień powszedni, a szczególniéj targowy jest ich wszędzie jak w mrowiu, w szabas sklepy pozamykane a w mieście jak wymiótł. Jednak skoro nastanie wieczór, słońce się ku zachodowi nachyli, ileż to co sobota elegantek spacerujących po miejskim placu? a wszystkie prawie córki Izraela; co młoda to ładna, co stara to nią była; i wystrojone podług mód naszych, z czepeczkiem plasterkowym, z własnemi włosami, bo fałszywych nosić nie wolno, w materjalnych sukniach, w aksamitnych mantylach. Jeżeli się nie jedna już rozdęła krenoliną, uzbroiła parasolką, żadna się dotąd nie odważyła włożyć pasterskiego kapelusza.

Kiedy bajką wiek dziecinny kołyszą, kiedy młodzieniec nieraz sam się bajką duży, kiedy człowiek dojrzały często żałuje że już w bajkę uwierzyć nie może, a starzec tak chętnie dawnych bajek słucha, i czemuż-byśmy zaprzeczać mieli podaniom o przywędrowaniu z Rzymu nad brzegi baltyckiego morza, Palemona z towarzyszami swojemi Dorsprun-

---

po łotewsku, albo *mirhs*, śmierć, po herulsku; co miało znaczyć: śmierć wilkom. Korespondent z nad brzegów Krożenty utrzymuje: że Wiłkomierz nazywa się po litewsku: *Aukam-eris*, albo *Ałka-miris*, od *Auka*, czyli *Ałka*, ofiara świątyni.

[1]) Kościół drewniany i klasztor księży Pijarów, powstał w Wiłkomierzu z dobrowolnych składek. Po zwinięciu szkół i kassacie tego zakonu, kościół obrócono na magazyn, a w klasztorze mieści się dotąd bióro policyi.

giem i Ursynem, o założeniu przez nich miasta Lipowy, i nowego Rzymu, czyli *Romowe;* pierwszego nad brzegiem Baltyku, drugiego przy ujściu Dubissy do Niemna? Czemuż niechcielibyśmy dać wiary: że w dziesiątym wieku Dorsprung ciągnąc ze swoim ludem po nad rzeką Świętą, znalazł piękny wzgórek, na którym uczyniwszy ofiary Bogom, zbudował zamek i nazwał go Vilcomerją, po naszemu Wiłkomierzem? Niemasz na to historycznych dowodów, a podanie ludowe jest-że-li dostateczném dla naukowych niedowiarków? nie wchódźmy, i poprzestańmy na tém że Wiłkomierz do najdawniejszych grodów litewskich należy. W XIII wieku, już się opierał napadom rycerzy mieczowych, a jeżeli w roku 1391 przez Krzyżaków wysłanych od Konrada Wallenroda, wielkiego mistrza, pod wodzą marszałka zakonu i księcia Witolda, zdobytym i spalonym został, w roku 1435 chlubną kartę w dziejach litewskich zajmuje. Za panowania Władysława Warneńczyka, kiedy Zygmunt syn Kiejstuta rządził Litwą, Swidrygajłło z téj godności przez Jagiełłę zrzucony, zebrawszy na Rusi litewskiéj licznych stronników, wsparty przez kawalerów mieczowych, napadł na rodzinną ziemię.

Zygmunt Korybut, synowiec Jagiełły, który czas krótki na tronie czeskim zasiadał, przyłączywszy się do zbuntowanych, stanął na czele wyprawy. Wielki książe litewski, wzmocniony nadeszłym posiłkiem z Polski, złożonym z ośmiu tysięcy jazdy, pod wodzą Jakóba z Kobylina, wysłał przeciwko niemu liczne zastępy pod naczelnictwem syna swego Michała; ten pod Pobojskiem odniosł walne zwycięztwo nad nieprzyjacielem. W kilka dni późniéj, pod samym Wiłkomierzem zaszła druga bitwa; w niéj wielki mistrz kawalerów mieczowych Frank Kirschoff poległ, kilkanaście tysięcy Niemców zginęło, kilku zaś książąt ruskich również utraciło życie, a król Zygmunt Korybut ranami okryty dostał się do niewoli, w któréj wnet umarł. Polacy litując się nad jego losem, skoro pytali: „Czemu się nie ratował ucieczką, mogąc z pobojowiska uchodzić“? „Długi czas żyjąc pomiędzy wami, odpowiedział, nie nauczyłem się uciekać.“

W roku 1413 za panowania Władysława Jagiełły, przy zatwierdzeniu unii Litwy z Koroną, na sejmie Horodelskim, gdy Litwę podzielono na województwa i powiaty, miasto Wiłkomierz przeznaczono na stolicę Wiłkomierskiego powiatu, należącego do składu województwa Wileńskiego. Obdarzone z czasem przywilejami i nadaniami panujących, prawem magdeburskiem i starostwem grodowém, po dwakroć przez Szwedów zniszczone.

Kiedy w roku 1768 zawiązaną została konfederacya w Barze, a dwaj bracia Pułascy posunęli się do Litwy i zajęli Brześć litewski; Józef Sapieha wojewodzic mścisławski, podniósł rokosz w Pińszczyznie, ruszył potém na czele stu dwudziestu ludzi do Wołhowyska, gdzie go szlachta marszałkiem konfederacyi okrzyknęła. Ztamtąd przeniósłszy się na Żmujdź, połączył się z Szymonem Kossakowskim i Zybergiem w Wiłkomierzu. W następnym roku tenże sam Kossakowski na czele konfederatów pod Wiłkomierzem odniósł zwycięztwo nad wojskiem rossyjskiem.

W roku 1792 Szymon Kossakowski, z braćmi swojemi, z Białozorem, Szwejkowskim i wielu innemi aktem podpisanym w Wiłkomierzu przystąpili do konfederacyi Targowickiéj.

Kościół Wiłkomierski jest jednym z owych siedmiu, które Władysław Jagiełło wprowadzając do Litwy wiarę chrześcijańską w roku 1387 założył. Pierwotnie z drzewa zbudowany, nie prędko potém, bo aż w roku 1790 po trzykrotném spaleniu, przez księdza Sznejderowicza, proboszcza Wiłkomierskiego z obywatelskich ofiar wymurowany, w r. 1825

otwartym został. Fundacya kaplicy sięga 1425 roku, altaryą zaś Anioła Stróża założył w roku 1492 Władysław Włodko, i na jéj utrzymanie zapisał wioskę Towianki.

Wiłkomierz, jeżeli na mocy dawnych przywilejów długo zachował prawo obierania powiatowych urzędników na sejmikach, takowe jednak niedawnemi czasy przeniesiono do Kowna, stolicy nowo utworzonéj gubernii. Pamięć stronnictw nieraz zbrojno przeciwko sobie występujących, waśniących się lub godzących przy kuflach łowiańskiego piwa, dziś razem z łowiańskiem piwem została tradycyą, a kufle wiłkomierska szlachta przechowuje jeszcze gdzie niegdzie jako drogą spuściznę po lepszych, czyli raczéj gorszych czasach.

Z pomników przeszłéj świetności miasta pokazują miejsce kędy się wznosił dwór starościński, a skoro woda na Świętéj opadnie, [1]) wyglądają z niéj w kilku miejscach pale niegdyś istniejących mostów; w pierwszym ileż to uczt, biesiad się odbyło, jaki tam ruch, gwar panował, jakież było życie! Po drugich ileż to ludzi przejechało i przeszło! Dzisiaj dwór z ziemią zrównany, mosty pęd wody uniósł daleko; nie sąż to znikomości rzeczy ludzkich znamiona? Ale tam wysoko sterczy stroma góra oblana nurtem Świętéj, a na niéj był zamek obronny, następnie długo utrzymywano fundową wieżę dla przestępców. Dzisiaj nie szukaj szczątków, ani zamku, ani wieży bo ich nie znajdziesz, pójdź raczéj na przeciwny brzeg rzeki, a skoro w pomroce wieczoru rzucisz okiem na zamkową górę, zda ci się grobowym kurchanem, pomnikiem minionéj potęgi, i mocą wyobraźni ujrzysz nad nią w żelaznéj zbroi, z niedźwiedzią skórą na plecach, z groźnym mieczem w ręku, unoszący się cień litewskiego wodza, tak jak ludy północy spostrzegają pomiędzy chmurami postacie skandynawskich rycerzy.

Zaledwom wysiadł z mojéj kałamaszki, i rozlokował się w zajezdnym domu Trabszego, dosyć wygodnym jak na Wiłkomierz, poszedłem zaraz do apteki pana Bartmeńskiego. A po co? Nie lękajcie się, zdrów jestem, nie poszedłem zatem ani po emetyk, ani po wodę uśmierzającą, ani po krople długiego życia, po żadne lekarstwo dla ciała, ale po służące do zaspokojenia ciekawości.

U pana Bartmeńskiego, o wszystkiem co się dzieje w mieście i po za miastem, najlepiéj dowiedzieć się możesz. Gospodarz uprzejmy, uczynny i światły zarazem, powszechnie jest lubiony od całego obywatelstwa. Do niego się schodzą na gawędkę nowo przybyli do Wiłkomie-

---

[1]) Że nazwanie Świętéj rzeki pochodzi od tego, iż w niéj chrzcono Litwinów z rozkazu Władysława Jagiełły, tak chce podanie. Drudzy utrzymują, że powodem do tego miał być ksiądz, który jadąc do chorego z Panem Bogiem, utopił się w rzece. Podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, rzecz się ma zupełnie inaczéj, gdyż w kronikach niemieckich napotykamy się z jéj nazwaniem w XIII wieku. Z tego więc wypada wnosić, że świętość, jaką dawni Litwini przywiązywali do wód téj rzeki, nadała jéj rzeczoną nazwę, i to pod każdym względem zdaje się być najbardziéj do prawdy podobnem. Nareszcie rzek z podobném nazwaniem znajdujemy kilka na Żmujdzi. Święta czyli *Szwenta*, płynąc pomiędzy Połągą a Lipową wpada do baltyckiego morza.

Są i tacy którzy domniemanie swoje zasadzają na tem iż rzeka płynąca pod Wiłkomierzem początek bierze z niewielkiego jeziorka: *Szwiatas*, łączącego się z Bracławkiém, przez przerobienie słowa nazwaną została, *Szwentą*, czyli Świętą.

Świętą rzekę sejm 1589 roku pozwolił oczyścić. (Vol. Leg. 2. fas. 1286.) Ustawa zaś sejmowa z roku 1792 za spławną ją uznała. Zabroniono stawiać na niéj młyny i jary, mosty miały być otwierane, i dozwolono po nad jéj brzegiem budować magazyny. (P. A.)

rza, tam się znajomy ze znajomym spotka, nie jeden interes załatwi, o nie jednéj ploteczce dowiedzieć nie trudno. U pana Bartmeńskiego prywatny, że tak powiem, kantor obywatelskiéj poczty: przejeżdżający przez miasto, chcąc napisać do znajomego mieszkającego opodal od stacyi pocztowéj, w aptece list zostawia, a tamten wprost do apteki po niego posyła. Pan Bartmeński do czytelni prywatnéj należy, znajdziesz u niego wyborowy księgozbiorek, krajową i zagraniczną gazetę, znajdziesz prenumeratę na nowo wychodzące dzieło.

Przed apteką na placu stała buda, pokazywano w niéj lwa, tygrysa, węże, małpy, i wołu którego wizerunek zawieszony na zewnętrznéj ścianie zapowiadał nadzwyczajnéj wielkości rozmiary.

W aptece znalazłem kilku obywateli ze wsi przybyłych, przedmiotem rozmowy był wół, którego jeszcze nikt z obecnych nie widział. Każdego wchodzącego nie pytano o lwa, tygrysa, lamparta, tylko: „a widziałeś wołu?“ „Nie widziałem.“ „Więc pójdźmy obaczyć.“ I szli po kolei, a zapłaciwszy dwa złote od wnijścia, wchodzili prędko do budy, prędzéj jeszcze z niéj wychodzili, ruszając ramionami na znak niezadowolenia; bo cóż się pokazało? że ten wół olbrzym malowany, był po prostu wołem ukraińskim. Skoro się o tém dowiedziano, nikt więcéj do menażerii nie zajrzał, a lwy, tygrysy, źle przez Litwę przyjęte, w dalszą puściły się drogę.

Zabawiwszy z godzinę w aptece, ponieważ piękny był wieczór, wyprowadziłem gospodarza na spacer, i poszliśmy na zamkową górę.

Z góry patrzeć na ludzi jest oznaką zarozumiałości i dumy, z góry spoglądać na świat szeroki, jakże przemawia do duszy! Zdaje się człowiekowi iż uniesiony w napowietrzne kraje, oderwany od ziemi, ziemską utraca powłokę:

Coraz wyżéj, coraz wyżéj,
Nieba bliżéj, nieba bliżéj!·

Z zamkowéj wiłkomierskiéj góry rzuciwszy okiem do koła widnokręgu, jakiż uroczy krajobraz rozkłada się pod nogami! Na prost, po za sosnowym borem, w dolinie Poszyliny z pięknym kościołem o spiczastéj wieży, a na górze Wojtkuszki z pałacem średniowiecznéj architektury, z wierzycą zachodnią, któréj brak tylko legendy o zamkniętéj w niéj księżniczce, i o wyzwalającym ją rycerzu, aby nie jedną lutnię nastroić, nie jednego barda do śpiewu nakłonić.

Na prawo od Wojtkuszek, wieś kościelna przezwana dla uwiecznienia zwycięztwa odniesionego nad Świdrygajłłą i Inflantczykami, *Pobojskiem*, czyli pobojowiskiem, a rzeka nad którą leży *Wiktoryą*. Na temże samem miejscu, wystawiono w roku 1436 na chwałę Bożą kościół Świętéj Trójcy. Po spaleniu kościoła i zatraceniu aktu pierwotnéj erekcyi, Zygmunt Iszy król polski odnowił w roku 1544, fundacyą i dziesięcinami uposażył. [1])

---

[1]) Fundusz i przywilej na kościół i plebanią Pobojską, niegdyś przez króla Zygmunta I go 1544 roku nadany, a 1649 miesiąca grudnia 29go dnia, przez Jegomość księdza Jana Kazimierza Pieńkiewicza, dziekana Wiłkomierskiego aktykowany, w sposób przenosu, sam tylko oryginał do akt ksiąg Trybunału Głównego Wielkiego Księstwa Litewskiego podał, prosząc nas sądu: aby pomieniony fundusz i przywiléj był do ksiąg Trybunału Głównego Wielkiego Księstwa Litewskiego, spraw wieczystych przyjęty i wpisany; jakoż my, sąd Trybunału Głównego Wielkiego Księstwa Litewskiego, ony przyjąwszy, w księgi wieczyste Trybunalskie wpisać zaleciliśmy. Roku 1785, miesiąca marca, 14go dnia. Sam przywiléj królewski kończy się temi słowy: „Nadto, aby kościół ten wszys„tkich wolności swobód i przywilejów jakich kościoły w państwach naszych wszędzie

Daléj, już na prawym brzegu Świętéj rzeki Leonpol, niegdyś Dowmuntów Siesickich, następnie Radziwiłłowskie, dziś Tyszkiewiczów dziedzictwo. Był tam niegdyś piękny pałac, nad samą rzeką, ale go teraźniejsi posiadacze zamiast odnowić, przerobili, czyli raczéj oszpecili zupełnie.

Niedaleko od Leonpola: „Przy ujściu do Świętéj, małéj rzeczułki „zwanéj po litewsku *Siania*, (Stara), mówi Michał Baliński w Staro„żytnéj Polsce, [1]) wznosił się za pogańskich czasów dębowy gaj, na prze„ślicznem wzgórzu, który miał wyrość na tém miejscu, gdzie Utenes „książe litewski, pogrzebłszy ojca swego Kukowojtisa księcia żmujdzkiego, „syna Żywibunda, około 1221 roku, wystawił posąg, czyli słup, kształt „jego osoby wyobrażający. Ale wprzódy jeszcze, miał tu być pogrze„biony podług powieści Stryjkowskiego, Kernus, przez zięcia swojego Ży„wibunda i córkę Pojatę, którzy na jego pamiątkę, podobnyż posąg „wznieść mieli. Lud pogański aż do czasów Jagiełły, składał w tym gaju „ofiary swym bogom, i ogień święty palił. Zagasiło go chrześciaństwo, „nazwisko tylko *Kukowojtis* miejscu temu od tylu wieków nadane, prze„chowało się dotąd i do nas doszło.“

Po lewéj stronie rzeki, na przeciw saméj góry Kukowojtisa, leży kamień z wydrążoną pośrodku dziurą, może mieć do czterech stóp wysokości, a do dwudziestu obwodu, nazywają go dzisiaj Mak, i jak podanie niesie był kamieniem ofiarnym za pogańskich czasów.

W bliskości Kukowojtisa, rozkopując kurhany, znajdywano trupie głowy przepasane bronzowemi obręczami, oraz inne ozdoby z tego samego metalu, a przy tém ogromnego rozmiaru żelazne ostrogi i ułamki broni; są to bałwochwalczéj Litwy i najezdniczego zakonu pamiątki.

„używają, i aby to ogólne nadanie, tyleż co wyłączne ważyło i wyraźne, który to ni„niejszy nasz przywiléj mieć chcemy, aby miał moc i siłę przywileju i fundacyi, przez „pożar zaginionéj, jako wedle świadectwa ludzi wiary godnych ułożony i spisany, a je„śliby kto ważył się jemu przeciwić i opierać, takiego jako poniewierającego wolę na„szą, surowo karać będziemy. Na wiarę tego listu naszego, pieczęć nasza wielkiego „księstwa litewskiego zawieszona została.“

„Dan: na zjeździe jeneralnym w Brześciu litewskim, w poniedziałek, w dzień Śgo „Michała, roku pańskiego 1544. Panowania naszego trzydziestego ósmego. W obec „przewielebnych w Chrystusie, ojców, Pawła księcia Olszańskiego, Wileńskiego, Jerzego, „Łuckiego,. Wacława, Miednickiego, biskupów i wielmożnych urodzonych, Jana, Wileń„skiego, Jerzego Ościkowicza, Hrehorowicza Trockiego, Jana ksiecia Olszańskiego, Ki„jowskiego, Stanisława Jana Dowojny, Połockiego wojewodów; Hieronima Chodkiewicza „podczaszego, Nikodema Janowicza z Czechanowicz stolnika i starosty Mielnickiego, „Mikołaja Andruszewicza koniuszego wielkiego księstwa litewskiego, i innych panów na„szych, i urzędników naszych, wiernie nam miłych.“

U tego funduszu, przywileju kościołowi i plebanii Pobojskiéj służącego, pieczęć w środku gałki woskowéj na sznurku z jedwabiu w kolorze blado-ponsowym z żółtym plecionym, zawieszonéj, na massie czerwonéj wyciśniona, a podpis króla Jegomości Zygmunta takowy: Sigismundus Rex fit! Pod tym podpisem królewskim, suscepta grodzka powiatu Wiłkomierskiego aktykacyi, następnie przenos do ksiąg trybunału głównego; z którego extrakt, czyli *vidimus*, w roku 1787, miesiąca listopada, 28go dnia, pod pieczęcią ziem: województwa Wileńskiego, J. księdzu Ignacemu Houwaltowi kanonikowi Smoleńskiemu, proboszczowi Pobojskiemu jest wydany. Z tego extraktu wypisany cały przywiléj, w językach łacińskim i polskim, Michał Baliński umieścił w dodatkach do dziejów miasta Wilna, ks. III. T. II, str. od 48 do 65.

[1]) Starożytna Polska Michała Baleńskiego, i Tymoteusza Lipińskiego, T. III str. 271.

O parę wiorst od Leonpola Dziewałtów czyli Dziewiałtów, po litewsku *Dieltawas* (Boży przybytek), tak nazwany może, dla bliskości miejsc poświęconych fałszywym bożkom. [1])

Czy tak jak utrzymuje Stryjkowski, Dziewiałtów był założony przez Juliana Dorsprunga Palemonowego towarzysza, który panując nad obszerną krainą, między Świętą i Dźwiną półożoną, miał w nim przemieszkiwać— czy był osadą Normandów (Skandynawów) w ósmym wieku nawiedzających Litwę? stanowczo wyrzec nie można; to tylko pewno, że Dziewiałtów do najdawniejszych zamieszkałych osad w tym kraju należy. Był niegdyś dzielnicą książąt Ginwiłłów, którzy mieli się z czasem przezwać Kulwieciami, od majątku Kułwa, będącego w ich posiadaniu. [2]) Dziewiałtów dostał się potém księciu Dowmotnowi, a następnie przeszedł do Kieżgajłłów. Dwaj bracia Kieżgajłłowie, Michał wojewoda wileński, kanclerz wielkiego księztwa litewskiego, i Jan starosta żmujdzki, założyli w roku 1476 kościół parafialny, alboli téż dawniéj istniejący odbudowali na nowo i uposażyli. [3]) Z następnych dziedziców, jeden z książąt Wiszniowieckich fundował w Dziewałtowie zbór helweckiego wyznania w XVI wieku. W XVII zaś wieku Podbereski marszałek bracławski zaczął murować do dziś dnia istniejącą Kirchę; dokończyła jéj po jego śmierci żona, Dorota Zawiszanka, kasztelana witebskiego córka. Dziewiałtów w XVIII wieku należał do Grużewskich a w teraźniejszém stuleciu przeszedł do Tyszkiewiczów.

W dzień pogodny, kiedy żadna chmura lub mgła nie pokrywa błękitu nieba, powiedź wzrokiem po za Dziewałtów daleko, a ujrzysz o trzy mile od Wiłkomierza bielejącą się wieżycę starożytnego kościoła Siesickiego, o fundacyi którego pierwszą znajdujemy wzmiankę pod rokiem 1441 w nadaniu przez Bartłomieja Urbanowicza Snukis, pewnéj ilości gruntu zwanego Ponatery, na którym zobowiązał się wystawić kaplicę. Kościół do dziś dnia istniejący, wymurowali w roku 1537 Abraham i trzéj jego bracia Dowmuntowie Siesiccy, pod tytułem Świętego Bartło-

---

[1]) *Dieltawas* znaczy po polsku: *dla ciebie*, przyczém domyślać się trzeba wyrazu: *Boże*. Inni utrzymują, że Dziewałtów nazywano dawniéj po litewsku: *Diewultawa*, co znaczy: *Bożku, twoje!*

[2]) Jeszcze w roku 1539 ksiądz Abraham de Kulwa, z tego samego rodu Kulwieciów, powróciwszy z Niemiec zaczął rozsiewać zasady Lutra, i już był nawet szkołę założył w Wilnie, ale zamiary jego silnym oporem zniweczone zostały.

[3]) Po Kieżgajłłach, Dziewałtów należał do Gintowtów, od którego jeden z nich przezwał się Dziewałtowskim. Autor monografii niektórych rodzin polskich, idąc za zdaniem Niesieckiego, utrzymuje że są dwie rodziny używające nazwiska Dziewałtowskich, jedna herbu Jelita, z Krakowskiego przeniosła się do Litwy, druga herbu Trąby, czysto litewska jednéj z Ostykami i Radziwiłłami dzielnicy. Podług wyżéj wzmiankowanéj monografii, Narimund wielki książe litewski miał syna Lizdejkę najwyższego kapłana, tego synem był Wirszyło, Wirszyły Syrpuć, Syrpucia Hrehory Oscik. Oscik zostawił pięciu synów: Mikołaja Radziwiłła, Czarnego Oscika, Raka, Tokara, Niewierę. Synem Raka był Ciołek, synem Ciołka Oscik; ten miał trzech synów Gintułta, Skopa, Stańczyka; z tych Gintułt Oscikowicz zrodził Bartosza Gintułtowicza Dziewałtowskiego, od którego Dziewałtowscy idą. Ja tu tylko dodam że nazwanie Dziewałtowskich nie jest rodowym, ale przybraném przez Gintowtów po nabyciu Dziewałtowa, i że ów Gintułt Oscikowicz, Ojciec Bartosza Gintułtowicza, protoplasty tego imienia, nie był kto inny jak Gintowt Oscikowicz na Dziewałtowie, Dziewałtowski. Rodzina Gintowtów musiała być jedną może z najdawniejszych w Litwie, gdyż ostatnim Krywekrewejtą na Żmujdzi był Gintowt do r. 1414.

mieja.[1]) Dotąd widzieć można na drzwiach tego starożytnego przybytku, herb Kitaurus, i cyfry fundatorów. Obszerne jezioro odziela kościół Siesicki od zamku tegoż samego nazwania. Zamek Siesicki, niegdyś obronny, do koła oblany wodą, wałem z ziemi obwiedziony, basztami narożnemi oskrzydlony; założył w połowie XV stulecia Gabryel kniaź Dowmontowicz, za panowania Władysława Warneńczyka.[2]) Że Dowmonty przezwali się od Siesik Siesickimi, wątpliwości nie podpada.[3]) Marcyanna Elżbieta Siesicka córka Michała wojewody Mścisławskiego, jedynaczka u ojca, poślubiwszy Michała Antoniego księcia Radziwiłła krajczego W. X. Litewskiego wniosła mu w posagu Siesiki z przyległościami. Syn ich Leon Radziwiłł, strwoniwszy całą fortunę, oddał majątek pod konkurs; od niego to nabył Siesiki Konstanty Dowgiałło.[4])

Dominik Dowgiałło wnuk Konstantego, a dzisiejszy dziedzic, mury opuszczonego zamku od upadku zachował i zupełnie przed dziesięciu laty odnowił. Pozostała główna część budowli składa się z jednego prostokątu mającego 70 łokci długości, o piętrze; wyższa część została rozebrana.[5]) Dwie baszty, jedna okrągła, druga kwadratowa, do węgłów muru od strony jeziora przytykające, ozdobione są blankami i strzelnicami. Wewnętrzne komnaty, dawniéj ogromnych rozmiarów, zmniej-

---

[1]) Że Abraham i bracia jego wymurowali kościół w Siesikach przekonać się można z akt kościelnych. Mylnie zatem autor monografii naznacza Kaspra Siesickiego, fundatorem tegoż kościoła w XVII wieku.

[2]) W artykule, pod tytułem: *Starożytne pamiątki w okolicach Wiłkomierza*, umieszczonym w Atheneum Wileńskiem na rok 1850, w tomie I, na stronnicy 3, co do założenia zamku Siesickiego zachodzi pomyłka. Autor artykułu, czas założenia tego zamku odnosi do XIV wieku, i daje mu za założyciela, Dowmonta, syna Rymunta księcia na Ucianie, opierając się w tém na zdaniu Michała Balińskiego (patrz Star. Polska t. III, str. 273); gdy tymczasem, podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, założycielem zamku był nie kto inny jak Gabriel Dowmont, marszałek dworu Władysława Warneńczyka (patrz genealogią Siesickich); i to w połowie XV wieku, nie mógł być zatém synem Rymunta, który w XIII wieku na Ucianie panował.

[3]) Pamięć imienia Dowmuntów przechowała się do dziś dnia w kilku wsiach około Siesik, Dowmontyszkami zwanych.

[4]) Podług autora artykułu: *Starożytne pamiątki w okolicach Wiłkomierza*, umieszczonego w Atheneum, nie była to Marcyanna, ale Halszka Dowmontówna Siesicka, podług Michała Balińskiego w Starożytnéj Polsce Elżbieta, a podług obydwóch wyszła za mąż za Leona Radziwiłła (podobno krajczego?); w czém się jeden i drugi myli. —

„Marcyanna Elżbieta Dowmontówna Siesicka, wojewodzianka Mścisławska, uro-„dzona przed rokiem 1690 zaślubioną została 1704 księciu Michałowi Radziwiłłowi, sy-„nowi Dominika kanclerza Wielkiego Księstwa Litewskiego. Mąż jéj umarł 29 sierpnia „1721 roku, ona zaś umarła w Białyniach, 28 sierpnia 1736, pochowana w Nieświeżu. „Zostawiła syna jednego Leona, od którego Leonpol przezwany, i Izabellę za Tadeuszem „Ogińskim pisarzem Wielkiego Księstwa Litewskiego.“ (Patrz monografią niektórych rodzin polskich, p. Stanisława Kazimierza Kossakowskiego t. II, str. 309.) W tejże saméj monografii czytamy: „Że od Kazimierza i Melchiora Siesickich, synów Kacpra „podkomorzego Wiłkomierskiego, rodzina ich rozdzieliła się na dwie gałęzie: pierwsza „idąca od Kazimierza, ojca Michała wojewody Mścisławskiego, wygasła na Marcyannie „żonie Michała Radziwiłła; druga idąca od Melchiora doszła do nas, i dotąd znakomite „stanowisko zajmuje w Litwie.“

[5]) Wielka szkoda, że dzisiejszy dziedzic odnawiając dwie rogowe wieże, od jeziora, drugie dwie od przeciwnéj strony rozebrać kazał, przez co gmach ten, jedyny może w tych stronach, ze swéj starożytnéj barwy nieco utracił.

szono i zastósowano do dzisiejszych potrzeb. Po obu stronach zamku znajdują się nizkie sklepione izby; w jednéj z nich pod kwadratową basztą było jak się zdaje miejscowe więzienie; tam widzieć dotąd można w ścianach ucha żelazne służące do przytwierdzania łańcuchów. Na górnem piętrze pozostał pokój nienaruszony podczas odnowienia całego gmachu; w nim u wierzchu jednéj ściany pod samym sufitem, siedm jest framug, w których podług miejscowego podania, mieścić się miały za pogańskich czasów domowe bożki na każdy dzień tygodnia. [1]) Ściany zamku są tak grube, iż niektóre z nich zawierają w sobie schody ukryte, służące zapewne niegdyś do łatwiejszéj komunikacyi, lub do czynienia wycieczek.

Tak jak bluszcz czepia się zwykle starych, popękanych murów, chciałby je swym uściskiem od ostatecznéj zagłady ochronić, każde starożytne zamczysko ma swoję legendę, z mglistéj przeszłości wysnutą, w niéj się pomiędzy ludem okolicznym przechowuje, i czasami aż do najpóźniejszéj potomności dochodzi. I zamek Siesicki, jeżeli w dziejach żadnego prawie ważniejszego nie zajmuje stanowiska, przechował swoję legendę, za którą jak za grubą zasłoną ukrywa się pewnie część prawdy, ale tak przeistoczonéj iż słuchając jéj każdy powtarza:

Wszystko to być może,
Ale ja jednak między bajki włożę.

Dowmont, udzielny książe na Ucianie, przemieszkiwał często w jesiennéj porze dla łowów w zamku Siesickim, otoczonym do koła lasami napełnionemi dzikim zwierzem. Już zapędzony w lata pojął był za żonę młodą Halszkę, jaśniejącą całym blaskiem urody, całym urokiem powabów. Idąc za niego, nie poszła za popędem serca, za podszeptem miłości własnéj, ale za rozkazem rodziców, którzy wydając córkę za panującego książęcia, mniemali że tym sposobem ustalą jéj szczęście. Ale niestety! Tam gdzie mąż stary, zazdrośny, podejrzliwy, żona młoda piękna, niekochająca, trudno o spokój domowy, tém bardziéj o błogie pożycie. Książe Dowmont, czy w Ucianie, czy w Siesikach mieszkając, nie wydawał ani uczt, ani biesiad, nieprzyjmował sąsiadów; niesłyszano tam nigdy odgłosu hucznéj muzyki lub pląsów, nigdy wesołość i uciecha nie przestępowały progów zamczyska, a podczas gdy książe otoczony zgrają myśliwych zapuszczał się w ciemne bory, Halszka zostawiona pod ścisłym dozorem, pędziła życie samotne, smutne, powiem niewolnicze. On mniemał że pod kluczem tylko skarb się przechować daje, niewiedział iż najpewniejszym stróżem małżeńskiego honoru jest zobopólny szacunek i zaufanie.

Pomiędzy towarzyszami Dowmonta znajdował się często spokrewniony z nim młodzieniec znakomitego rodu, nazwiskiem Ostyk Skop. On mu razu pewnego uratował życie od zajadłego niedźwiedzia, od tego czasu stał się ulubieńcem księcia. Ostyk w saméj wiośnie życia, krasnego lica, urodziwéj postawy, skoro po raz pierwszy ujrzał księżnę Halszkę, a ona rzuciła nań okiem, niewyrzekłszy jeszcze słowa jednego do siebie, już się zrozumieli, już przemówili na wzajem tą mową, którą serce do serca przemawia. Że się ztąd gorąca miłość wnet wzięła, łatwo pojąć, ale jakim sposobem zbliżył się młodzieniec do żony przez zazdrosnego męża strzeżonéj? Są na to fortele rozkochanym tylko znane.

---

[1]) Niech mi wolno będzie temu zaprzeczyć, z powodu iż w zamku zbudowanym w XV wieku, po zaprowadzeniu w Litwie wiary chrześciańskiéj, nie podobna przypuszczać, aby osobne przeznaczano miejsca na przechowywanie bałwochwalczych bożków domowych.

Nieminęło kilka tygodni, Halszka stała się niewierną żoną, Ostyk był najszczęśliwszym z ludzi! Że człowiek mniéj jest ostrożnym po dopięciu pożądanego celu, niż nim był kiedy do niego wszelkiemi sposobami zmierzał, przekonanie naucza; z tego więc może powodu książę Dowmont domyślać się zaczął tego, co przed nim ukrywano, może też ostrzeżony przez zauszników pragnących się przypodobać panu, gdy się obudziło podejrzenie, przekonać się o prawdzie zapragnął.

Było to w późnéj jesieni, książe polował w łańskiéj puszczy, gon psów, rogi myśliwskie rozlegały się na wsze strony, a łosie, dziki, sarny, padały pod dobrze wymierzoną strzałą, lub pod silnem uderzeniem oszczepu. Ostyk, przez cały ciąg łowów nieodstępował księcia na chwilę, lecz gdy samym wieczorem zjechali się myśliwi do miejsca przeznaczonego na nocleg, już go nie było, znikł bez śladu. Zagonił się pewnie za zwierzem, powtarzali jedni, zabłądził, utrzymywali drudzy, wysłać nawet chciano za nim; ale książe żadnych w téj mierze nie wydawał rozkazów, może się dorozumiewał gdzie go znaleść można. Po obfitéj wieczerzy, cała zgraja myśliwych w głębokim śnie pogrążoną była, gdy Dowmont z jednym zaufanym służalcem wysunąwszy się z pomiędzy śpiących, cichaczem, dopadli koni i niepostrzeżeni od nikogo puścili się pędem wiatru, najbliższemi manowcami ku siesickiemu zamkowi.

Noc była ciemna, księżyc nie świecił, czarne chmury osłaniały niebo. Dwóch jeźdźców zatrzymało się po nad samém jeziorem, na przeciw zamku; zsiedli z koni i na wiadomém miejscu znalazłszy łódkę, w największéj cichości przepłynęli na drugą stronę. Księżna Halszka mieszkała na górném piętrze, od strony wody. Zaledwo książę przybił do brzegu, pobiegł do okna, a znalazłszy przystawioną do ściany drabinę, zostawił tam służalca swojego na straży, obszedł zamek, zbliżył się do zwodzonego mostu, i za danym znakiem wpuszczony do środka, pospieszył do żony.

Kogo tam zastał, jaka się tam odegrała scena, co się odtąd z księżną stało? pozostanie tajemnicą na zawsze, gdyż od téj chwili, nikt jéj więcéj nie obaczył. Utrzymywali jedni iż zamknięta w podziemnych lochach zamkowych zakończyła dni swoje w pokucie; drudzy że przez męża zabitą została; twierdzili inni iż wyskoczywszy z okna, dowlekła się do jeziora i w niem utopiła.

Ostyka okutego w kajdany, kazał książe do więzienia wtrącić, gdzie pastwiąc się nad nim w największych męczarniach odebrał mu życie. [1])

Gdy jesień nadejdzie, noc ciemna, wiatr po wzburzoném jeziorze harcuje, słyszeć się dają jęki, a skoro chmura księżyc odsłoni, dostrzedz można łódkę, w niéj dwie osoby: mężczyzna robi wiosłami, kobieta cała w bieli ubrana, z wyrazem przerażenia na twarzy tuli się do niego, zdają się uciekać. Uciekają! Ale za niemi w drugiej łódce goni rycerz, okuty w żelazo; jedną ręką kieruje wiosłem, w drugiéj groźny miecz trzyma. Goni, dogania, a gdy obie łódki uderzają o siebie, rozstępują się fale; obie w głębinie wód nikną. Woda zawarczała w tém miejscu, białą okryła się pianą, księżyc zaszedł znowu za chmurę, słychać tylko jęki pomięszane z szumem fali z wiatru poświstem.

Z dziejów litewskich to tylko jest wiadomem o zamku siesickim, że pod jego murami nie jedna bitwa zajść musiała, że za pierwszéj wojny szwedzkiéj był oblegany, a za Karola XII szturmem wzięty, spalony, uległ zniszczeniu. Przy odnawianiu zamku, oczyszczaniu fos, nie-

---

[1]) Powiadają że go ten sam los spotkał, co Abellarda, nieszczęśliwego kochanka Heloizy.

znaleziono żadnych dawnych pamiątek, prócz dwóch kul kamiennych, wydobytych z kanału, kilka odłamków pięknie wyrabianych kafli i niektórych szczątków poprzepalanéj broni.

Dominik Dowgiałło, dzisiejszy dziedzic siesickiego zamku, miłośnik i znawca starożytności krajowych zebrawszy w okolicach Wiłkomierza wiele zabytków dalekiéj przeszłości zwłaszcza z czasów przedchrześciańskiéj Litwy, umieścił je w jednéj z baszt zamkowych. W tym szacownym zbiorze, pierwsza trzyma miejsce znaczna ilość młotów, kilofów, toporów, siekier i rozmaitych narzędzi wyrabianych z granitu i z krzemienia, oraz nie mało ozdób bronzowych służących do kobiecego stroju. Obok nich kołczugi, czyli koszule misternie z drutu stalowego wyrabiane; daléj trzy kompletne zbroje żelazne z hełmami: pierwsza w karpią łuskę, należała podług podania do kawalera mieczowego Rotha, którego po bitwie pod Pobojskiem miano utopić w Świętéj rzece za zdradę, z rozkazu księcia Zygmunta Kiejstutowicza; druga jakiegoś Radziwiłła, jest bowiem na niéj wyryta litera R. z książęcą koroną. Trzecia, po herbie rodzinnym poznać można że należała do jakiegoś Platera.

Czekan żelazny, bogato złotem nabijany, odnosi się podług prawdopodobieństwa do czasów Stefana Batorego, na pół zatarty, na którym lilja spostrzegać się daje, rodzi domysł, iż musiał być własnością któregoś z Paców. [1]) Piękny rząd turecki na konia, może z łupów zabranych pod Wiedniem. Łuk tatarski oprawny w srebro.

Z późniejszych pamiątek znajdziesz kilka par pistoletów, między innemi tureckie Ali Baszy Zybelin, drogo-cenne kucheurejtery, oraz pistolety wersalskie prześlicznéj roboty, które hetman Ogiński otrzymał w darze od Fryderyka Wilhelma III, króla pruskiego.

Z pamiątek konfederacyi barskiéj, ujrzysz obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj na blasze miedziannéj, służący do noszenia na piersiach; należał z pewnością do jednego z obrońców Częstochowy.

Ale z zabytków sięgających wojen krzyżackich w zbiorze siesickiego zamku znajdują się tablice lane z żelaza, które były nieraz powodem sporów między znawcami, i przeciwne wywoływały zdania.

Pierwsza tablica, wysoka na łokieć jeden, szeroka na piętnaście cali, ważąca funtów pięćdziesiąt, odznacza się wypukłem wyobrażeniem orła dwugłowego państwa niemieckiego, z nadpisem: *Imperator.* „Tablicę tę, mówi autor pamiątek w okolicach Wiłkomierza, służącą do „oznaczenia granic zdobytego kraju przez Krzyżaków, niezawodnie przynieśli oni z sobą, dla postawienia na słupach po za rzeką Świętą, gdyby „się udało w przedsięwziętéj wyprawie zdobycz otrzymać; lecz kiedy po „zupełnéj klęsce, mało rycerzy życie uniosło do własnych zamków nad „Niemen, naówczas między sprzętami obozowemi, musiały i tablice pozostać na placu boju. Ta która się w zbiorze siesickim znajduje, znaleziona przez włościanina w piasku nad brzegiem Świętéj rzeki, długi „czas służyła za pokrycie skromnego pieca zadymionéj chaty wieśniaka, „nim poznana przez znawcę, przeszła na miejsce teraźniejszego przeznaczenia.“

Nie dzielę takowego zdania, bo nasamprzód wiadomo z historyi, że nie podbicia, ale tylko napady Inflantczyków dochodziły do Świętéj rzeki, a nawet do Wilna; powtóre znaki graniczne inflantskiego zakonu niebyły jednostajne z cesarskiemi. Wreszcie tablica wyżéj wzmiankowana należyć mo-

---

[1]) Znajdujące się na nim litery S. Z. zrodziły bajkę: że to ten sam czekan, którym Samuel Zborowski Wapowskiego zabił. Gdyby się do owych odnosił czasów, cyfra na nich wyrznięta składałaby się z gotyckich liter, oczywiście zaś jest świeżo dodana.

gła do tych rycerzy niemieckich, którzy w tych stronach jako krzyżownicy wojowali przeciwko Litwie, więc pochodzić chyba mogła z pobojowiska, kiedy Krzyżacy wysłani od Konrada Wallenroda pod dowództwem marszałka zakonu i Witolda, Wiłkomierz zdobywszy spalili 1391 roku. Ale i to nie jest podobném do prawdy, gdyż z powierzchowności sądząc o tym pozostałym zabytku, nie zdaje się tak dawnéj starożytności sięgać. Czem więc jest? Raczéj ozdobą jakiegoś pomnika, szyldem rządowym, jak znakiem granicznym, przyniesionym w te strony trafunkiem, którego odgadnąć nikt nie jest w stanie.

Dwie drugie tablice, podobne do pierwszéj, tylko mniejszego rozmiaru, pochodzące ze zbioru marszałka Żagla, z wypukłém wyobrażeniem, na każdéj z nich, osoby koronowanéj trzymającéj w jednéj ręce jabłko, w drugiéj miecz, z nadpisem: *Vivat Leopoldus*, i z otworem u spodu kwadratowym opatrzonym w zawiaski, jakby do drzwiczek, nie są pono czem inném jak zamknięciem od pieca lub kominka.[1])

Ponieważ z góry zamkowéj Wiłkomierskiéj, lasy po za Siesikami dalszy tamują widok, cofnijmy się nazad a przebiegłszy raz jeszcze okiem Dziewiałtów, Leonpol, Pobojsk i Wojtkuszki, ujrzymy na wzgórku kościół Nidocki, daléj dwór należący dawniéj do generała Morykoniego, następnie do hrabiny Plater, a teraz do marszałka Bystrama. Za Nidokami gęste wsie, pomiędzy któremi bystra Cesarka wijąc po niwach i łąkach wpada nakoniec do Świętéj rzeki. Przejdźmy przez nią i zatrzymajmy przed kościołem Widziskim, który jeżeli architekturą zewnętrzną nie uderza na pierwszy rzut oka, ozdobą i urządzeniem wewnętrznem przyjemne sprawia wrażenie.[2])

„Cóż to bieleje w tym lasku brzozowym, tam po lewéj stronie w oddali“? zapytałem towarzysza mojego. „Jest to kaplica szołkowska“ odpowiedział; „wystawiona na grobie naszego podkomorzego,“ dodało dwóch nieznajomych, wchodząc w tejże saméj chwili na zamkową górę. Po siermiężanych kapotach, pomiarkowałem że to być muszą, albo Wiłkomierscy mieszczanie, albo okoliczna szlachta. Wiedziałem dobrze o kim była mowa, pragnąłem jednak usłyszyć, co powiedzą o tym, którego ogólnie wszyscy w tych stronach kochali i poważali; głos bowiem ludu jeżeli jednych nieodwołalnym potępia wyrokiem, staje się dla drugich najpiękniejszą pogrzebową pochwałą. Gdy więc naumyślnie rozpytywać się zacząłem: kto był ów podkomorzy—„musisz Pan być bardzo z daleka, odrzekli, kiedy go nieznałeś, a przynajmniéj niezasłyszałeś

---

[1]) Dominik Dowgiałło, dziedzic Siesik, nieubiegał się ani za dostąpieniem urzędów, do których rościć sobie miał prawo, ani za próżnością światową, która istotnie próżnię zostawia tylko po sobie; był dobrym mężem, ojcem, panem, szacunku godnym obywatelem, praktycznym gospodarzem, i w tych to szrankach zawarł zawód swojego życia, i dopełnił go poczciwie.

Majątek po ojcu obciążony długami oczyścił, do wzorowego stanu doprowadził, zamek Siesicki podniósł z gruzów i w piękną rezydencyą zamienił.

Umarł w Paryżu 1857 roku, pochowany na smentarzu du Père la Chaise. Pełen wiadomości i naturalnego dowcipu; śmierć jego zostawiła w towarzystwie trudną do zapełnienia próżnię, i stała się dla tych co go ocenić umieli niepowetowaną stratą.

[2]) Kościół w Widziszkach wymurował dziedzic tego miejsca Onufry Kosko były marszałek Wiłkomierskiego powiatu. Zewnętrzny kształt budowli żywcem wzięty z kościoła reformowanego wyznania w Wilnie, z tymże samym frontonem, kolumnadą, i nadpisem: *Oddajcie cześć Panu.* Na wewnątrz bogate naczynia, apparaty, monstrancya brylantami wysadzana, przypominają owe czasy, kiedy praojcowie nasi na chwałę Bożą wznosili kościoły, obsypywali je darami.

o nim. Przez ciąg długiego żywota, on był pomocą, opieką biednych, całéj okolicy. On nieszczęśliwych pocieszał, zakłopotanym radził, łaknących karmił, potrzebnych wspierał. Dzielił się tém co miał, a choć nie miał do zbytku, wystarczało mu zawsze i dla siebie i dla drugich, gdyż Bóg zsyłając na dom jego błogosławieństwo Swoje, dopełniał w nim cudu rozmnażania chleba.“

Józef Kozakowski syn Adama rotmistrza wojsk litewskich, urodził się w dawném województwie Wileńskiém 1769 roku. Zaledwo lat dwadzieścia skończył, wszedł do gwardyi mirowskiéj w stopniu towarzysza. Gdy uchwałą sejmową siłę zbrojną powiększać miano, i doprowadzić do liczby stu tysięcy postanowiono, do uorganizowania takowego wojska utworzono kommissyą, do któréj pomiędzy delegatami od partyi litewskiéj Józef Kozakowski naznaczony został. W roku 1793 przeniesiony w randze kapitana na instruktora nowo formujących się pułków lekkiéj straży, pod dowództwem generała leutnanta Bielaka, obecny wszystkim walkom, pod Kobyłką ranny był bagnetem, a pod Lubartowem kartaczem. Pod koniec krótko trwającéj kampanii podniesiony do stopnia majora, gdy z małą garstką ludzi, pod Olkuszem odcięty od głównéj kwatery przedzierać się musiał przez zastępy dziesięć razy liczniejszego nieprzyjaciela, otoczony ze wszech stron, broń złożył; poczém otrzymawszy pozwolenie powrotu do Litwy, oddano mu pod komendę cały konwój rannych i chorych.

Zakończyła się dla niego żołnierka, wojna ustała, kraj rozebrano. Wybrany z powiatu wiłkomierskiego deputatem na ostatni trybunał czyli sąd główny litewski w Grodnie, w czasie urzędowania swojego dowiódł, że człowiek prawy, w jakimkolwiek bądź zawodzie, nigdy nie zbacza z drogi, którą mu honor i obowiązek wskazują. Trybunał wkrótce potem zwinięto, utworzono gubernie, a Józef Kozakowski osiadł we wsi swojéj w Szołkowie.

Odtąd obierany nieprzerwanie w powiecie wiłkomierskim, sędzią, prezydentem, podkomorzym, przewodząc nie w jednéj exdywizyi, nie przestawał prawie do śmierci być czynnym i użytecznym współobywatelom i krajowi.

Opiekun wdów i sierót, pojednawca całego powiatu, on pierwszy radą i kieszenią dopomagał, powaśnionych godził; potrzebował kto zboża na chleb lub nasienie, potrzebował pieniężnego zasiłku, do podkomorzego jak w dym. Musiał więc być bogatym, kiedy mu wystarczało na wszystko? Bogatym nie był, ale majętnym; dla siebie nic niewydawał, azatem chociaż gospodarstwo szło u niego niewymyślnie, po dawnemu, nigdy się brak czuć nie dawał.

U pana Podkomorzego za stołem przy prostéj a wykwintnéj strawie widziałeś siedzącego nieraz obok powiatowego dygnitarza, zagonowego szlachcica, bo u niego żadnéj nie było różnicy między kaletą a siermięgą, pod jego dachem każdy był równy, czy w butach czy w łapciach chodził.

W roku 1812 kiedy się wojna zaczęła, a pożar, rabunek, zniszczenie znaczyły szlaki którędy przechodziła armia francuzka, cała prawie ludność wiłkomierska, do dwóch tysięcy chrześcian i żydów, opuściwszy miasto, w ogrodzie szołkowskim i po polach Podkomorzego stanęli obozem i w jego ręce złożyli sprzęt droższy, odzienie, dobytek, z tem przekonaniem, że prawość i cnota starczą za obronny zamek, bo w dniach prób i ucisku, jeżeli się znajdzie mąż Boży, ten jak pasterz ewangieliczny garnie do siebie przelęknioną trzodę, i gotów dać życie swe za owieczki.

Podkomorzy Kozakowski uciekających się do niego przytulił, przez dni ośm wykarmił, obronił. Stary żołnierz wiedział, co żołnierza najdzikszego nawet rozbraja, że najadłszy się i napiwszy do sytu, wyśpi się spokojnie, nic złego nie zrobi, i odchodząc powie czasami: Bóg zapłać! Tak się też stało, bo w czasie gdy łuna palących się sąsiednich wsi i dworów przyświecała rabunkom i gwałtom rozkiełznanego, żadnéj subordynacyi nieznającego żołdactwa — w Szołkowie nikomu nie spadł włos z głowy.

W kilka dni późniéj Józef Kozakowski wszedł napowrót do wojskowéj służby i naznaczony został komendantem żandarmów powiatu wiłkomierskiego. Zajął się zaraz zaprowadzeniem porządku i zabezpieczeniem osobistéj własności; magazyny zaopatrzył w zboże, a w szpitalach zaprowadził dozór i prędki ratunek. Nieoględny na to co kto powie, niedbający o siebie, idąc zawsze prostą drogą w najtrudniejszych i najdrażliwszych okolicznościach, nie narażał jednak nikogo przeciwko sobie, bo dobro ogółu miał jedynie na celu.

Tak przeżył długi przeciąg lat, i wtedy dopiero porzucił zawód publiczny, gdy późna już starość styrała w nim fizyczne siły i stanowczo wyrzekła: dosyć się napracowałeś dla drugich, czas teraz odpocząć.

Ostatnie lata przykładnego życia spędził na łonie rodziny; syn, synowa z licznem potomstwem; otoczyli starca miłością i pieszczotami, umilili mu dni ostatek, i jakby kwiatem usłali tę ścieżkę, po któréj się przechodzi z doczesnego do wiekuistego życia.

Józef Kozakowski umarł $^{13}/_{25}$ października 1850 roku.

Jak ten modrzewowy dworzec, który przetrwał wieki, i nosi na sobie starożytności piętno, tak też podkomorzy Kozakowski był niezaprzeczenie w swoim powiecie ostatnim przedstawicielem dawnego karmazynowego szlachcica. Ta sama bogobojność, prawość i cnota, która praojców naszych odznaczała: szczerość w sercu, prawda w ustach, dobroduszność w obejściu. Rada jego była zdrowa, przestroga zbawienna, pomoc skuteczna; gościnny w domu, poza domem równie dla wszystkich uprzejmy.

Lubił o dawnych rzeczach prawić, a miał co mówić, bo jeźli wiele widział, dużo doświadczył. Każda nowość z trudnością trafiała do jego przekonania; nie było dla niego lepszego prawa nad statut litewski, lepszego wychowania nad publiczne, godniejszego zawodu jak obywatelski. W gospodarstwie trzymał się dawnego trybu: pole wygnoić, wczas posiać, wczas zebrać, a wszelkim płodozmianom, drenowaniom, irygacyom był przeciwny. Z dawną też modą niewziął rozbratu, kiedy do śmierci ani kontusza, ani kapoty nie zrzucił. Czytano razu pewnego przed nim w Kurjerze Wileńskim: o panicznym strachu cholery. „Co to za brednie, zawołał, byli u nas niegdyś panowie, byli i panicze, bywał strach na panów, naprzykład podczas hajdamackich napadów, bywał strach i na paniczów, szczególniéj co sobota u Jezuitów, kiedy przed księdzem rejensem, uzbrojonym dyscypliną, uczniowie zdawać musieli rachunek sumienia; ale my, dawnéj daty ludzie, nieznaliśmy ani cholery, ani owych panicznych strachów, o których teraz duby smalone plotą.“

Przysłowiem jego było: *Ojcze święty*, regułą życia: *res sacra miser*, a ojcem świętym nazywało go wdzięczne ubóstwo i nędza.

Kiedy podczas wojny i grasującéj po kraju cholery w roku 1831 generał Wierzulin wchodził na czele Czerkiesów do Wiłkomierza, on go z urzędu przyjmował. „Czyś Waćpan gotów na nasze przyjęcie?“ zapytał go generał. „Gotów, ale nie rad,“ odpowiedział; i w rzeczy samej

był gotów, gdyż miejskie magazyny napełnione były zbożem i furażem; a nie rad, bo się lękał, aby mu wojsko nie przyniosło zarazy do miasta.

O pół mili od Wiłkomierza, w szołkowskim dworze, święcie przechowują pokój, w którym przez więcéj pół wieku mieszkał podkomorzy Kozakowski, i gdzie umarł. Znajdziesz tam tę samą niewykwintną szafkę, w któréj chował odzienie, gdzie się znajdowało całe jego archiwum, stół sosnowy, stołki, wązkie łóżko, a nad uwiązany powróz u belki, za pomocą którego podnosił się w późnéj starości; znajdziesz pod oknem kulę, na któréj po złamaniu nogi podpierać się musiał; w jednym kątku gromadkę kamyków uzbieranych przez siebie po polach, w drugim cały zbiór rozmaitego gatunku kijów, który swem województwem kijowskiem nazywał.

O kilka set kroków od szołkowskiego dworu, w brzozowym lasku wznosi się piękna kaplica w stylu lombardzko - romańskim z wysmukłą wieżyczką, przyczepioną do boku, z obrazem Najświętszéj Panny Ostrobramskiéj w ołtarzu, z napisem nad wchodowemi drzwiami, wyjętym z ewangielii świętego Jana:

„*Kto wierzy w mię, choć i umarł, żyw będzie.*“

Wymurował ją, otoczył kalwaryą, obwiódł kamiennym parkanem Karól Kozakowski wraz z żoną Klementyną z Możyckich i złożył w niéj zwłoki ojca. Tam się codziennie msza święta odprawia, rodzina i włość modlą się codziennie za duszę najlepszego ojca i pana, a ubogi żydek wiłkomierski, idąc gościńcem, skoro spostrzeże zdala szołkowską kaplicę, nie zrobi znaku krzyża świętego, bo mu ta łaska jest odmówioną, ale westchnie głęboko i rzeknie w duchu: „Nie masz naszego podkomorzego, bieda nam!“

Schodząc z zamkowéj góry i raz jeszcze rzuciwszy okiem na szołkowski kościołek, pomyślałem sobie: że jeźli w wieku samolubstwa Mohort przyświecał zachodowi cnót szlachty polskiéj, życie bogobojnego i prawego człowieka bodajby się stało w narodzie naszym przedświtem następnych cnót chrześciańskich i obywatelskich!

Nazajutrz, jako w dzień targowy, od samego rana zaczęli się zjeżdżać do miasta z poblizkich wiosek mieszkańce z dobytkiem, zbożem lub naczyniem na sprzedaż; obywatele, jedni dla załatwienia interesów, pokupki potrzebnéj do domu, sprawunków dla żony lub dzieci, drudzy dla widzenia się z sąsiadem. I ja z tego powodu zatrzymałem się w Wiłkomierzu, ażali nienapotkam się ze znajomym.

Po mszy świętéj zaszedłem do sklepu pani Abelowéj, gdyż proszę wierzyć, że tak jak Rozmonith lub Flatau w Warszawie, Adelsohn we Wilnie, tak pani Abelowa w Wiłkomierzu prym trzyma. U niéj wszystkiego dostać możesz, począwszy od rygskich i petersburskich cygar i papierosów, od herbaty, cukru, korzeni, do rozmaitego gatunku win choćby najdroższych; od sera krajowego, fig, rodzynków, do sardynek de Nantes, trufli, ryb morskich, pasztetów strasburskich.

Sklep pani Abelowéj istnym kalejdoskopem! Ci wchodzą, ci wychodzą, targują, kupują; tamci idą po wązkich schodach na górę, gdzie w osobnym, na to przeznaczonym pokoju, każą sobie dać przekąskę. — Podczas gdy ruch i gwar ożywiają wnętrza sklepu pani Abelowéj, drzwi wchodowe nieustannie są oblężone żebrzącem, rękę wyciągającem żydostwem. Usiadłem sobie na boku, chcąc się temu wszystkiemu przypatrzeć, i nie jedno może filozoficzne spostrzeżenie uczynić, gdyż podług mnie człowiek daleko więcéj się nauczy złego co oczy jego obaczą, jak złego co w najmądrzejszych nawet książkach wyczytają. W téj właśnie

chwili dwóch chłopów z czapkami na głowach wchodziło do sklepu, a zapomniawszy, że są u żyda, zaczęli od: *Te gulbus pogarbintas Jezus Christus* — na co im odpowiedziałem: *Ant amziu amzenuju Amen.* Poczem śmiało przystąpiwszy do pani Abelowéj, stojącéj za kantorem: „Pani kupcowo, odezwali się, prosimy o dwie paczki *fanaberii*, po dziesięć kopijek paczkę.“

Powstałem z miejsca, chcąc się dowiedzieć jak wygląda ta fanaberja, i przekonałem, iż tak nazywają cygara. — Zaciekawiony tem niby krytycznem osądzeniem rzeczy, skoro ze sklepu wychodzić mieli, zatrzymałem ich i zapytałem: z jakiéj są wsi? Dowiedziawszy się, że należała do pana X., który ją sprzedał niedawno: „czy dobrze wam pod nowym panem?“ dodałem. „Panie, odpowiedzieli zdejmując czapki, dawniéj widną nam była droga do dworu, dziś ją za łzami zaledwo dojrzeć możemy.“ — Z dalszéj rozmowy z niemi dowiedziałem się, że nowy nabywca podaną mu inwentarzem sześciodniową pańszczyznę podwoił, większe też pole obsiewa, a jeżeli na ich użyznienie braknie mu czasami nawozu, zastępuje go skrapiając obszerne swe niwy potem uciśnionego wieśniaka.

Skoro mnie spostrzegł pan Abel, zbliżył się zaraz, przywitał i zaczęliśmy z sobą rozmawiać o cenach zboża, handlu, o puszczonéj przez niego w kurs papierowéj monecie,[1]) a nawet o wojnie i pokoju, bo mówiąc między nami, wielki z niego polityk, czyta gazetę, wyprowadza z niéj różnorodne wnioski i za bardzo rozumnego uchodzi.

„Jak się masz Abelciu?“ zawołał na głos młody człowiek, z czarnemi wąsikami i brodą, w dosyć zaniedbanem ubraniu, w kapeluszu słomiannym na głowie, a cygarem w ustach — „że jeszcze żyjesz, mocno się cieszę, dodał, bo się prawdziwie lękałem, aby w wasz sądny dzień, kiedy djabeł z konieczności jednego żyda porywa, koléj w tym roku nie przypadła na ciebie“ [2]). Abel nic na to nie odpowiedział, ale zapytał jakby w dalszym ciągu naszéj rozmowy: „Czem panowie zwykle pokrywacie wasze kościoły?“ „Blachą.“ „Pałace?“ „Dachówką.“ „Dwory?“ „Gątami.“ „A chlewy?“ „Słomą.“ „A dla czegoż tą samą słomą widzę niektóre głowy szlacheckie nakryte?“

„Kto to taki?“ wymówiłem po cichu do Abela.

„Synowiec jednego z naszych urzędników, głowa nakryta słomą, a w głowie i kieszeni pusto.“ „Może się obrazić?“ „Niema się czego lękać, bo to widzisz Pan chłopi kupili za dwadzieścia kopijek fanaberii, on za trzy ruble kupuje, z tą różnicą, że tamci zapłacili, a ten bierze na kredyt.[3])

Po nie złym, jak na głodny ząb obiedzie, po dosyć długiéj przechadzce w inżynierskim ogrodzie, w którym z wiłkomierskiemi elegant-

---

[1]) Ponieważ przeszło od roku brak zdawkowéj monety czuć się w kraju dawał, zaczęli żydzi po najmniéjszych nawet miasteczkach puszczać w kurs papierki swojéj roboty, wartość od pięciu do dwudziestu pięciu kopjiek. Co byłoby nawet wielkiem ułatwieniem gdyby się fałszerstwo nie było wkradało do téj spekulacyi. W prawdzie rząd wybić kazał za sześć milionów rubli, zdawkowéj monety, cóż z tego, nie widać jéj wcale, papierki żydowskie jak kursowały kursują, a chcąc zmienić papierowego rubla na drobne stracić musisz pomimo tego dziesięć kopijek.

[2]) Jest zadawniony przesąd pomiędzy gminem, jakoby w sądny dzień, djabeł jednego żyda porywał.

[3]) Cała ta rozmowa nie jest bynajmniéj zmyśloną, ale co do słowa miała miejsce.

kami z powodu krenoliu, z trudnością ominąć się mogłem; powracając do kwatery, ujrzałem całą ulicę napełnioną ludem, i w téjże chwili wyszedł z domu przezwanego nie wiem dla czego „Ameryką“ żałobny kondukt. Skromną trumnę jednym koniem ciągnioną poprzedzał miejscowy proboszcz, a za nią począwszy od powiatowego marszałka, do najdrobniejszego aplikanta, cała urzędnicza klassa; za tą obywateli mnóstwo, daléj mieszczan jeszcze więcéj, a nieco o podal z parę tysięcy żydów. „Czyj to pogrzeb?“ zapytałem. „Rakowskiego,“ odpowiedziano. „Czemże on był?“ „Urzędnikiem, a jeżeli Pan chcesz się dowiedzieć jakim, dodano, spojrz tylko na tę ilość odprowadzających go na wieczny odpoczynek, i to nie z rozkazu, ale z dobréj woli, a przekonasz się, jaką pamięć po sobie zostawia.“

Potomek poczciwéj ale ubogiéj szlachty, dokończywszy nauk szkólnych, zapisany do kancellaryi marszałkowskiéj w Wiłkomierzu, w niéj służył do śmierci, nie ubiegając się ani o wyższą posadę, ani o żadną nadgrodę. Załatwiać interessa obywatelskie, było dla niego najmilszem zajęciem, on biednéj szlachcie, lub żydom mającym interes w jakiéjkolwiek kancellarii rządowéj, dopomagał radą, pisał prośby, wstawiał się za pokrzywdzonemi, prosił za niemi i częstokroć wyprosił; a wszystko darmo, gdyż od nikogo ani pieniędzy, ani najmniejszego upominku nie przyjął. Mało miał, a ileż to razy podzielił się ostatnim rublem, i lichą swą strawą z uboższym od siebie. Chociaż niedożył późnéj starości, gdyż zaledwo w pięćdziesiątym roku życia swego umarł, przez ostatnie lat dziesięć zapadając często na zdrowiu, niewychodził prawie z domu. Co ranek przynosili mu papiery z biórа, a on ślęcząc nad niemi do późnéj nocy, pracował więcéj od drugich, za i dla drugich; z tego więc powodu dobrze był zawsze uważany od władzy, kochany od kolegów, szacowany od wszystkich.

Kiedy ze szczupłéj płacy jaką pobierał, uzbierało się kilkadziesiąt złotych i radzono mu aby sobie coś z odzienia kazał zrobić: „dobrze, obaczemy późniéj,“ powtarzał, i nim to „późniéj“ nadeszło, rozdał ubogim pieniądze, i nie było już za co sprawić surduta lub spodni. Nie raz żydzi wiłkomierscy, nie mogąc go przymusić do przyjęcia jakiegokolwiek bądź daru, wykradali mu stare odzienie i kładli natomiast nowe. Skoro odkrył ten frymark, zżymał się, gniewał, skarżył że go podejść zdołano, ale nie było rady, chcąc nie chcąc uledz konieczności musiał. Toż samo działo się w jego chudopolskiéj spiżarni, gdzie często niewidoma ręka dosypywała krup, dokładała masła, dorzucała kawałek mięsa.

Bogobojny, skromny, pracowity, przeszedł bez szemrania po cierniach téj drogi, która z doczesnego do wiekuistego życia wiedzie, tak jak ten pielgrzym, który z torbą na plecach i z kijem w ręku idzie i dojdzie do ziemi świętéj, z modlitwą na ustach, z pokorą w sercu, ze zdaniem się na wolę Boską.

Po powrocie z pogrzebu, zebrało się kilkanaście osób u pana Sędziego na herbatę. Przedmiotem ogólnéj rozmowy był ma się rozumieć nieboszczyk: ci chwalili jego prostotę, tamci pracowitość, inni uczynność. „Był to jedném słowem oryginał,“ zawołał assessor sądu ziemskiego, czyli policyjnego. „Bardzo Pana przepraszam,“ przerwał mu młody urzędnik do osobnych poleceń przy gubernatorze zesłany do Wiłkomierza na śledztwo, pierwszy tancerz i elegant guberskiego miasta, którego po nowiuteńkim fraku mundurowym, włosach zaczesanych à la kacap, poznać, a po silnym zapachu bergamoty z daleka poczuć można było, „źle się Pan tłomaczysz, nie był to oryginał, ale człowiek *excentryczny.*“

„Dajcież sobie pokój z waszemi uwagami nieprzyzwoitemi, ode-

zwał się na to stary chorąży powiatu wiłkomierskiego; znałem dużo ludzi excentrycznych, jak ich pan nazywasz, żaden z nich nie był do niego podobny. Znałem pewnego Jegomości, który gdy wychodził z wieczora, deszcz padał, było błoto, i doróżki znaleźć nie mógł, kazał się nieść na plecach żydowi do domu, za co mu dwa złote płacił. Znałem drugiego, który następował sobie często na nogi, i sam siebie przepraszał. Pewien magnat rossyjski, gdy się jego sukni ktoś choć przypadkiem dotknął, już jéj więcéj na siebie nie włożył; drugiego dziwactwem było iż musiał co dzień innym koniem w doróżce przejeżdżać się po Petersburgu. Pewna elegantka miała 365 sukni, straciwszy męża przysięgła iż przez ciąg żałoby żadnéj nowéj nie kupi i dotrzymała słowa. Słyszałem o pewnym księciu Radziwille że wychodził zawsze tyłem z pokoju, aby mu w pięty nie zajrzano. Kownacki szambelan króla Stanisława Poniatowskiego, okładał sobie na noc twarz cielęciną, a na dzień bielił ją i różował. Instygator Krajewski wyobrażał sobie że ma szklanne nogi, i uchylał głowy ile razy przezedrzwi przechodził; może miał ku temu powody. Znam pewnego Pana, bogaty, mieszka w mieście w najętym domu wykwintnie umeblowanym, ma liczny dwór, kucharzowi płaci sześć dukatów na miesiąc, w stajni kilkanaście koni, w wozowni kilka pojazdów; pomimo tego jada zawsze obiad w lichéj traktierni, pije herbatę w cukierni, i inaczéj po mieście nie jeździ jak najętą doróżką. Każdy z wyżéj wymienionych był po swojemu oryginałem, excentrycznym, dziwakiem; Rakowskiego zaś raczéj pierwowzorem nazwaćby można; i dałby Pan Bóg aby wielu naśladowców znalazł. Jego oryginalność ograniczała się na tém, iż będąc urzędnikiem kubanów niebrał, excentryczność, iż nowego odzienia nie widziano na nim; a dziwactwo, iż się bergamotą nie perfumował. Chcecież wiedzieć czém był w istocie? zapytajcie biedniejszéj klassy mieszkańców tutejszych, a ci wam serdecznym żalem po nim, i łzami odpowiedzą.“

Po herbacie, amatorowie gierylasa zasiedli do zielonego stolika, a ponieważ ja gram tylko na fortepianie, wyniosłem się od pana Sędziego, sam nie wiedząc jeszcze, jak wieczór zakończę. Przeczytawszy afisz przylepiony na drzwiach jednego z domów naprzeciw odwachu, czyli raczéj doniesienie: iż przejeżdżający artysta drammatyczny odgrywać będzie komedją, w któréj sam jeden siedm osób przedstawi; nie mając co robić, zapłaciłem rubla, i poszedłem na teatr.

Urządzenie sceny i parteru było nie złe, orkiestra żydowska wcale dobra, o grze aktora podejmującego się tak męczącéj roli zawyrokować nie mogę, gdyż dla gorąca i zaduchu przed końcem wyjść musiałem, wszakże jego dobre chęci pochwalam.

Wróciwszy do kwatery przypomniałem sobie jak przed czterdziestu laty aktorowie podróżujący dali kilka widowisk w Rosieniach na Żmujdzi, i nie zły dochód mieli. Na żądanie zapowiedziano tragedją w pięciu aktach, Inez de Castro, lecz brakowało kilkoletniego dziecka, bez którego tak tkliwa sztuka nie mogła być daną. Mieszkańce Rosień są po większéj części żydzi; antreprener w kłopocie nie wiedział jak sobie dać radę, gdy szczęściem faktor doniósł że o kilka mil ztamtąd, w zamku marszałka Giełguda, znajduje się karzeł bardzo zabawny i śmiały.

Jadą więc po karła, przywożą go, dają mu rolę i golą wąsy; bo miał już lat z piędziesiąt. Odbywa się pomyślnie przedstawienie, lecz gdy w scenie najczulszéj dzieci błagają króla o łaskę dla nieszczęśliwéj matki, karzeł odezwał się basem tak donośnie, że i król i Inez, i surowi ministrowie, nie mogąc powściągnąć śmiechu uchodzą za kulisy. Publiczność poznaje sąsiada karła, i tragedja zwana: *Morzem łez*, przemienia

się w najzabawniejszą krotofilę, którą na powszechne żądanie powtórzyć musiano z zupełném zadowoleniem widzów i pomnożeniem kassy teatralnéj.

Temu lat kilka przejeżdżałem przez Wiłkomierz, gdzie panowała podówczas silna cholera. Droga pocztowa do Wilna idzie koło samego żydowskiego smentarza. Jakież było zadziwienie moje kiedy zbliżając się do miejsca wiecznego spoczynku ujrzałem całą gromadę żydów płci obojéj tańczącą pomiędzy grobami. Zatrzymawszy się, zapytałem wychodzącego z tamtąd starego izraelity, coby to miało znaczyć? Odpowiedział że ponieważ od kilku tygodni ze trzystu żydów w Wiłkomierzu z cholery umarło, a lekarze leczyć téj okropnéj choroby nieumieją, kahał miejscowy udał się do rabina kowieńskiego, bardzo mądrego, po radę. Ten im nakazał posty, modlitwy, i polecił aby z pomiędzy siebie wybrali młodą parę, z najuboższéj klassy, złożyli dla niéj posag ze składek i wyprawili ślub i wesele pośród mogiłek. W kilka tygodni późniéj napotkawszy w Wilnie wiłkomierskiego żyda, zaczepiłem go z ciekawości dowiedzenia się o skutku owego dziwnego rodzaju zapobieżenia chorobie, i dowiedziałem że od téj chwili ustała pomiędzy żydami.

Taki to brak oświaty panuje dotąd pomiędzy ludźmi gwałtem wciskającemi się do naszéj cywilizacyi, pragnącemi używać naszych przywiléjów i prerogatyw. Dawny ubiór zrzucili, a nie mogą się z owych grubych przesądów i guseł otrząsnąć.

Mając zamiar zwiedzić część alexandrowskiego powiatu, wyjechałem z Wiłkomierza bitym gościńcem dyneburskim, a ujechawszy mil parę, zboczyłem na lewo chcąc wstąpić do Pienian majętności Felixa Siesickiego byłego marszałka wiłkomierskiéj szlachty.

Niedaleko drogi, u brzegu Świętéj rzeki znajduje się źródło zwane po litewsku: *Kragzla*, które u pogan litewskich za święte uważane było. Po polach i lasach widać mnóstwo nie wielkich kurhanów, pewnie na dawnych pobojowiskach usypane. Daléj po nad samą rzeką w pięknem położeniu miasteczko Kowarsk należące niegdyś do Grzegorza Ostyka ściętego na rynku wileńskim 18go czerwca 1580 roku, za fałszowanie pieniędzy i zdradę kraju. W bliskości miasta widać dotąd ślady dworu i kaplicy. Kościół w Kowarsku założony 1538 roku; fundusz jego pomnożył i ustalił 1697 roku Marcyan Ogiński kasztelan mścisławski, a dziś wznosi na nowo z muru miejscowa parafia, za przyłożeniem się Felixa Siesickiego teraźniejszego dziedzica, a szczególniéj za gorliwem staraniem usilną pracą, i wielkim nakładem księdza Alexandra Jacewicza proboszcza parafii kowarskiéj.

Przejeżdżając przez wieś dorządnie zbudowaną, zapytałem stojących przy drodze włościan: „Czy Pan w domu?“ „Pana nie masz, odpowiedzieli, ale ojciec jest.“ Taka nazwa nie może być daną tylko temu, który lud powierzony jego opiece uważa za dzieci swoje.

Pieniany leżą w płaszczyźnie, nie wysiliło się przyrodzenie nad upiększeniem tego miejsca, lecz to co mu odmówiło zastąpiła sztuka, dobry smak, i nieszczędzone koszta. Dom mieszkalny zachowuje Felix Siesicki jako pamiątkę po ojcu, dodawszy do niego to wszystko o co się dopomina wypieszczone nieco i wielce wymagające pokolenie nasze. Zabudowania dworskie, officyny, stodoły, obory, parowe gorzelnia i piwnia, magazyny, stajnie, wszystko z muru, są jego utworem.

Zaraz za domem ogród fruktowy, dawny, z dwoma po bokach wirydarzami; w jednym z nich chowają daniele, drugi służy za miłe schronienie podczas letnich upałów. Po lewéj stronie prowadzi droga pomiędzy samemi najrzadszemi krzewami i kwiatami do obmurowanéj przestrzeni, w któréj się mieszczą cieplarnie i trejbhauzy. Po prawéj stronie

przechodzisz przez gęste laski i łąki oblane szerokim kanałem, aby się dostać do umiejętnie narysowanego angielskiego ogrodu. W ogrodzie fruktowym znajdziesz sam dobór najlepszych owoców, pomiędzy któremi do stu pni drzew morwowych; w ogrodzie angielskim wszystko co tylko ostry nasz klimat utrzymać pod gołem niebem dozwala. Pomiędzy krzewami rosną na gruncie: *robinia lispida*, *robinia viscosa*, *aeilantus glandulosus*, *alix annullata*, *gledicia*, mchowe róże i centyfolie puszczane w drzewo. Pomiędzy drzewami najbogatszy jest zbiór szpilkowych, z różnych części świata.

Pomiędzy kwiatami masz całą polską florę, a w trejbhauzach, cieplarniach, oranżeriach, w domie holenderskim, ananasarni, brzoskwiniarni, winogroniarni, morelarni, co tylko bez sztucznego ciepła, ani kwiatu, ani owocu u nas wydać nie może.

W Pienianach pod względem rolniczym: gospodarstwo płodozmienne, z irygacyą łąk, z drenowaniem gdzie wymaga potrzeba; bydło poprawnéj rassy, merynosy w dobrym gatunku. Drogi najlepiéj utrzymane, okopane rowami z kamiennemi mostami. W ogrodzie gust amatora połączony ze znajomością botanika. W piwnicy i spiżarni zapasy przypominające dawne polskie domy; w bibliotece kilka tysięcy książek, a w przyjęciu uprzejmość, szczerość i gościnność.

O mil cztery od Wiłkomierza, miasto Onikszty, po litewsku: Anikszczéj, po części murowane, leży nad Świętą rzeką. Kościół w Onikszty, po części murowane, leży nad Świętą rzeką. Kościół w Onikszczach fundował 1514 roku Zygmunt I, wymurowany 1765. „Na drodze z Wiłkomierza do Oniksztu znajduje się wielki głaz granitowy, „w obwodzie czterdzieści stóp mający, a dziesięć stóp wysokości. Na „nim za czasów bałwochwalstwa kapłani litewscy ofiary czynili. Jest „między ludem podanie że Bajor (t. j. Bojar) Pantukis przełożony nad „temi kapłanami dopuścił się świętokradztwa jakiegoś, za które na tym „samym kamieniu, gardłem ukarany został. Odtąd głaz ten zowie się „*Pantukis*. [1])"

O mil pięć od Wiłkomierza ku Dyneburgowi Owanta, nadana przodkom Hrehorego Ostyka przez Zygmunta Kiejstutowicza wielkiego księcia litewskiego w roku 1436 położona nad rzekami Wiryntą i Owantą. Po śmierci Hrehorego Ostyka Owanta zabrana na skarb królewski, dostała się Gabryelowi Bekieszowi na dziedzictwo za odznaczenie się przy zdobyciu Połocka; nadał ją Stefan Batory, a przywiléj królewski potwierdzony został 13 lutego 1581 na walnym sejmie warszawskim. Kościół farny murowany w stylu gotyckim, fundacyi Jakóba Hrehorowicza Ostyka wojewody mścisławskiego 1534 roku; był przez jakiś czas przemieniony na zbór helweckiego wyznania, powrócił do katolików przy końcu XVII wieku. Między ludem tutejszym utrzymuje się podanie, jakoby w rzece pod Owantą, bożki *Dziewule* podczas wprowadzenia wiary chrześciańskiéj zostały potopione. [2])

O trzy mile od Pienian w Surdegach, znajduje się cerkiew grecko-wschodniego wyznania, może jedna z najdawniejszych w tym kraju. Pierwotnie założona przez Andrzeja Mleczkę, nie wiadomo w którym roku, dziś istniejącą wystawiła w roku 1636 lutego 20 dnia, Anna ze Sławeckich Mleczkowa, i ufundowała przy niéj klasztor, czyli monaster, przeznaczywszy na jego utrzymanie wieś Wożdele wiecznem prawem. [3])

---

[1]) Starożytna Polska M. Balińskiego i T. Lipińskiego, T. III str. 275 i 6.
[2]) Patrz Star. Polska Balińskiego i Lipińskiego. Tom III str. 274 i 5.
[3]) (Patrz dokumenta znajdujące się w Aktach Ziemstwa Wiłkomierskiego). W kla-

Z Pienian chcąc się dostać na gościniec pocztowy dyneburski, przebyłem pod Kowarskiem Świętą, mostem przypominającym co do filgranowéj budowy swojéj, ów most szwajcarski diablim zwany, z tą jednak różnicą, że szwajcarski rzucony nad przepaścią ze skały na skałę, grozi co chwila śmiercią, kowarski zaś rzucony z piasku na piasek, grozi wodą po kolana.

Przejeżdżałem obok Kurkl, będących gniazdem rodziny Siesickich, a następnie przez Platerowskie Kurkle, gdzie w XVIII wieku Adam Plater generał-adjutant króla Stanisława Poniatowskiego zamieszkał, a pojąwszy za żonę Maryannę Zabietównę łowczankę litewską, magnackie życie prowadził.

Uciana, po litewsku *Utena*, małe drewniane miasto, w okolicy wzgórkowatéj położone nad trzema strumieniami, Ucianką, Wieszą i Kraszoną, o mil dziewięć od Wiłkomierza, dalekiéj starożytności sięga. Panowali tu niegdyś udzielni książęta. Uciańskie dobra zrazu królewszczyzna, na mocy konstytucyi sejmowéj 1671 roku, miesiąca stycznia, 7 dnia, rozdane exulantom smoleńskim, a w późniejszym czasie na dziedzictwo przyznane, długo zostawały w ręku kilkunastu właścicieli, poczém przeszły do możnéj rodziny Strutyńskich.

Kościół fundacyi Witolda. Miasto rządziło się prawem magdeburskim, kwitnęło handlem, było zamożne, dopóki je wojna szwedzka nie wyludniła. Lud okoliczny przystojny, pokolenia czysto litewskiego, jasnych włosów, łagodnego temperamentu, nosi siwe sukmany, trudni się powiększéj części uprawą lnu. Zamężne niewiasty okrywają głowę cienkiem płótnem, czyli namiotką. Dziewczęta urodziwe, wesołe, śpiewają przy robotach polnych, a ulubioną ich piosnkę:

Słoneczko wschodzi wesoło z pod chmury,
Jedzie pachole przez lasy i góry:
— „Pomagaj Boże, — rzekł na powitanie,
Niech ci pomogę rwać len na dyrwanie.“
— „Prosić Cię, prosić, uchowaj mnie Boże,
Bóg mi w potrzebie rwać len dopomoże.“
— „Matula twoja, gdy mnie częstowała,
Rączkę mi twoją dać przyobiecała“
— „Nieprawdę mówisz, nieprawdę pachole,
Na przyrzeczenie takie niepozwolę,
Nie pozwolę z ogródka ruty arendować,
Ani pstrokatéj skrzyni aresztować.“ [1])

---

sztorze Surdegskim znalazłem przełożonym, księdza Kurchanowicza, brata stryjecznego naszego uczonego profesora w Warszawie, autora polskiéj grammatyki.

[1]) Dołączam tekst litewski.

Saułała tiaky pro uż drabiaseli,
Atjai biarnialis pro puszineli:
— „Padek Diewas, padek Diewas, jawne poniate,
Asz tamste pudesiu liniali rauti.“
— „Niepraszo, niepraszo szelma biarnialij
Pades man Diawulis linialu rauti.“
— „Pas tamstos matutia ir genio ir walgio,
Man tamstos matutia ir pażadeja.“
— „Miatoj, miatoj szelmis biarnalis,
Bia mana walos, nie gali żadeti,
Ni rutu darżiala uż arenduwoti,
Marguju skrynialu uż aresztowati.“

Czy Litwini przed XIII wiekiem mieli już swych książąt, albo kunigasów, których potém z ruska zwali kniaziami, trudno doślедzić.

O napadach litewskich hufców około Mozyra, Turowa, Pińska, Włodzimierza, Łucka, lub téż po za Dźwiną koło Połocka i Nowogrodu Wielkiego, napomykają kronikarze ruscy, wodzów ich wszakże niewymieniają; naród bowiem, więcéj niż pojedyńczy człowiek występuje w tych zapasach, w których zabory nie były jeszcze głównym celem. Litwin upędzał się jedynie za zdobyczą najpotrzebniejszą dla siebie, za dobytkiem, końmi, odzieniem, bronią. Może do tych najezdniczych wypraw stosują się słowa ruskiego wieszcza, który w pieśni o pochodzie Igora Stanisławowicza na Połowców powiada: „Z mułem sączy Dźwina „zmięszane dla Połowczan wody, gdyż ustawiczne nawały pogan mącą „czyste jéj nurty kopytami ich koni.“ (Karamzin III. n. 65.)

O pół mili od Uciany w miejscu zwanym *Pilekalnis*, na dwóch górach wznoszących się po nad brzegiem rzeki Ucianki, Utenes [1]) książe panujący nad Litwą Zawilejską miał założyć na początku XII. wieku zamek obronny od napadów kawalerów inflantskich, i nazwał go od imienia swojego Uteną.

Na szczycie jednéj z tych gór, kwadratowy kopiec ręką ludzką usypany, domniemanie rodzi, że na nim musiano czynić ofiary pogańskim bożkom, albo, że jest Utenesa mogiłą. Druga góra zamkowa, leży nad samą rzeką, dwoma rzędami głębokich przekopów opasana. Nie masz na niéj żadnego śladu murów, prócz powierzchni ziemi czarnéj, a w niéj przepalonéj gliny, wśród któréj wykopują ułamki żelaza lub miedzi, zkąd wnosić wypada, że zamek był drewniany. [2])

Prócz tego podania przechowanego w kronikach litewskich, „po„została jeszcze, między ludem wsi pobliskiéj Narkuny [3]) inna powieść, „którą śmiało za bajkę uważać trzeba: podług niéj Utenes mieszkając „w zamku na górze *Pilekalnis*, miał we wnętrzu pieczarę żelaznemi „drzwiami zawartą, gdzie chował przecudnéj urody brankę. Sam wyso„kiéj postawy mąż, przechadzał się często w pobliżu ze swoim niedźwie„dziem. Z czasem kiedy wojny i klęski różne upadek Uciany zrządziły, „a miejsca te po wyludnieniu się lasem zarosły, długo widywano „w pewnych dniach wyjeżdżający z pod téj góry powóz od sześciu koni „ciągniony. Siedziała w nim śliczna kobieta; wóz kierował się na przy„ległe łąki, jeździł czas niejakiś po smugach i nakoniec w mgle z nich „podnoszącéj się, znikał powoli z oczów ciekawych i zadziwionych mie„szkańców.“ [4])

Rutę uprawiają w ogrodach dziewczęta, jest to kwiat panieństwa. We wszystkich pieśniach weselnych opiewają ją, a na dziewiczym wieczorze młoda się użala, że swój ulubiony ogródek, gdzie rosła ruta, będzie musiała opuścić. Pstrokata skrzynia jest schowaniem w którém matka składa dla córki wyprawę.

[1]) Nazwisko: *Utenes*, wywodzą niektórzy od dwóch wyrazów litewskich: *Ut* — oto, i *anas* — on; — czyli *Oto on*.

[2]) W jesieni, roku 1844 przy drodze wiodącéj z Uciany na Uszpole do Komaj znaleziono w rozkopanym kurhanie pięć berdyszów żelaznych osobliwszego kształtu, dwa pięknie wyrabiane naszyjniki bronzowe, cztery bransolety, szpilki miedziane i strzały.

[3]) *Narkuny*, od wyrazu litewskiego *Nar* — choć, *Kunas* — ciało, mają być nazwane od tego, że gdy Utenes udawszy się do Nowogrodu, w powrocie swoim pojmany od Inflantczyków i więziony umarł w niewoli, zdradliwi nieprzyjaciele choć ciało jego przywrócili Litwinom.

[4]) Starożytna Polska, T. III, str. 277.

Po śmierci Romunda, księcia litewskiego, przypadłéj 1278 roku, synowie jego podzielili się obszerną ojcowizną. Narymont osiadł na Żmujdzi, Olsza w Zawilejskiem, Dowmond w Ucianie, Giedrus na prawym brzegu Wilii, Trajden najmłodszy w Podlasiu i na księstwie Dojnowo.[1])

Dowmont i brat jego Narymont, oba pojęli, może zdobywszy je na wojnie, dwie siostry rodzone, córki jakiegoś Inflantczyka, nazwiskiem Flandra. Skoro żona Dowmonta umarła, Narymont wysłał na jéj pogrzeb swoją żonę do Uciany. Gdy ta była cudownéj urody, Dowmont prędko pocieszeny po poniesionéj stracie, tak się w niéj rozmiłował, że ją przy sobie zatrzymał. Narymont dowiaduje się o zdradzie, a pałając zemstą, i chcąc przeniewierstwo brata ukarać, na czele licznych zastępów oblega Uciane, Po krótkim szturmie zdobywa zamek i odzyskuje żonę, a Dowmont spuściwszy się w nocy z wałów po drabinie, uchodzi do Pskowa.[2])

W drugiéj połowie XVIII stulecia, Uciana stała się widownią drammatu przypominającego owe feodalne czasy, kiedy magnat otoczony swoim dworem, stronnikami i podwładnemi, w dziedzicznym swym zamku, że tak powiem, panował, sąsiadom wydawał wojnę, najeżdżał na słabszego, i nieraz za osobistą urazę krew bratnią przelewał. Ale niechże wtedy zasłyszano o napadzie Tatarów, o przejściu Turków przez Prut, ustawała prywata, powaśnieni się godzili, wróg wrogowi rękę podawał, a dosiadłszy rumaków oba na czele własnych chorągwi spieszyli przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi ojczyzny.

W drugiéj połowie XVIII. stulecia Uciana należała do dwóch braci Strutyńskich. Mieszkała przy nich stryjeczna siostra: zaledwo w życia poranku, obdarzona od natury wszelkiemi przymiotami duszy i ciała, wykształcona starannem wychowaniem, uposażona darami fortuny, wysokiego rodu; cała znakomitsza młódź litewska zaczęła się o jéj rękę ubiegać. Za czasów rycerstwa niejeden rycerz byłby skruszył kopią, na

---

[1]) Rodział ten, stary nasz kronikarz Stryjkowski obszernie i szczegółowo ogranicza, i wykazuje: „Olsza za Wilną, do Korabla, błotnego rzeczyszcza, gdzie on Ol„szany założył — (co po żmujdzku tłomaczy słońcem (?), dwie mile od Wilii aż do Dziwy „i Łotwy, ten założył Giedroty."

[2]) Tu pomiędzy kronikarzami zachodzi sprzeczność: Jedni z nich utrzymują, że Mindows król litewski utraciwszy żonę imieniem Martę, wysłał po jéj siostrę, która była za Dowmontem księciem Nalszczańskim, czyli Zapuszczańskim, aby przybyła na pogrzeb królowéj, a gdy po pogrzebie chciała do męża wracać, niepuścił jéj i gwałtem przy sobie zatrzymał. Z tego to powodu Dowmont mszcząc się zniewagi, spiknąwszy z Trojnatem, zamordowali Mindowsa 12. czerwca 1263. Poczém wprost z Litwy ze znacznym pocztem Bojorassów wiernych udał się do Pskowa 1266 r., gdzie na chrzcie świętym przyjął imię Tymofeja. Pskowianie uczynili go dowódzcą wojsk swoich i osadzili u siebie mimo wiedzy wielkiego księcia Jarosława. Dowmont ze Pskowianami zaczął napadać na Litwę i na nieprzyjaznych sobie, puszczając się za Dźwinę i zdradę kraju zabójstwy i najazdem powiększył. (Patrz Litwę starożytną J. J. Kraszewskiego, T. II. str. 103).

Tak chcą kroniki ruskie. Nasze czynią Dowmonta synem Romunta, i szwagrem nie Mindowsa, ale Narymunta brata swego. Stryjkowski nawet w swojéj ks. IX, Roz. II. przytacza: że powodem do wojny były zaloty Dowmonta do księżnéj Norymontowéj. Dowmont zatem Nalszczański i Dowmont Uciański z których pierwszemu porwano żonę, drugi cudzą zatrzymał, i obaj do Pskowa uciekać musieli, tamten w 1263, a ten w 1282 roku, sąż osobnemi, lub też tą samą a jedną historyczną postacią, trudno a może niepodobna dowieść, gdyż ani na prawdzie naszego Stryjkowskiego, ani na Wremienniku Sofijskim żadną miarą polegać nie można.

ostrze gonił, i chętnie śmierć poniósł za jedno jéj łaskawe spojrzenie; ale za panowania Stanisława Augusta rycerzy już nie było, nikt kopii nie brał do ręki, na ostrze nie gonił, a każdy nadto życie cenił, aby je dla pięknych oczów miał narażać.

Magnacki dwór panów Strutyńskich, ożywiały częste uczty, polowania, tańce, zjeżdżali się tam obywatele nietylko z całéj Litwy, ale nawet z Korony, bo ich nęciły więcéj jeszcze nad uprzejmą gościnność gospodarzy, nad chęć zabawy, wdzięki młodéj dziewicy; i kiedy nieraz przy końcu hucznéj biesiady z pełnego puhara spełniali kolejką zdrowie, każdy swéj bogdanki, bogdanką każdego z nich była taż sama panna Strutyńska. Pomiędzy licznemi konkurentami, zwracał przed wszystkiemi na siebie uwagę pan Ciechanowiecki, potomek możnéj na Białéj Rusi rodziny.

Jeżeli przemawiały za nim, imię, dostatki, znaczenie, przemówić jednak nie zdołały do serca panny Strutyńskiéj. Oświadczył się, odmówiono mu, i wnet potém opuścił Ucianę, nie z rozpaczą nieszczęśliwego kochanka, jeno z zawiścią obrażonéj dumy. Jednak nie poprzestał na tém, kilkakrotnie powtórzył oświadczenie swoje, ale gdy na nie otrzymał zawsze tęż samą odmowę, a nakoniec ostrzeżenie iż podwoje Uciańskiego dworu będą odtąd na zawsze dla niego zamknięte, postanowił otrzymać przemocą czego dobrowolnie uzyskać nie zdołał. Skoligacony z pierwszemi rodzinami Białéj Rusi, udał się do nich wzywając pomocy na pomszczenie się zniewagi uczynionéj imieniowi Ciechanowieckich; bogaty, mógł liczyć na niejedną szablę zaprawioną wśród sejmikowych zapasów. Wnet potém otoczony krewnemi, przyjaciołmi, znajomemi, stronnikami i liczną hałastrą służalców, wyciągnął z Białéj Rusi do Litwy, na czele trzystu, nie rycerzy ale najezdników idących walczyć nie o lepszą, lecz za najgorszą sprawę.

Opisywać szczegóły tego drammatu, kończącego prawie epokę owéj samowolności naszéj szlachty, gwałcącéj częstokroć prawa krajowe, nieznającéj żadnego wędzidła, ani miejsce, ani czas po temu; poświęcę mu późniéj może kilkanaście osobnych stronnic, teraz poprzestanę na tém: że napad Ciechanowieckich odparty dzielną obroną Strutyńskich nie udał się wcale, krew bratnia oblała żyzne niwy Uciany, a główny najeźdzca upokorzony, nie nawrócony wszakże, cofnął się za Dźwinę, knując nowe zdrady, marząc o nowych napadach.

Chociaż zwycięztwo zostało przy Strutyńskich, została też po niém obawa zemsty Ciechanowieckiego, i następstw jakie z niéj nadal wyniknąć mogły. Chcąc tego uniknąć bracia wywieźli siostrę do Warszawy, tam ją przy krewnych umieścili, a zaniosłszy skargę do majestatu królewskiego przeciw najezdnikowi, rozpoczęli proces.

Warszawa była podówczas tém czém Paryż za Ludwika XVgo. Jeżeli przykład dobrego idzie zwykle z góry, toż samo powiedzieć można o złém. Za panowania Sobieskiego, króla rycerza, Polska rycerską była, za Augusta IIgo, z królem swoim się rozpiła, za jego następcy z nim razem gnuśniała, a zepsucie obyczajów Poniatowskiego zamieniło się w narodową zarazę.

Słusznie ktoś powiedział, że lepiéj tam gdzie kobieta na tronie, bo wtedy rządzą mężczyzni, a gdzie mężczyzna, kobiety. Za panowania Katarzyny II. rządzili Rossyą jéj faworyci, za panowania Stanisława Augusta rządzili Polską jego kochanki; Rossya zawojowała Polskę, nie obroniły jéj kobiety!

„Za panowania Stanisława Augusta, (mówi Bonawentura z Kocha-

nowa,[1]) „widzieliśmy biskupów najrozwiąźlejsze prowadzących życie, wi- „dzieliśmy duchownych zmieniających wiarę, w zamiarze zawarcia związ- „ków małżeńskich, widzieliśmy każde prawie stadło kończące się na „rozwodzie; widzieliśmy rozpustę do tego doprowadzoną stopnia, iż kiedy „zapraszano na obiad lub wieczór jaką panią, to nigdy z mężem, ale „z kochankiem. Mieć kochanka było rzeczą niezbędną, i tak jak dzisiaj „być mężem królowéj jest tytułem, dawniéj było zaszczytem być kochan- „kiem pani téj lub owéj. Kobietę uczciwą źle widziano, z przymusem „w towarzystwach przyjmowano, cierpiano; szydzono z niéj, palcem wy- „tykano, miano ją za obcą, za nie swoją.“

Do takiéj to otchłani wprowadzono młodą i piękną Strutyńską; skoro ją kilku ujrzało, kilkudziesięciu ujrzeć zażądało; a skoro i ci do- stąpili tego szczęścia, wnet się cała dowiedziała Warszawa, że najwię- kszą piękność litewską posiada w swych murach.

Wieść ta, gdy doszła do uszów zalotnego króla, poznać czarującą wdziękami Litwinkę, stało się najgorętszém jego życzeniem.

Na balu u księcia Michała Poniatowskiego kanclerza Wielkiego Księstwa Litewskiego ujrzał ją po raz pierwszy, i wrażenie jakie na nim uczyniła było tak silne, iż od téj chwili zawładnęła słabem jego sercem. Wprowadzona do pierwszych towarzystw stolicy, stała się ich ozdobą. Kiedy najwyżsi dygnitarze państwa ubiegali się o zaszczyt wyprawiania dla niéj uczt, zabaw, tańców, niejedna piękność Warszawska spoglą- dała na nią zazdrosném, niejeden młodzieniec pożądliwém okiem.

Stanisław Poniatowski początkowe wychowanie odebrał w rodzi- cielskim domu; ojciec sławny wojak, nieodstępny towarzysz Karóla XII. gdy napróżno pragnie weń wpoić ducha rycerskiego, matka uczona, a zarazem dumna niewiasta, wpaja zamiłowanie do nauk, i niepohamo- waną chęć wywyższenia się nad drugich.

Wysłany na lat kilka za granicę, zwiedził Niemcy, Włochy, Fran- cyą i Anglią. Przedstawiony w Berlinie Fryderykowi Wielkiemu, łaska- wie przez niego przyjęty,[2]) poznał się na jego dworze z uczonemi nie- mieckiemi. We Włoszech oddał się z zapałem sztukom pięknym, w An- glii mógł się przekonać, o ile uszanowanie dla prawa wpływa na dobrą administracyą kraju, a przemysł przyczynia się do narodowego bogactwa. We Francyi jeżeli zalotność, powiem zepsucie, szkodliwy wpływ na nim wywarły, towarzystwo ówczesnych filozofów podkopało w nim wiarę. Z Polski wyjechał Polakiem, wrócił do niéj Francuzem, a skoro na tron wstąpił, wprowadził do kraju obce obyczaje, zwyczaje, obcą mowę i mody.[3]) Pod jego panowaniem lekkomyślność francuzka przeniesiona

---

[1]) Wincenty Wilczek, przez Bonawenturę z Kochanowa, T. I str. 76.

[2]) Przyłączam tu kopią listu pisanego przez Fryderyka Wielkiego do Stanisława Poniatowskiego kasztelana krakowskiego ojca Stanisława Augusta, zdjętą z oryginału znaj- dującego się w mojem posiadaniu:

„Monsieur. Votre obligeante lettre m'a été rendue, et c'est avec plaisir. que j'y „ai tant de marques de Vos sentimens. Ayant eu lieu de témoigner á Votre digne fils „l'estime que j'ai conçu pour son mérite, Vous me rendrez la justice de croire, que celle „que j'ai por Vous, ne saurait être égalée, que pour la bienveillance Royale avec laquelle „je suis,

„Monsieur, votre très affectionné

„á Charlottembourg Fréderic.“

le 5. d'Octobre 1742.

[3]) W Paryżu największe upodobanie znajdował w towarzystwie pani Geoffrin, gdzie się całe towarzystwo ówczesnych filozofów zbierało; ona po kilka razy ratowała go

na naszą ziemię, zbliżyła te dwa narody do siebie, dotknęła je tąż samą chorobą, w czasie któréj krwawe nastąpiło przesilenie; Francya silniejsza wytrzymała kryzys, i powróciła do życia, Polska słabsza niewytrzymała, skonała.

Stanisław August przekładając obczyznę nad narodowość, otoczył się cudzoziemcami; dwór królewski, również jak dwory pierwszych magnatów, przepełnione były Francuzami, Włochami, Anglikami, Niemcami. Każdy awanturnik, byle tylko nie Polak, znalazł u nas protekcyą, zachętę, wziętość, i korzystał bezkarnie z naszéj dobroduszności, powiem z naszego głupstwa.

Król sprowadziwszy do kraju cały transport Włochów, Tomatissowi[1]) oddał administracyą teatrów i zabaw; Manucciego mianował szambelanem, księży Gigjottego i Piatolego wespół z Antoninim i Boskampim umieścił w dyplomatycznéj kancellaryi swojéj, Bacciarelemu powierzył zarząd królewskiéj malarni. Niedosyć na tém, drugi transport cudzoziemców przybywszy z Francyi, dostarczył w panu Izorze nadwornego lekarza, w Pernetim, Brunetim i Rousseau kamerdynerów; Tremont zaś kuchmistrza najjaśniejszego pana dostojeństwo uzyskał. W wojsku nawet polskiem otrzymali generalskie szlify, książę Ludwik Würtemberski, Pouppart, Cokcéj i wielu innych.

Nie minął rok od przyjazdu panny Strutyńskiéj do Warszawy, król jako czuły opiekun wydał ją za mąż za Manucciego, któremu w dzień ślubu nadał indygenat szlachectwa, starostwo Opeskie, i ozdobił go orderem świętego Stanisława. Z tego małżeństwa jeden się tylko syn urodził; trzymał go do Chrztu świętego Stanisław August, dał imię swoje, pod swojem okiem wychowywać kazał, i zostawił mu w puściźnie, prócz podobieństwa pięknych rysów twarzy, podobieństwo charakteru: przy wielkich zdolnościach brak energii i woli, skłonność do marnotrawstwa, pociąg do rozpusty.

Skoro Poniatowski po zrzeczeniu się tronu przeniósł się na mieszkanie do Petersburga, wyrobił u cesarza Pawła dla młodego Manucciego zamianę starostwa Opeskiego na dziedzictwo, poczém ożenił go z piękną i bogatą hrabianką Konstancyą Plater dziedziczką Belmontu.

Od tego prawie czasu huczne uczty i biesiady, wesołe zabawy i tany, jedném słowem życie pańskie, przeniosło się z Uciany do Belmontu. Obszerny pałac i officyny z trudnością pomieścić mogły licznie zgromadzonych gości, przesiadujących nieraz po kilka tygodni a nawet miesięcy w Belmontach. Nie było dnia, żeby osób z pięćdziesiąt nie zasiadało do stołu, nie licząc w to rezydentów i rezydentek. Dobrana kapela,

---

w niedostatku, tak łatwo przytrafić się mogącym cudzoziemcowi za granicą. Pani Geoffrin daleko była starszą od niego, Poniatowski nazywał ją zawsze matką. Wyniesiony na tron, nie zapomniał o swéj dobrodziejce, napisał do niéj list w te słowa: „Matko! *twój syn jest królem!*“ i sprowadził ją do Warszawy, a że z przykrością opuszczała mieszkanie swoje w Paryżu, we własnym zamku takie same ułożyć jéj kazał. Wdzięczność pamiętała o najmniejszych szczegółach, i pani Geoffrin wchodząc do tych pokojów, krzyknęła z zadziwienia, myślała w téj chwili że czarnoksiężnik jaki, appartament jéj paryzki do Warszawy przeniósł. P. A.

[1]) Tomatisi wybudował piękny pałacyk pod samą Warszawą, przezwał go królikarnią, zgromadził w niem szacowną bibliotekę i galeryą obrazów. Po jego śmierci królikarnią wystawioną na sprzedarz, kupił książę Radziwiłł wojewoda Wileński, po nim wziął w spadku syn jego Michał; dzisiaj zaś królikarnia należy do pana Ksawerego Pusłowskiego. (P. A.)

służba bez liku, sto koni na stajni; z tego się składał dwór państwa Manuccich przed pięćdziesięciu laty, takim przez ćwierć wieku pozostał.

Jeżeli Manucci był jednym z najpiękniejszych ludzi swego czasu, żona jego była najładniejszą z kobiet; a jeżeli regularne rysy jego twarzy, wzrost, postawa, zapowiadały siłę i męzkość, jéj drobne rysy, słodycz w spojrzeniu, uśmiech na ustach, wiotka kibić ciała miały w sobie coś wielce niewieściego. Przeciwnie się jednak działo; bo kiedy pani otoczona liczną zgrają młodzieży, poprzedzona muzyką nadworną harcowała konno po polach, górach i lasach, przypatrując się łowom, lub goniąc nieraz z chartami za zającem; pan w towarzystwie nieodstępnych zauszników, w tureckim szlafroku, w zawoju na głowie, z długim cybuchem w ustach, rozciągnięty na miękkiéj sofie obłożonéj poduszkami, przepędzał godziny całe na gnuśném próżnowaniu; nie lubił polowania, nigdy nie siadł na konia. Appartament pani umeblowany podług ówczesnego smaku, ona sama wystrojona podług najnowszéj warszawskiéj mody; appartament pana, z perskiemi kobiercami, z zasłonami z jedwabiu u drzwi i okien, napełniony sprzętami używanemi na wschodzie, oświecony w wieczór alabastrowemi lampami, woniejący aromem kadzideł dymiących się w złocistych naczyniach, przypominał wnętrza haremu Padyszacha, a przynajmniéj zbytkowne komnaty indyjskiego Nababa.

Pan na Opesku i Belmontach lubił przedewszystkiem teatr, pani lubiła tańczyć; i kiedy w gustownie urządzonéj sali Manucci w dobraném towarzystwie amatorów występował na scenie, w różnych rolach, a szczególniéj w roli Orozmana, tragedii Woltera, każde teatralne przedstawienie kończyło się balem.

Ale cóż jest trwałego na świecie; najgorętsza miłość kończy się z czasem rozczarowaniem, przesyceniem, nudą; najświetniejsza fortuna, skoro wydatki przewyższają dochody, a nierząd się wkradnie, kończy się bankructwem. Pani Manucci, przeniosła się na Polesie Wołyńskie, żyje dotąd i mieszka w Dąbrowicy, majątku brata swego hrab. Ignacego Platera. Manucci straciwszy cały majątek, opuszczony od tych których zwał przyjaciołmi, których karmił, poił, bawił, którym nieraz hojnie świadczył, oddawszy się nałogowi pijaństwa, umarł w nędzy. Zamek Uciański w gruzach, pałac Belmontski stoi pustkami.

To mi przypomina słowa generała Ludwika Paca, który przed laty spoglądając na szczątki pałacu książąt Massalskich w Werkach, rzekł do mnie: „U nas nie muruj, nie buduj, tylko klej, łataj, pod-„pieraj, pomnąc że co tylko wymurujesz, zamieni się z czasem w ruderę; „gdyż kraj nasz podobny do ogrodu owocowego nieogrodzonego, do któ-„rego każdy wchodzi bezkarnie, a dla dostania jednéj gruszki lub śliwki „łamie gałęzie, czasem ścina drzewo, dla dostania jednéj cegły na re-„paracyą pieczary, rozbiera pańskie pałace, starożytne pamiątki.“ Tak mówił, a jednak sam budował pałace, i sprawdziły się jego słowa: pałac Pacowski w Warszawie przerobiony na kancellaryą rządową, pałac w Dospudzie w ruderze!

Kto był w Nowo-Alexandrowskim powiecie, a niezłamał karku po górach, parowach i kamieniach, szczęśliwy; kto się nie utopił w jeziorze, widać że mu inną śmierć przeznacza przysłowie; ale kto dojechał zdrowo, ten długo pamiętać będzie gościnność doznaną w obywatelskich domach. Powiat ten razem z gubernią Kowieńską nowo utworzony, składa się z dawnego Bracławskiego i z najżyzniejszéj i najzamożniejszéj może części Wiłkomierskiego powiatu. Stolicą dawniejszą był Bracław, czyli Bratysław (*Braslavia*, *Bratislavia*), ze szczątkami swego niegdyś obronnego zamku, wznoszącego się na wysokiéj górze, z jezio-

rem zwaném *Drywiata*, mającém 270 włok obszaru, ze swą sławiańską osadą zdobytą na książętach Połockich, przez Kernusa księcia litewskiego około 1063. roku, jeżeli ludowemu podaniu dać można wiarę, ze swym kościołem parafialnym założonym w XV. wieku z rozkazu w. księcia Witolda przez Moniwida wojewodę Wileńskiego,[1]) i cerkwią z opactwem wschodniego obrządku, fundowanemi przez tegoż samego Moniwida. Z Bracławia przeniesiono powiat do Widz, również starożytnego miasta, bo wszakże parafialny w nim kościół wystawili już w roku 1481. Cwiełko i Hanusz Dowgirdowicze bracia rodzeni, a Albert Tabor biskup Wileński opatrzył go hojnie 1498. roku. Tu niegdyś zjeżdżała się szlachta do wód siarczanych dla poratowania zdrowia; teraz wodę pić przestała, jedzie jednak do Widz ale na jarmark, a przepędziwszy czas na wesołych hulankach, wraca z nadwerężoném zdrowiem i kieszenią.[2]) Pomiędzy Bracławiem a Widzami, stanęły od razu Jeziorosy, niby miasteczko, a na prawdę wieś, i podczas gdy Bracław upadł, Widze upadają, Jeziorosy podniosłszy głowę, jaskrawą przyodziały sukienkę, przezwały się Nowo-Alexandrowskiem, i powiatowem miastem zostały. Akurat jak ten dorobkowicz, który pomiędzy dwoma zrujnowanemi starożytnego imienia magnatami wyrosł i w górę się wzbija. U jednego służył, drugiemu pieniędzy pożyczał, dziś gdy obydwom prócz herbów, pargaminów i wspomnień szczęśliwszéj przeszłości, nic więcéj nie pozostało, on nosa do góry zadziera, pnie się coraz wyżéj, i niedba o to, że go dawni magnaci nie uznaliby za prawdziwego karmazyna, a dzisiejsza arystokracya parweniuszem zowie.

Jaka zachodzi różnica między dawniejszym magnatem a dzisiejszym arystokratą? zapytano mnie razu pewnego. Pochodzenie to same, odpowiedziałem, wywód podobny, procedura tylko czasami odmienna. Dawny magnat był może więcéj panem sam przez się, arystokrata więcéj panem z panów. Pierwszy mógł być dumnym z własnych czynów, drugi po większéj części polega na czynach przodków. Pierwszy nie obruszał szlachty przeciwko sobie, owszem garnęła się do niego, a młodzież płci obojéj wychowywała się na jego dworze, jego opieka dalszym jéj losem kierowała. Arystokrata dzisiejszy nikim się nie otacza, bo niema dworu, przyjmuje u siebie, ale nie zatrzymuje, a jeżeli zaprasza to nie na mieszkanie. Niechże sypnie kilkanaście dukatów pięknéj kwestarce na tacę, całe miasto zaraz się o tém dowie; niech da kilkadziesiąt rubli na jaki zakład dobroczynny, piszą zaraz o nim gazety; a dawniéj kiedy Radziwiłł Panie-kochanku dawał w zastaw lub w dożywocie wieś któremu ze swych Albeńczyków, nie ogłaszano tego w pismach publicznych, ale do dziś dnia wzbogacone przez niego rodziny powtarzają imie benefaktora swojego z uczuciem wdzięczności. Dawniéj pan możny żył więcéj dla drugich, dziś więcéj dla siebie, może dla tego że było wtedy życie publiczne, a dziś go niema, dawniéj więcéj mógł, dziś choć chce a nie może. Za dawnych czasów magnat otoczony wierną sobie szlachtą, sta-

---

[1]) Alexander Jagiellończyk około 1500. roku, po odbudowaniu pogorzałego kościoła, opatrzył plebanią funduszem, a Zygmunt I. fundacyą odnawiając, dn. 3. lutego 1514. r. fundusz powiększył.

[2]) W roku 1524. Olbracht Marcinowicz Gasztold wraz z małżonką, kupili Widze, tylko że niewiadomo od kogo, za czterysta kop groszy, liczby i monety litewskiéj, po dziesięć białych pieniędzy w każdy grosz licząc. Stanisław Naruszewicz, dzierżąc te dobra, w XVII. wieku, utrzymywał w Widzach dom modlitwy helweckiego wyznania. Widze należały do Wawrzeckich, dziś przeszły posagowym sposobem do Minejków.

wał na czele stronnictwa, zawięzywał konfederacye, zrywał sejmy, nieraz wojnę domową zapalał.

Chociaż Piast lub Jagiełło na tronie królował,
Magnat krajem rozrządzał i w kraju panował;
Choć król męztwem zdumiewał, dobrocią zniewalał,
Chciał dobra kraju, magnat na to nie zezwalał,
Gdy zaszczepiał niezgodę, rozszerzał niesnaski,
Wołał nieraz na króla, tyś król z naszéj łaski;
I za to, że się nadto wywyższał, nadymał,
Za zuchwalstwo, najczęściej starostwo otrzymał. [1])

Takim był magnat; dziś gdy nie masz ani stronnictw, ani konfederacyi, ani zrywanych sejmów, czemże jest arystokrata? — Dalszym ciągiem tamtego, czyli raczéj nim samym, w innym tylko stroju, nieco kusym, z obciętemi połami; nim samym, ale z postępem oświaty inaczéj wychowany, doświadczeniem nauczony, daj Boże poprawiony!

Że się arystokrata odosobniać lubi,
Że się z swych pargaminów niepotrzebnie chlubi,
Że się czynami przodków nie raz nadto zdobi,
A że tamci robili, sam więc nic nie robi;
Że zarozumiałością uwiedziony płonną,
Ma do absolutyzmu naturę zbyt skłonną;
Że w nim światowe względy głuszą przekonanie,
Że ma nieraz skrzywione, zastarzałe zdanie,
Zaślepiony przesądem nie usłucha rady:
Dla tego, że tak wielkie przyznajem mu wady,
Mamyż zwątpić, że nie masz dla niego poprawy?
Odsądzić od dziedzictwa zasłużonéj sławy?
Że się arystokracya od drugich odznacza,
Że ją partykularna jakaś woń otacza,
Wykwint się jéj podoba, kocha się w wytworz[illegible]
Że układna w obejściu, wymyślna w ubiorze,
Że to na co kto inny nawet nie uważa,
Obrusza ją czasami, a nawet obraża,
Że jéj głowę zawraca całkiem francuzczyzna:
Że to wszystko śmiesznością, każdy chętnie przyzna.
Lecz śmieszność czy jest wadą, a wada występkiem?
A czyż obydwie razem, szlachetnym postępkiem
Nie umiała zacierać idąc w pomoc nędzy?
Czyż kiedy odmówiła potrzebnym pieniędzy?
Jak ojców naszych niegdyś słynęła gościnność,
Wszak ona zaszczepiła u nas dobroczynność,
I słowem pocieszała i podarkiem wsparła.
Ona nie raz nieszczęściu gorzką łzę otarła!
A skoro dla nas promyk nadziei zabłysnął,
Kto pierwszy żonę, dzieci, dom rodzinny cisnął,
I choć stał na zaszczytów i na bogactw szczycie,
Niósł ojczyznie zaszczyty, bogactwa i życie? [2])

Dawniéj u nas był magnat i szlachcic, gdyż o chłopie nie było i mowy; teraz społeczność ludzka dzieli się na trzy odrębne kasty: na arystokracyą, demokracyą i komunizm.

---

[1]) Satyra *Arystokracya.*

[2]) Satyra *Arystokracya.*

„Mój pradziad był hetmanem, kanclerzem, wojewodą, azatem więcéj znaczę od tego, którego pradziad był tylko powiatowym sędzią.“ — Tak mówi a przynajmniéj myśli arystokrata.

„Przodkowie moi poczciwie i cnotliwie żyli, chociaż ani w senatorskich krzesłach nie zasiadali, ani wyższych nie piastowali urzędów, idąc w ich ślady, w czemże miałbym być gorszym od hetmańskich lub kanclerskich prawnuków!“ — Tak się pomiędzy swojemi odzywa demokrata.

„Ty masz a ja nie mam, więc się podzielmy, ja twojem, ty mojem. Ty masz sto czerwonych złotych, ja mam tyleż długu: ty mi daj połowę twych pieniędzy, ja ci ustąpię połowę mych długów.“ — Woła na całe gardło *komunizm!*

U pierwszego przebija duma, u drugiego przemawia zazdrość; trzeci tchnienie ograniczoną pożądliwością cudzej własności. Osobista tylko zasługa jednych utrzymując na miejscu, drugich wynosząc, odpychając trzecich, zaciera między niemi różnicę, węzłem wzajemnego szacunku jednoczy.

Pytano razu pewnego, marszałka francuzkiego Lefevre: czem byli jego przodkowie? „Ja sam nim jestem,“ odpowiedział. I w saméj istocie, kto w sześćdziesięciu bitwach zawsze szedł pierwszy naprzód do boju, mógł się słusznie nazwać przodkiem imienia swojego.

Tak jak mamy Białą, Czerwoną, Czarną Ruś, niektórzy nowo-alexandrowski powiat pstrokatą Rusią zowią, może dla tego że cała przestrzeń tego kraju, na wszystkie strony poprzecinana jeziorami, więcéj ma wody niż ziemi, może dla tego że ze szczytu każdéj góry poletki zbożem zasiane, lub do zasiewu przygotowane nie zawarte w obszernych łanach, ale po jednym lub kilku morgach porozrzucane pomiędzy łąkami, dziwnéj pstrokacizny obraz przedstawiają oczom. Może dla tego że w alexandrowskim powiecie mięszają się z sobą litewski z ruskim narzecza, a nawet w zwyczajach miejscowych czuć się daje jakby odcień przejścia z Litwy do Białéj Rusi; meble z Rygi, ubiory kobiet z Warszawy, uprząż ruska.

Powiat nowo-alexandrowski jest jednym z najmniéj żyznych w całéj gubernii kowieńskiéj, z wyjątkiem jednak téj części którą od wiłkomierskiego do siebie zagarnął.

Obywatele prowadzą życie po większéj części wesołe, tam znajdziesz dawnéj obfitości zabytek połączony z teraźniejszym wykwintem.

Zaproszony do jednego z możniejszych obywatelskich domów na wieczór, zastałem liczne zebranie płci obojéj; kobiety wystrojone, a każda z nich w przesadzonéj krenolinie, w materjalnéj sukni. Kiedy mężczyzni zasiedli do kart, a nieboraczki nie mając co robić zaczęły się nudzić, bo muzyki nie było; zlitowawszy się nad niemi, poszedłem do fortepianu i zagrałem mazura. Młodzież porzuciła zielone stoliki, wesołe rozpoczęły się tany. Podczas wieczerzy rozmawiano o gospodarstwie, o polityce, i o zbytkach teraźniejszego wieku. Stary podkomorzy utrzymywał, że u pana wojewody Żaby cały splendor magnackiego dworu z rezydentami i rezydentkami, z liczną służbą, z kapelą, z poszóstnemi cugami w stajniach, z reprezentacją na sejmikach, sejmach, trybunałach, nie wyrównywała dzisiejszym wydatkom obywatela przepędzającego lato na wsi, zimę w mieście, zwłaszcza jeżeli ma córki na wydaniu; gdyż dawniéj można było kupić kamienicę za dzisiejszy roczny najem apartamentu w mieście, dawniéj można było opłacić całą dworską służbę,

roczną pensją dzisiejszego kucharza. Policzywszy teraz umeblowanie domu, wykwint stołowy, a szczególniéj stroje Jéjmości i Jéjmościanek, to czysta ruina.

„Oj ruina, mości Dobrodzieju, przerwał mu były pułkownik, mam cztery córki, i zimno mi się aż robi jak pomyślę co to żyta i pszenicy sprzedać potrzeba jak przyjdzie im po jednéj sukni sprawić. Licząc więc na każdą po trzydzieści łokci, od czasu zaprowadzenia owéj poczwarnéj krenoliny, uczyni stodwadzieścia łokci w ogóle na cztery suknie i to materjalne, bo się magnifika na wełnę i bawełnę krzywi.“

Gdy mężowie, żałując dawnych czasów, coraz to bardziéj powstawali przeciwko teraźniejszéj modzie, którą żony zapalczywie broniły, widząc że się z dyskussyi na dysputę zanosi: „Moi Panowie i Panie, odezwałem się, jeżeli dzisiaj zbytkują, zbytkowano i dawniéj, na dowód czego, pozwólcie abym wam przeczytał krótki wyciąg z dawnéj polskiéj książki mającéj tytuł łaciński: *Otia Domestica*, wydrukowanéj za czasów pierwszego u nas Sasa, a w któréj znajduje się projekt do uniwersału poborowego, na zbytki, utraty i niepotrzebne wystawy. Autor w celu powiększenia skarbu i poprawy obyczajów, radzi na wszelkiego rodzaju zbytki, i przepych naznaczyć następujące podatki: „1mo co do zbytków stołowych; od każdego stołu dwiema obrusami przykrytego, na którym serwety po włosku złożone, po groszy 10; od każdego tortu po groszy 12; od ciast formowanych, moździerzowych, garnuszkowych i fumentowanych, po groszy 11; od kijowego kołacza po złotych 2 (gdyż nadzienie jego niestrawne); od *bijanek*, po groszy 8; od masła formowanego z migdały, po groszy 24 (bo dobre po staremu masło); od galarety, złoty 1; od głowy cukru po groszy 12; do pączków po groszy 4; od pasztetu złotych 2; od zapalonéj kaszy z małmazyą (gdyż tatarczana dobra, czego i dzieci poświadczają) złoty 1; od parmazonu, groszy 12, bo większa gomółka za grosz, niżeli parmazonu za dwanaście. 2do Od każdéj rzeczy niepotrzebnéj po złotych 30; od wódki perfumowanéj do nalewki, złoty 1; od haftowanych ręczników, złotych 3; od natrząsania gmachów zioły, złotych 3; od kadzenia i perfumowania, złotych 2, bo jałowiec i dębnik dobre od powietrza. 3tio Co do sprzętów, autor najmniejsze na zbytkujących, podług niego naznacza podatki; tak ci którzy się sadzą na srebro stołowe, płacić powinni po złotych 100 poboru; od opon z jedwabiu ze złotem w jedwab od twarzy haftowanych, które są po dziewięćset złotych, mają dawać poboru zło. 100; od wezgłów aksamitnych, atłasowych, złotogłowowych, ze srebrnemi gałkami i kosztownemi kułtasami, złotych 12, gdyż dobre zamszowe, albo skórzane; od karety z frandzlą złotą, aksamitem podszytéj, złotych 20; od woźników poszornych, złotych 4; osobno od forytarza, złotych 2; od rzędu aksamitnego, złotych 4; od siodła w srebro oprawnego i ze srebrnemi strzemionami (gdyż dobre żelazne), złotych 5; od szabel, pancerzów, pałaszów, korbaczów, buław, czekanów, i inszéj srebrem i pozłotą oprawnych, złotych 12, (gdyż się żelazem bez srebra i złota, kto umie, bronić może); od srebrnego zegarka (gdyż dobry mosiądzowy) złotych 9 i t. d.“

O poborze od sukien i strojów damskich szereg taki długi, że gdybym go zaczął wymieniać, niebyłoby końca, a potem niektóre w nim odmiany wypadałoby poczynić, zastępując pudrowaną fryzurę utrefieniem à Valois lub à la Borghese, barwę à la Pompadour, barwę à la Magenta lub Solferino, manele i angażanty, Berthę z gipiury lub Jockey volantem, i prababkę rogówkę, prawnuczkę krenolinę, od któréj dubeltowy podatek nałożyłbym: jeden wnoszony do ogólnego poboru, drugi do kasy ogniowéj i ubezpieczeń za nieszczęścia, których tak często jest

powodem.“ [1]) — „Zgoda, zgoda, uchwalamy, niech żyje pan Kamerton,“ zawołali jednomyślnie tatusiowie. — „Nie chcemy, nie pozwalamy, nie zgadzamy się,“ zakrzyczały mamunie; „dałżebyś pokój ze swoim projektem, panie Kamerton,“ dodały. — „Lepiéjbyś nam zagrał mazura,“ — odezwały się panny. — „Zdrowie dam!“ krzyknęła młodzież. Powstali wszyscy od stołu, huczniejszy mazur jak przed wieczerzą się rozpoczął, trwał godzin z parę, i dobrze już dniało, jakem opuszczał ten dom gościnny na pstrokatéj Rusi.

Tak jak Litwin do Żmujdzina zawsze coś upatruje, tak jak Grodzieńczuk nazywa Minczuka niedźwiedziem, a Pinczuka wiunem, tak też Wiłkomierzanin i Poniewierzanin ostrzą zawsze zęby na Alexandrowczuka, wyśmiewać się z niego lubią. — Nie przez zazdrość, bo wód, gór i kamieni nie ma mu co zazdrościć, ale może dla tego, że w cudzem oku spostrzegamy łatwiéj słomkę, jak we własnem belkę. — Panowie wyśmiewacze, mówcie co chcecie, ale pozwólcie mi dodać, że w tym powiecie rzadka jedność, zgoda i braterstwo panują, dowodem iż od lat kilkunastu jednomyślnie tego samego obierają marszałka, godnego ogólnego szacunku, a na ostatnich sejmikach gdy się nadwątlonem zdrowiem od dalszych usług wymawiał, porwali go obywatele na ręce, podnieśli do góry i oświadczyli, że póty nie puszczą, póki im nie da słowa, iż na tym samym pozostanie urzędzie. Rozrzewniony tą oznaką szczerego przywiązania, rozpłakał się i marszałkiem nadal pozostał. — Dowodem, że na tychże samych sejmikach postanowili jednozgodnie, za pozwoleniem rządowem, składać przez lat sześć po pięćset rubli rocznie na wychowanie pozostałych dziatek po mężu, którego życie całe było poświęceniem i ofiarą, zdolności narodową chlubą, a śmierć nieodżałowaną stratą. Mniemali, że inni pójdą za ich przykładem; czyn pochwalono, ale przykład naśladowców nie znalazł.

[1]) Któż nie wie o wielolicznych nieszczęśliwych wypadkach spowodowanych od zapalenia owych sukien damskich tak monstrualnych rozmiarów. Następujący wypadek powinienby posłużyć za przestrogę i zachętę do zrzucenia raz na zawsze krenolin. Panny M. trzy siostry wykrenolinowane jechały tej wiosny nejtyczanką niedaleko Wędziagoły w powiecie kowieńskim. Bryczka zapadła do błota, zkąd ją wyrywając raptem konie ściągnęły z kozła pijanego furmana i ruszyły cwałem. Najmłodsza z siostr traci głowę, wyskakuje, zaczepia jednym końcem sukni o stopień, drugi się wkręca w koło, i kiedy o parę set kroków daléj zatrzymano konie, podjęto ją z połamanemi kościami, już nie żywą.

WŁOŚCIANIE POLSKI

1496 do 1573.

Mimo nadwerężenia polskich urządzeń rolniczych, mimo dotąd nieśmiałych a rzadkich usiłowań ujarzmienia kmieci, użycia ich za narzędzie powiększenia dochodów, jako naiwnie przyznali bracia chełmskiéj ziemi „powiększenia dochodów,“ można przecież twierdzić, że stan polskich kmieci, do końca XV wieku, do r. 1496 był pomyślny a nawet szczęśliwy, jeżeli naszych kmieci porównamy z kmieciami na zachodzie u Niemców, u Francuzów, u których rólnik takiéj jakiéj u nas rozległéj nie posiadał prawnéj swobody. Był prawdziwym właścicielem, ponosił łagodne ciężary, płacił umiarkowane podatki. Wyjąwszy króla innéj nie podlegał władzy.

Lecz urządzenia rolnicze, społeczne położenie włościan, na końcu XV wieku, nie miały dawniejszéj mocy. Rycerstwo dotąd wszystkim przystępne, przeobrażało się na szlachectwo, na stan *wyosobiony*, wyższy, panujący politycznie. Przywłaszczał sobie niejako samowładztwo nad innemi mieszkańcami nad włościanami, których przedtém prawo za równych uważało. Chciał być wszystkiem, osłabiając albo niwecząc inne społeczne potęgi.

Téj chwili niejako kiedy ziemia chełmska wynurzyła zamysły, które nie długo znalazły sprzyjanie i wsparcie powszechne, téj saméj chwili potajemnie rozważano sposoby wstrzymania téj złéj przemiany, która stan kmiecy z pod prawa wyłączyć, a władzy wykonawczéj, królowi zbawiennie ograniczonemu, nowe ścieśnienia nałożyć zamierzała. Król powziął myśl ocalenia swobód kmieci, a opierając się na nich, uczynić niepodleglejszem, czynniejszem, użyteczniejszem swoje polityczne stanowisko. Opuszczamy po za nasze przedsiewzięcie obecne wychodzące badania, czyli szlachta właściwie działała, wywracając wpływ i rozległość królewskiéj władzy, takiéj jaka przez XV wiek istniała. Również odsuwamy poszukiwanie, czyli zniweczenie politycznych swobód szlachty, wiodące niewstrzy-

manie ku samowładztwu monarchicznemu byłoby przyniosło Polsce zbawienie. Stanowcza przewaga króla albo szlachty, każda z nich miała swoje niebezpieczeństwa; nierównie łagodniejsze przecież szlachecka.

Uważamy tylko, że szlachta idąc ku coraz pełniejszemu usamowolnieniu siebie a poddaniu sobie króla, popełniła błąd, wynurzając zamysł ujarzmienia włościan. Król zagrożony wybierał środek najdzielniejszy, nieomylny, podniesienia swojéj władzy i złamania szlachty, jéj nad kmieciami fałszywéj a fatalnéj przewagi. Kazimierz i Albrecht królowie drobnych umysłowych potęg, zamyślali niezmierne dzieło, którego wykonać nie mogli Bolesław Spaniały i Kazimierz Wielki. Ztąd wypłynęły następstwa zbawienne, ale także i szkodliwe. Polska politycznie, zewnętrznie, wzmogła się, zajaśniała. Pod względem społecznym atoli upadała. Lud życie narodowe powolnie utracał; mimo że kilka wieków przejść musiało nim wstąpiło doń zupełne odrętwienie. Rycerstwo zamieniające się nieznacznie na stan szlachecki trzymało wyłącznie polityczne naczelnictwo. Polska królewskość, od samych początków niepewno ograniczona, niemająca własnéj siły, zezwalała na wszystko, nic niezarzucała, w niczem nie początkowała. Pod Piastami których dziwnie na samodzierżców chciano by wykierować, pod Jagiellonami zmuszonemi uznać i szanować narodowe wszechwładztwo, król był właściwie pierwszym urzędem, sam ze siebie niemiał ani myślenia ani działania.

Kmiecie chociaż dotąd, do XV wieku, zatrzymali wielkie prawa osobistéj wolności i własności ziemskiéj, narodowéj albo nabytéj, stracili przecież sposób porozumiewania się, obrony. Najliczniejsi, najzamożniejsi niejako wyłączni dzierżyciele gruntów, ale rozerwani, bez związku. Na zjazdach, na sejmach nie mieli działania, przedstawicieli. Polityczne władztwo innym nieroztropnie zostawili. Szlachta liczbowo nieskończenie słabsza, ale przez zjazdy politycznie związana, działająca pod rozkazem jednéj myśli, nakoniec zwyciężyła. Ale już zwycięztwo zaledwie kilka chwil świetności dało, dla niéj saméj i dla państwa. Upadek włościan dał początek upadkowi Polski.

Chcielibyśmy mieć wymiarkowanie dla zachwycających złudzeń rycerstwa i szlachty. Nie czuła jeszcze szlachta złych skutków ograniczenia włościan, może nawet nie miała pojęcia złego które budowała. Dotąd wszystko zdobyła co tylko zachciała. Urzeczywistniały się jéj najmilsze, prawie niepodobne nadzieje. Wywróciła znienawidzone Krzyżaki, i odtąd przeciw Polsce Germania oręża dobyć nieśmiała. Otworzyła łono braterstwa i miłości ludom Litwy i Rusi, odzyskała granice narodowi, które Bolesław Wielki zakreślił. Cofnęła się od Laby i Odry, ale rozwinęła się ku Dnieprowi, oswobodziła i do nowéj jedności zwróciła prawie wszystkie polsko-lechickie dzierżawy. Zrobiła Polskę państwem pierwszéj wielkości. Czemuż nie uszanowała tych przynajmniéj praw, jakie kmieć do końca XV wieku niewątpliwie posiadał, praw które sama uznawała, ponawiała uroczyście a najrozumniéj! Gdyby nie to, jakże odmienny kierunek byłaby wzięła polska historya a przez jéj wpływ cała Słowiańszczyzna!

Szczęście własne i Słowian zmarnotrawiono raczéj lekkomyślnie aniżeli przewrotnie.

Sposoby ograniczenia szlacheckiéj przewagi a podniesienia włościan, umocowania praw, które posiadali, przedstawił królowi Filip Bonaccorsi, nazwany Kallimachem, a na uczczenie nadzwyczajnéj mądrości *experiens*. Wplątany do knowań przeciw papieżowi, podejrzany o mniemanie religijne za swobodne, schronił się do Polski r. 1466.. Uczony, zręczny, wysoki mąż stanu, ale jako wierzył Bielski, chytry, znalazł u króla uprzejme przyjęcie i wielkie zaufanie. Był nauczycielem Albrechta, któremu wierne a pożyteczne oddawał posługi. Miał nadane starostwo Gostynia, co dowodzi że otrzymał polskie szlachectwo, które przecież zamierzał zniweczyć a przynajmniéj mocno osłabić, podnosząc wysoko władztwo królewskie, zwracając włościanom dawniejsze swobody. Rady jakie pod tym względem podawał królowi, miały być strasznemi, a może nie były tyle niebezpiecznemi, szczególniéj, że ich prawdziwéj natury nieznano, i my, do téj chwili przynajmniéj, nie znamy. Szlachta powzięła przeciw niemu najżywsze nienawiście. Na sejmie Piotrkowa miał być wywołany, ale to podobno za dawne winy polityczne i religijne, o co mocno się użalał Dersławowi Jastrzębcowi wojewodzie Sandomierza. Nie wysłuchany, nie przywołany a jednak potępiony: prius damnatus, quam cognitus, in humana sententia. Szacunek króla wstrzymał prześladowanie, które jako się zdaje więcéj było religijne aniżeli polityczne. Nie był to pospolity umysł, c ociaż podawał zamiary, jako mniemano powszechnie, niebezpieczne polskiéj wolności. Do skonu utrzymał zaufanie królewskie i szacunek wielu, którzy przez wykształcenie albo dostojeństwa stali u szczytu naszéj społeczności. Zmarłemu wyprawiono świetny pogrzeb, na którym wystąpić miało 15,000 uczniów akademii Krakowa.

Dotąd nieodkryto owych rad niebezpiecznych podanych przez Kallimacha, który może ich nigdy nie spisał, w porządną całość nieułożył.

Zdaniem przeciwników zmierzały one ku temu, aby król był samowładny, absolutum dominium. Nieprzerwana szlachecka żałoba, wznawiana przeciw polskim królom, nawet przeciw Janowi Sobieskiemu, za ich przesadzone ale nie zupełnie pozbawione rzeczywistości zamachy. Władysław IV marzył o przeistoczeniu naszéj spółeczności przez zniweczenie żywiołu szlacheckiego, wzmocnienie siebie i możnowładztwo. Na włościany niezwracano uwagi. Pierwszy tak zatracenie Polski układał. Szlachta niezawsze śniła albo wichrzyła. Miała żywe chociaż czasami zbłąkane sumienie. Ona sama wyobrażała i ocaliła narodowe podanie.

Widoki Kallimacha nazwano consilia perniciosa. Lecz zdaje się, nie były one takiemi, przynajmniéj nie wszystkie. Dowodziły żywéj przenikliwości, dosyć usprawiedliwionéj późniejszemi wypadkami. Król, miał twierdzić Bonaccorsi, będzie niewolnikiem szlachty, a szlachcie obcy naród narzuci panowanie, jeszcze i dla téj przyczyny, że szlachta łamiąc samowładztwo monarchiczne, którego jednak królowie Polski nigdy nie mieli, własne samowładztwo narzucała włościanom. Pod tym ostatnim względem

Bonaccorsi jasno widział niebezpieczeństwo przemiany, do któréj szlachta szła lekkomyślnie, nieszczęśnie dla niéj saméj. Przepowiednia się spełniła, ale we trzy wieki; dowód, że wystąpiły jeszcze inne przeważne zboczenia, które upadek państwa wzbudziły, nierozwiązując przecież jego narodowéj duchowéj budowy.

Rada karania szlachty śmiercią za zbrodnie, a zniesienia pieniężnych win za mord, miała swoje powody; pamiętajmy jednak że nauka chrześciańska nie chce śmierci grzesznika, ale pokuty i naprawy, a filozofija dzisiejsza wymaga zniesienia kary śmierci. Polska wyprzedzała europejskie wykształcenie. Obrona ubogich, niższych, przeciw możnym, miała wyniosłe polityczne znaczenie. Szlachta polska XV wieku, niejako zupełnie się wyłączała z równości, spólnéj przedtém wszystkim mieszkańcom. Do téj równości przed prawem szłachectwo czyli rycerstwo należało koniecznie zwrócić. Był to warunek zbawienia. Lecz rada wywrócenia sejmów, pod pozorem jakoby nowemi bydź miały, była istotnie niebezpieczna. Jéj wykonanie nie miało żadnych podobieństw, obrażało gwałtownie narodowe podanie, albowiem Polska, chociaż pod innemi formami zawsze miała obrady, zjazdy, prawdziwe sejmy. Lelewel wprowadził do naszéj historii błąd fatalny, fałsz niepojęty, jakoby Piastowie samodzierżcami być mieli. Sejmowanie stanowiło żywioł narodowy przeważający, który rozwinąć, urządzić należało, oddając włościanom prawo obradowania, zezwalania, prawo przez stan rycerski przywłaszczone sobie.

Rady względem włościan Bonaccorsi pomyślał głęboko, najwłaściwiéj, a chociaż cudzoziemiec wydobył je z narodowych jeszcze żyjących wyobrażeń, aczkolwiek nadwerężonych. Zamierzał utrzymać urządzenie rólnicze takie, jakie jeszcze istniało, pozbawione atoli swojéj dawniejszéj mocy. Wzmagającemu się złemu stawiał granice. Był przeciwny nadawaniu dóbr narodowych, starostw dożywotnich a chciał aby król unieważniał nadanie, na przypadek gdyby nadany dręczył i prześladował włościany. Panem bene merentium pożywali możni, do niższéj szlachty spadały zaledwie okruszyny. Stan starostw XVII i XVIII wieku rzuconych na łup saméj oligarchii, dał zupełne usprawiedliwienie téj radzie, któréj wykonanie przy końcu XVIII wieku zaczęto, ale za późno. Dobra narodowe, których dochód wystarczałby na utrzymanie potężnéj siły zbrojnéj, zbogacały jeszcze tych, którzy posiadali własne dostatki. Z dóbr narodowych rozszarpanych albo źle użytych, naród nie miał żadnéj korzyści. Bonaccorsi radził aby szlachta swoje grunta oddała królowi, a przez urzędniki królewskie pobierała czynsze. Szlachta jako była na początku, wyłącznie rycerstwem pozostać miała. Czynsz dawany przez kmiecie wynosił dziesięć złotych wedle wartości w szesnastym wieku. Żadne inne powinności na kmieciach ciążyć nie miały. Jednak szlachcie miano zostawić grunt taki jaki sama mogłaby uprawiać.[1]) Z tych objaśnień trudno wymiarkować co Bonaccorsi

[1]) Ostroróg znamienity umysł XVI wieku zostawił następne zdanie: „Majątek zdobywa praca a zachowuje sprawiedliwość.“ Prawodawcy 1477—1496—1520 inaczéj

właściwie zamierzał. Zdaje się że czynsz złotych dziesięć a dzisiejszych sto był za jeden łan, zwyczajną posiadłość kmiecia. Lecz taki czynsz uważamy za wysoki. Nie można mniemać aby szlachcie wszystkie grunta miały bydź odebrane, albowiem grunta starożytne rodowe nowe i nabyte wyłącznie do niéj saméj należały. Nad gruntami temi król nie miał żadnéj władzy. Wnioskujemy raczéj, że Bonaccorsi radził odebrać szlachcie grunta nadane dożywotnie darowane albo sprzedane bezprawnie nadane pierwotnie pod obowiązkiem wojennéj służby. Taka naprawa była sprawiedliwa, konieczna i zbawienna. Odejmowała szlachcie możność ciemiężenia włościan, ograniczania wolności ich osób, umniejszania ich łanów, a podnoszenia ciężarów nad wszelkie umiarkowanie, co wszystko nastąpiło nie długo na rozmiar niezmierny.

Bonaccorsi przeobrażał i sądownictwo. Sąd miał być jednym dla wszystkich, to jest równać wszystkich mieszkańców przed prawem, które jako dowiedliśmy jeszcze istniało na początku XV wieku prawie w zupełności. Sędzie miał opłacać skarb pnbliczny, któremu Bonaccorsi takie nadawał urządzenie, aby król samowolnie nie odpowiedzialnie rozporządzał narodowem bogactwem. Widocznie posuwał się za daleko i za gwałtownie.

Bonaccorsi doradzał odwołanie nadań Ludwika, owéj przyczyny która wszystkie późniejsze klęski wywołać miała, a nieuważano że jedne nadania Ludwika były konieczne i zbawienne, że drugie raczéj zatwierdzały dawne swobody aniżeli wznawiały. Przecież, nadania Ludwika nie były tylko dla szlachty. Kmiecie uzyskali bardzo wiele: zmniejszenie podatku na rzecz króla, zniesienie prawie wszystkich grodowych powinności którym dawniéj ulegała nawet szlachta jako rycerstwo. Szlachta popełniła stanowczy błąd. Tych rozumnych rękojmi, które dla siebie wyjednała nierozciągnęła. Swoje swobody rozszerzała, a swobody kmieci ścieśniać i wywracać zaczęła. Złe którego dla siebie nie chciała na innych przerzuciła. Jakże ukarana być nie miała.

---

zrozumieli tworzenie bogactwa.

Pomnę ja przed laty
Że w Polsce nie był żaden w pieniądze bogaty.
Kmieca to rzecz na on czas patrzeć roli była,
A szlachta się rycerskiem rzemiosłem bawiła.

mówił Jan Kochanowski; albowiem i kmiecie bronili ojczyzny na wojnach, wchodzili nawet do tak nazwanéj rycerskiéj służby, skoro ich od niéj 1496 wyłączyć musiano. Kogokolwiek z tamtych zapytamy czasów, zawsze jednostajna wychodzi odpowiedź, że ziemia właściwie i głównie należała do kmieci, przez narodowe nadanie, że posiadłości rycerskie czyli szlacheckie były takie jakie własnemi rękami mogłyby być uprawione, dostatki umiarkowane ale wystarczające i u wszystkich. Kochanowski pamiętał i szanował dawny obyczaj, który przeminął a za którym tęsknił. Kmiotek i pan pijali razem. Pan kmiotkiem nie gardził. Jeszcze wszyscy mieli uczucie braterskiéj jedności. To w XVI wieku zaczęło się przemieniać. Szlachta zwielmożniała. Ze wszystkiemi zdrowiéj i daléj widzącemi Kochanowski nie łudził się pozorami świetności. Kochał ustroń, nie mięszał się do politycznych stosunków, których kierunek nie podobał się jego umysłowi i sercu.

Powtarzamy, tych zamysłów za postęp, za coś nieznanego naszemu społeczeństwu nie można uważać. Czynsz bardzo umiarkowany, łany szlacheckie drobne albo i żadne, uległość włościan tylko prawu ziemskiemu, ich własność, ich osoby ubezpieczone, był tu porządek społeczny szanowany przez Piastów, szarpany, ale przecież utrzymany pod Jagiellonami. Bonaccorsi tylko odnawiał, przywracał moc temu, co się łamało, i co późniéj zupełnie złamanem bydź miało. Król rozumiałże co jemu radzono? Być może; lecz ani Kazimierz ani Albrecht nie mieli śmiałości i odwagi na wykonanie téj ogromnéj roboty. Przytem istniałyż środki i podobieństwo spełnienia téj przemiany, pod jednemi względami dobroczynnéj, a pod innemi szkodliwéj. Wygorowana wolność szlachty była zła. Byłożby było zbawienniejszem samowładztwo królewskie? Nie mniemamy.

Rady Bonaccorsi wyszły na jaw, a właściwie domyślano się ich, a im mniéj je znano, tem je za straszniejsze uważano. Król dawał przystęp radom śmiałym, ale do czynu nie przystąpił. Szlachta odebrała ostrzeżenie groźne, ale zamiast ograniczenia siebie, zamiast zwrotu ku sprawiedliwości, ku prawom dawnym, narodowym, nadużycia swoje dotąd niepewne, zrobiła stanowczemi. Wykończyła je, uzupełniła. Uderzyła na włościany śmiertelnemi ciosami. Ustawa chełmska rólnicza wykryła zamiary szlachty. Niedługo do jéj zasady, ale rozwinionéj, przystąpiły wszystkie ziemie. Czyn pojedynczy, został powszechnym. Nadchodził pamiętny rok 1496. Rozradowany Bielski napisał: „Bonaccorsi umarł wczas.“ Król poddał się nikczemnie wbrew swoim przekonaniom, zezwolił na wyraźniejsze ograniczenie swojéj władzy, a co za istotniejsze przyjmujemy nieszczęście, na zniweczenie praw i swobód których dotąd używali włościanie. Była to rewolucya społeczna, ale we złem znaczeniu. Szlachta przemogła i przeciw królowi i przeciw włościanom. Król ustąpił, włościanie zdaje się nieustępowali spokojnie. Rozumieli swoje przykre położenie, mieli przeczucie co im zagrażało.

Roku 1491 Mucha włościanin, a jako podoba się Bielskiemu *łotr*, zebrał dziesięć tysięcy także włościan, wojował Pokucie i ruskie ziemie, dowód jeszcze wielkiéj swobody między ludem i równie wielkiéj łagodności rządu, który takiéj liczbie zbrojnych pozwolił się zgromadzić. Porażony przez wojska Mucha zniknął, ale za Albrechta odnowił powstanie, które może byłoby pomyślniejsze. Lecz niewiasta zdradziła go i oddała władzy; władza przecież srogości użyć nie chciała. Uwięziono, lecz życie uszanowano. Widocznie lud wiejski był niespokojny, wzburzony, niepodobny swoim poprzednikom jedynastego wieku co zwyciężyli, chociaż nie stanowczo. Na Mazowszu wynurzała się również żywa i rozległa niespokojność; napotykamy częste mordy szlachty przez włościan i nawzajem, czego pamięć przechowały ustawy. Prawo r. 1511, mord dokonany, zdaje się przez szlachcica, karało rokiem wieży i dłużéj, dopókiby zabójca, głowy nieopłacił. Jeżeli przestępca umknął, zajmowano dobra na zaspokojenie pieniężnéj kary. Sama wieża nie znosiła winy, albowiem po jéj wysiedzeniu jeżeli zabójca główszczyzny nieopłacił, ponosił śmierć, ale na ówczas jeżeli

śmierci wymagała żałująca strona: rodzice, krewni, którym służyło bezwarunkowe prawo łaski, przebaczenia, pojednania.

Winy popełnione przez włościan, ustawa r. 1511 pojmowała odmiennie. Kmieć zabójca kmiecia śmierć cierpiał. Kara śmierci nie mogła być zniesiona ani odkupieniem ani przedawnieniem. Zaczynano srogości przeciw ludowi.

Ustęp dwunasty ustawy z r. 1511 odkrywa jéj zamiar i jéj powody. Jeżeli włościanie zabili szlachcica, przywodzcę i spólników śmiercią karano. Dawniéj spólnika skazowano na kary pieniężne. Jeżeli zabójcy umknęli, pan włości oddawał wszelką własność zbiegłych na opłacenie główszczyzny, odtrąciwszy coby jeszcze należało za czynsze, za powinności ziemskie. Jednak zabójce jeżeli je schwytano, śmiercią karano. Mimo tego zabójcy mieli dziwny sposób ocalenia życia. Jeżeli naczelnik włości, pan, wezwany prawnie sądu nie wyznaczył, sprawiedliwości odmówił, musiał opłacić pieniężne kary, poczém zabójca nie miał żadnéj obawy.

Były inne znaki zniechęcenia włościan. Palono lasy i domy; oczyszczenie się z téj zbrodni utrudniała ustawa. Oskarżony musiał stawiać ze swego stanu czasami dwunastu świadków, na dowód że czynu niepopełnił (1465).

Chętnie wyznajemy że sprawiedliwość dotykała i szlachtę, skoro włościany „psami" przezywała, napadała, zabijała. Szlachcica, który wieś najechał, włościanina zamordował, jeżeli był zaraz ujęty, śmiercią karano. Lecz jeżeli umknął, płacił osiem kop groszy dzieciom albo krewnym, i także osiem kop groszy naczelnikowi czyli panu włości. Takaż sama kara uderzała szlachcica, któryby kmiecia podczas kiedy orał zamordował. (r. 1531, Mazowsze.)

Rozdział między mieszkańcami, dotąd przed prawem równemi, coraz się zwiększał. Występowały stany, jeden panujący, drugi najboleśniéj uniżony. Wynurzyła się szalona wzgarda przeciw kmieciom u tych właśnie Mazurów, u których kmieć używał najdłużéj nieograniczonéj swobody. Za zgwałcenie szlachcianki kmieć niepochybnie śmierć ponosił. Szlachcic gwałciciel kmiotki, dawał cztery grzywny sądowi i kobiecie, ale na kmiecia, gwałciciela kmiotki, śmierć (1387 i 1531 Mazowsze). Przed sądem sława kmiecia nie miała téj wagi, jaką przyznawano sławie szlachcica. Jeżeli kmieć pozywał kmiecia a sąd przysięgę naznaczył, pozwany kmieć sam się odprzysięgał. Lecz jeżeli szlachcic pozywał kmiecia, kmieć samotrzeci się odprzysięgał i podobno nie kmieciami, albowiem kmieć pozwany przez szlachcica o rany, musiał dowodzić trzema świadkami i to szlachcicami, że téj rany nie zadał. W sprawach cywilnych zdaje się świadectwa i odprzysięgania się kmieci przeciwko szlachcie dopuszczano, szlachcica i kmiecia jako równych przyjmowano. Ustawa korony sądowa z r. 1465, ustawa z r. 1511 i te które téj chwili wskazaliśmy, odkryły najżywsze między stanami niechęci. Polscy włościanie upadali, ale nie bez oporu. Śmierć dotykająca wszystkich uczestników mordu szlachcica, przypomina rzymskie postanowienie, które skoro pan był zabity, wszystkich niewolników

skazywało na śmierć, a przecież polski włościanin nigdy nie był niewolnikiem.

Na Litwie również wybuchał płomyk niechęci włościan, poniżanych dotkliwiéj aniżeli kmiecie korony. Lejczys poburzył włościany około Merecza r. 1483. Zwycięzcę poruszenia Rynwida król świetnie wynagrodził, ale przyczyny zamieszania widzieć nie umiał. Był to zdaje się jedyny przykład uniesienia się włościan Litwy, którzy w XVII wieku nawet za oręż nie wzięli, chociaż mieli głębokie uczucie swobody, do któréj tęsknili, marzyli o niéj, i tylko sposobów gwałtownych, celem odzyskania jéj użyć nieśmieli i dla téj przyczyny że ze swojéj przeszłości podań wolności nie zachowali. Lud cichy wewnętrzny, nieprzystępny dzikim namiętnościom, religijny, śmiały i heroiczny tylko przeciw Niemcom. [1])

---

[1]) Zachowano śpiew włościan litewskich do Letwy bogini swobody:
„Milenka Letwo, droga swobodo
„Skryłaś się do niebios
„Gdzież szukać ciebie?
„Może tylko na łonie saméj śmierci.
„Niech patrzy gdzie chce nieszczęśliwy
„Spojrzy na wschód, spojrzy na zachód
„Bieda, ucisk, nędza.
„Pot z pracy, krew od ciosów, od uderzeń zalały ziemię,
„Milenka Letwo
„Znijdź z nieba.“

Symbolem téj litewskiéj wolności był kot. Puszajtysa czczono jako bożka uciśnionych włościan. Błagano bożki nazwane markopole, aby panom natchnęły łagodność dla wieśniaków. Puszajtys polecał swoim podwładnym duchom, aby włościanom przymnażali dostatków. Pokazuje się ztąd że był niezmierny przedział między włościaninem polskim a litewskim. Pierwszy do końca XV wieku zupełnie swobodny, drugi, prawie niewolnik. Wedle Gwagnina, pan chłopu litewskiemu mógł wszystko zabrać. Chłop robił pięć dni w tydzień pańszczyzny, składał czynsz i jeszcze cztery razy na rok jakieś pobory. Co jadł? Chleb więcéj z plew aniżeli mąki. Gwagnin opisał na co sam patrzał. Taki przecież stan nazywano patryarchalnym. Spółeczny układ Litwy przed połączeniem z Polską, i długo późniéj. był okropny, na dole i u góry. Owe sławne rządy Witolda wyglądały na dzisiejszy rząd moskiewski. Niekłamała Polska kiedy mówiła urzędownie, a panowie litewscy przyznawali skromnie, że Polska złamała jarzmo, które Litwini na karkach nosili. Ta dobroczynna od niéj przemiana napotykała przecież namiętne i bezrozumne opory. Duch niewoli całe związał spółeczeństwo. Nigdzie i dla nikogo jakiéjkolwiek swobody, jako mówił jéj wielbiciel J. Lelewel. Do przyjęcia chrztu, podaje Stryjkowski, orać nie umiała, żyła tylko rozbojem. Litewski bojar łupił i pił ciągle. Witold, wedle Eneasza Silwiusza, był to carnifex sanguinolentus. Kiedy podróżował, miał zawsze łuk napięty, zabijał kogo chciał. Skazanych obszywano w skóry niedźwiedzie i psom rzucano na pożarcie, bojarów i włościan. Na widok książęcéj czapki padano na kolana. Posłowie Nowogrodu i Pskowa nim przemówili do Witolda padali na kolana. Litwa przed wcieleniem się do Polski, była to rzesza niewolników jednych względem drugich, a łupieztwo na wszystkie strony. Czasami zadumał się Witold i dał rozkaz, aby jakiemu kniaziowi zabrano wszystko co posiadał, a był szczęśliwy jeśli mu i życia niewzięto. Żona? kupiona niewolnica, którą jeżeli chciał mąż sprzedawał. Ojciec sprzedawał a nawet i zabijał własne dzieci. Na Litwie, mówił Modrzewski, sprzedają ludzi jako bydlęta. Wedle Miechowity był to powszechny obyczaj, *Consuetudo venditionis hominum*. Zrobiłeś dług i nie możesz wypłacić, niewola. Po-

Stan włościan Litwy zanadto opłakany nie mógł prawie pogorszać się. Zdaje się niema ciężarów i ograniczeń, którychby ludowi wiejskiemu nie wtłaczano. Chłop litewski był istotnym niewolnikiem, był przykuty do ziemi, robił pięć dni pańszczyzny, nie miał żadnéj własności, a przynajmniéj własności zaręczonéj przez prawa. Trudnoby pomyśleć coby jeszcze włościanom na rzecz panów odjęte być mogło. Kmieć polski XV wieku chociaż cokolwiek ścieśniony, posiadał za wiele swobody, miał za mocne uczucie niepodległości, aby szlachta, wszystko coby chciała jemu wydzierała. Może nawet sama lękała się za daleko posuwać bezprawie, wywracać odwieczny układ spółeczny. Włościanin polski nie był giętkiem, wszystko przyjmującem narzędziem uprawiania ziemi. Przetoż uradzono ścieśniać nieznacznie, stopniowo, prawne stanowisko, jakie zajmowali kmiecie, stanowisko spółeczne szanowane jeszcze i które łatwo obronione być mogło, gdyby ich koniecznie strącić zeń nie postanowiono. Taką myśl nieprzyjazną włościanom o rozszerzeniu królewskiéj władzy, stworzyły pamiętne ustawy z r. 1496 które nieprzerwanie pogorszano. Założyły one stanowcze ujarzmienie włościan w r. 1573.

Wymieniliśmy sposoby przez które kmieć jeżeli chciał włość opuszczał, takie przypadki kiedy wszyscy włościanie, ze wsi wychodzili a pan, szlachcic, żadnéj nie mógł stawiać przeszkody; kmieć był bezwarunkowo wolny, skoro dopełnił powinności nakazanych przez *ziemskie prawo.* Kiedy bez ostrzeżenia, samowolnie, nie we właściwym czasie opuszczał grunt, wynagradzał szkody ztąd wynikające. Pod żadnym względem do ziemi nie

---

datek niezłożony, niewola. Jeżeliś zubożał, umierasz z głodu, sprzedaj się. Niewolniki na posag córkom dawano. Były nawet na nich ceny prawne. R. 1588 rodzina chłopska szacowana 6511 złotych, a 1661 staniała, tylko około 4500 złotych. Statuta litewskie podawane jako wzór mądrości, zatwierdzały przecież niewolę całéj rolniczéj ludności. Bojarowie, drobniejsza szlachta, przez własne postanowienie, niekiedy zmuszeni, przechodzili do stanu niewolników. Ojczyce przywiązani do ziemi niemieli być niewolnikami. Lecz przywiązanie do ziemi i jeszcze na Litwie, niebyłaż to niewola? Statut nie kładł żadnéj granicy samowolności panów. Prawo ojczyca że pojedynczo i bez gruntu nie mógł być sprzedany było złudzeniem, skoro nie mógł albo nieśmiał powołać opieki prawa. Była wykonywana zasada że samo miejsce zamieszkane czyni niewolnikiem. Pan miał nad kmieciem ptawo życia i śmierci a kmieć nigdzie nie miał odwołania i sprawiedliwości. Ten stan polskim włościanom do końca XV wieku był nieznany. Niezasłaniamy téj rany, która psuła całe litewskie społeczeństwo, przez wzgląd, że po zbliżeniu się Polski i Litwy Polacy stosunki rolnicze na wzór litewskich urządzać zaczęli. Zygmunt I wydał r. 1529 dwie rólnicze ustawy, jednę dla swoich posiadłości na Żmudzi, a drugą dla swoich dworów na Litwie. Przy tym układzie spółecznym litewskim, jaki wskazaliśmy, urządzeniom królewskiem nieodmawiamy umiarkowania i pewnéj sprawiedliwości. Myśl łagodzenia losu włościan widoczna. Złe zmniejszano, ale jednak zostawiono. Włościanin królewski płacił czynsz, składał daremszczyzny, robił dwa dni pańszczyzny tygodniowo za jeden łan Pańszczyzna od wschodu do zachodu słońca, a odpoczynku tylko godzina. Za opuszczenie pańszczyzny, włościanin dawał barana i mógł być bity kijami. Mimo tych złagodzeń, włościanin był prawdziwym niewolnikiem. Mógł się przenieść z jednéj do drugiéj królewskiéj włości. Zdaje się że król spadek po ojcu tylko synom oddawał, a innych krewnych zupełnie odsunął.

był przywiązany. Ustawa Wiślicy przynajmniéj co do włościan używa niezasłużonéj wziętości; dozwalała co rok dwom kmieciom włość opuszczać, przetoż raczéj ograniczała, zmniejszała aniżeli rozszerzała ich swobody. Lecz i pod tym względem, ustawa wiślicka niemogła potłumić ziemskich zwyczajów, a szlachta jéj przepisów dla siebie przyjaznych, nie miała odwagi wykonać. Kmieć był wolniejszy, aniżeli oznaczała ustawa.

Sejm z r. 1496 oznajmiał, że ustawa Wiślicy co do włościan szanowana być miała, to jest, że kmieć miał używać dotychczasowéj prawem zaręczonéj swobody. Lecz właśnie téj swobodzie zadał gwałt niezmierny. Wywracał to co przyrzekał zachować. Jakoż odtąd tylko jednemu włościaninowi co rok wieś opuszczać było wolno. Pan musiał dać zezwolenie, a jeżeli odmawiał, był karany, a kmieć odchodził samowolnie, *jure et licite.* Na cóż wymyślano zezwolenie, kiedy włościanin *jure* włość opuszczał. Pozornie obojętna zmiana dała początek przykuciu do ziemi, prawdziwéj niewoli; chociaż niewoli włościan prawo polskie nieznało. Dawniejsze ustawy mówiły *de recessa kmethonum.* Sejm użył wyrażenia *de manumissione*, wprowadzając domysł widocznie fałszywy, jakoby pan dawał wolność, usamowolniał, że włościanin przeto był niewolnikiem, że pan nad nim wykonywał samowładztwo. Temu samowładztwu szlachta uwierzyła. Przyznała sobie moc usamowolniania włościan, któréj prawnie przedtem nieposiadała i moc zatrzymywania ich na gruncie wiecznie.

Jeżeli tedy inny kmieć ze wsi wyszedł, musiał być wydany z miejsca gdzieby założył mieszkanie, musiał powracać na grunt, nie przeto aby zobowiązań czyli obowiązków ziemskich dopełnił, aby długi zaspokoił, ale dla téj nowéj przed 1496 nieznanéj przyczyny, że ze wsi nie mógł się oddalić. Wstępowała niewola, kmieć znał swoje prawa, widział zniesienie a przynajmniéj najdotkliwsze ograniczenie swobody, mniemał że gdzieindziéj znajdzie schronienie, umykał; włożono mu więc inne kajdany. Ustawa z r. 1496 *de repetendo kmethone*, kmieciom zostawiła niepewne, pozorne rękojmie. Kmieć miał być poszukiwany *mediante jure*, *jure polonico*, przed sądem miejscowym, a gdyby przed takim sądem, spór nie był ukończony, sprawa szła przed sąd grodzki. Postępowano jeszcze szybciéj i podobne postępowanie dobitnie późniéj określono wyrazami: *sine strèpitu juris.* Starostę któryby niechciał sądzić, któryby włościany zasłaniał, dotykała kara 14 grzywien. Kmieć mógł się przenieść do włości króla, gdzie swobody włościana jeszcze szanowano. Ustawa z r. 1496 starostom, dzierżawcom króla takie zbiegłe kmiecie nakazała wydawać poszukującemu. Powstało u nas naówczas to, co południowe stany Ameryki ogłosiły jako prawo nietykalne. Prawa owe nad czarnemi u nas szlachta nad rodakami przywłaszczyła sobie. Szlachta nieznała rękojemstwa właściwego mazowieckim ziemiom, na których wolność kmieci najdłużéj kwitnęła.

Najgorszym prawom umiano wynajdować powody moralne nawet. Ograniczenie osobistéj własności samych kmieci niewystarczało. Ograniczenie a raczéj zniesienie wolności i synom kmiecym narzucono. Syn jedynak niemógł gruntu opuścić pod żadnym prawem. Jeżeli opuścił ścigano

go, chwytano samowolnie, niewzywając powagi sądu *sine strepitu juris*, to j est synom kmiecym sąd i prawo odjęto.

Jeżeli kmieć miał kilku synów, tylko jednemu pan udzielał wolność odejścia. Był usamowolniony, *emancipatus*. Lecz taki usamowolniony, musiał uzyskać pozwolenie odejścia przed dwunastym rokiem; a jeżeli wyszedł, nieotrzymawszy zezwolenia, utracał dziedzictwo ziemi jakieby nań spadło we wsi. Przepis niepojęty, gdyby prawdziwem być miało, że łany uprawiane, trzymane przez kmieci, do kmieci jako prawdziwych właścicieli należeć niemiały. Syn mógłże utracać dziedzictwo gruntu któregoby ojciec prawnie, dziedzicznie, niepodlegle, nieposiadał? Syn kmiecy usamowolniony wybierał zawód jaki sobie upodobał: przemysł, nauki, kapłaństwo, jedyna dostojność kmieciom zostawiona, ale kapłaństwo wyższe rzadko albo nigdy. Inni téj niemieli przyszłości. Na gruncie, na którym się urodzili, nieszczęśnie dla nich, przykuci, prawdziwi niewolnicy, umierać musieli. Ta ustawa tłómaczy czemu nasze miasta upadły, znarodowić się nie mogły, miasta oddano żydom i niemcom.

Jakie powody skłoniły sejm z r. 1496 ku temu błędowi, czyli raczéj ku temu występnemu nadużyciu? „Wsie się wyludniały, był brak rólników, „którymby grunt mógl być dany, dobra opustaszały.“ Sejm widział zmniejszanie się albo zupełny upadek szlacheckich czyli rycerskich dochodów, czuł złe które stan panujący dolegliwie dotykało, ale rozpoznać niechciał najwidoczniejszéj przyczyny, która wsie wyludniała, albowiem mimo ograniczeń nałożonych swobodzie włościan, przez prawa Wiślicy, pod tym względem najfałszywiéj chwalone, włości gromadami, ze szczętem opuszczano.[1]) Kmieć lękał się o siebie, o swoje potomstwo. Miał rozumne wieszcze przeczucie niedoli coraz przykrzejszéj. Przestawał być panem swojéj osoby, cierpiał jako obywatel, jako właściciel. Ustawodawcy z r. 1496 poświęcili najważniejsze względy żądzy utrzymania albo powiększenia dochodów, zamieniając włościany dotąd swobodne na narzędzia niejako mechaniczne. Ani włościanie ani synowie ich nieopuszczaliby gruntów, gdyby widzieli że praca dla nich samych przynosi korzyści, że celem podwyższenia dochodów bezprawnie przez innych przywłaszczana niebędzie. Oburzali się, opuszczali włoście i bardzo słusznie. Bez nich, a o nich stanowiono, zamieniano warunki posiadania i dzierżenia ziemi. Niewola ukazywała się tem okropniejsza, że włościanom przedtem nieznana.

Ustawa z r. 1496 znieważała tych których ujarzmiała. Włościanie opuszczać mieli grunta, jedynie „aby wstępować do złych związków, aby „tworzyć rozbójnicze gromady, włościanie żadnych praw nie szanowali, ich

[1]) Pan Alexander Stadnicki, autor Przeględu statutu Wiślicy, pisarz rozległéj nauki, co do kmieci ma widzenie zupełnie fałszywe wbrew historyi. Zdań następnych, że Kazimierz Wielki stanowi kmiecemu największéj udzielał opieki, że stan kmieci jemu zawdzięcza swój byt samoistny; że grunt uprawiany przez kmiecia do pana jako własność należał, w żaden sposób usprawiedliwić nie można. Na te pochwały Kazimierz Wielki bynajmniéj nie zasłużył. Kazimierz Wielki mocno nadwerężonych swobód stanu włościan nie potrafił zachować i utrzymać.

„duma nie znośna być miała, nosili bogate szaty." Bogate szaty noszone przez włościan, złem być miały!. Wypadłoż szczęśliwiej dla Polski, kiedy włościanin często nie miał siermięgi, kiedy dlań nędza była zwyczajnym stanem! Łachmany, niedola i wzbronienie oświaty, miałyż ponosić państwo moralnie i materjalnie? Prawda, temi sposoby przykucia rolnika do gruntu, dochody szlacheckie wzrastały wysoko, ale moc spółeczeństwa złamała się i runęła. We trzy wieki Polska znikła. Między 1496 a 1796 był loiczny związek. Za dawne winy przodków pokutuje potomstwo.

Tym zarzutom przeciw włościanom nie było końca. „Marnotrawcami „być mieli, czynili ogromne wydatki, zaciągali długi przenoszące ich ma„jątek." Stan kmieci przeto r. 1496 był zamożny. To nie podobało się sejmowi. Pod pozorem położenia tamy zbytkom czynionym przez włościany, postanowiono, że mieszczanin, kmiecia za dług przed sądy miejskie nie mógł pozywać ani więzić, że mieszczanin któryby urzędownie odzyskał co jemu należało, oddawał i jeszcze płacił kary grzywien sześć. Mieszczanin miał pozywać kmiecia przed sąd wiejski, jako prawo polskie mieć chciało, a gdyby sąd wiejski wymiaru sprawiedliwości odmówił, naówczas pan przed sąd grodzki mógł być pociągniony o zadosyćuczynienie. Jakie utrudzenie stosunków między włościami a miastami!

Do 1496 włościanie polscy posiadali własność podwójnéj natury łany wydzielane pierwotnie narodowe, ale dziedziczne, z których przez nikogo ruszonemi być nie mogli, i grunta nabyte, kupione, wykarczowane, bezwarunkowo dziedziczne, bez czynszu. Żadnéj różnicy między gruntami szlachty i włościan. Ziemia od szlachy do kmieci i od kmieci do szlachty przechodziła, przez kupno, przez zastawy, nawet jako posag. Ustawa Wiślicy zastaw ziemi posiadanéj przez szlachcica kmieciowi za prawny i obowiązujący uznała. [1]) Lecz posiadanie ziemi udzielało naczelnego prawa wielkich zupełnych swobód. Właściciel ziemi przechodził do stanu szlachty, do rycerstwa. Sama ziemia robiła szlachcicem i rycerzem. Przytem do szlachectwa u nas wstępowano łatwo. Każdy rycerz każdy szlachcic do swego znaku przypuszczał kogo chciał, nadawał szlachectwo, co późniéj na króla i na sejmy przeszło. Wszakże w XVI wieku Jan Zamojski kanclerz i hetman swego herbu udzielał, dawał szlachectwo.

---

[1]) Znaczny czas upłynął nim ustawa z r. 1496 odebrała zupełne wykonanie. Włościanie zostali właścicielami gruntów narodowych wydzielonych dziedzicznie. Ustawa z r. 1543 zna kmieci właścicieli czyli dziedziców, *pessesionatus* vel *haeres*. Mamy powody wierzenia, że nawet po 1543 byli włościanie właściciele. Król miał wstręt ku wykonywaniu ustawy z r. 1543, a jako zobaczymy, nie przeszkadzał włościanom nabywania gruntów uległych prawu ziemskiemu. Na Mazowszu przed i po r. 1496 włościanie używali niejako pełnych praw. Ustawa z r. 1401 każdemu dobra ziemskie na zastaw brać dozwala, „którykolwiek nasz poddaniec, któregoby stadła albo rodzaju był," zatem wszyscy, szlachta i kmiecie. Ustawa z r. 1410 upoważnia zamiany dóbr nieruchomych między wszystkiemi mieszkańcami, *cujuscunque status vel conditionis*. Zamiana przed urzędem zeznana być miała. Ustawa z r. 1531 wymienia kmieci, którzy sami bez obecności i zezwolenia pana wszelkie umowy zawierać mogli, a mianowicie o grunta uległe prawu ziemskiemu.

I to zgorszenie sejm z r. 1496 postanowił zatłumić. Odtąd przeto mieszczanom i włościanom zabroniono nabywać grunta, poddane prawu ziemskiemu, nabywać jakimkolwiek sposobem, przez spadek, kupno, zastaw. Ci mieszczanie i włościanie którzyby posiadali grunta poddane prawu ziemskiemu mieli je wyprzedać. Nie szanowano nawet dokonanych czynów. Ustawa i przeszłość znosiła, miała wsteczne działanie. Jednak może przez zapomnienie, może przez wstyd, może przez uczucie jakie gorszące wprowadzano wznowienie, ustawie odjęto wykonalność, nie udzielono sankcyi. Nie wyznaczono czasu kiedyby sprzedanemi być miały grunta posiadane przez włościan, nie wymieniono kary na tych którzyby nie sprzedali. Było to raczéj zagrożenie a niżeli konieczne prawo. Król jeżeli chciał mógł je bez wykonania zostawić. Co właśnie nastąpiło. Jaki powód sejm oznaczył ustawie? Miasta, szlachcie nie dozwalały nabywania miejskich własności, mieszczanie właściciele ziemskich gruntów, odmawiali pełnienia służby wojskowéj. Daléj, włościanie między znakami szlacheckiemi między rycerstwem miejsca zajmować nie mieli. Przecież dawniéj włościanie stawali pod znakiem królewskim, który co do godności zaiste wyrównywał znakom szlacheckim: *sub vexillo regis*. Brak właściwego miejsca dla kmieci między znakami szlacheckiemi, nie był rzeczywistym powodem. Rzeczywisty powód wskazaliśmy. Własność ziemska nabyta bezwarunkowo, nie podległa, udzielała zupełne obywatelstwo, rycerstwo i szlachectwo razem, znosiła stany a właściwie, założenie stanów stawiała niezłamane przeszkody. Szlachta pozostać mogła, ale szlachta nieszkodliwa, honorowa i takiéj natury że do niéj każdemu wstęp był otworzony. Szlachta do r. 1496 nie była zamknionym stanem. Społeczność polska z małemi odcieniami była jedna i spojona. Żadnego w niéj rozerwania. Jedno prawo dla wszystkich. To rozumne urządzenie zrujnowano. Powstały dwa stany nieprzyjazne sobie. Był to czyn rewulucyjny w złem znaczeniu: wywracał odwieczny porządek, wzbudził najgorsze następstwa. Powtarzamy rok 1496 dał początek złemu, i rok 1796 odpowiada mu, jest dlań historycznem wytłomaczeniem. Historya nie ma zboczenia któreby uniknęło kary chociażby bardzo późnéj, albowiem gdyby nie było tak, należałoby zaprzeczyć rządom Bożym.

Za pierwszych wieków Polski, każdy piastować mógł godności, stanów jeszcze nie znano. Kmieć jako kmieć, albo jako nadany prawem rycerskiem posiadał zupełne obywatelstwo. Nie znamy żadnych dowodów, aby kmieciom urzęda sądowe albo polityczne prawnie zakazanemi być miały. Wyłączać zaczął zwyczaj ale nie prawo. Taki stan rzeczy trwał przez okres Piastów. Kościół katolicki, niższe i wyższe dostojeństwa udzielał zdolniejszym bez względu na urodzenie, na spółeczne położenie. Wszystkich do swojéj spólności i do swéj władzy przypuszczał. Nic niepewniejszego nad owe herby, które Długosz przydaje pierwszym biskupom albo politycznym dostojnikom. Na początku XV wieku dopiero zaczynano w prowadzać ograniczania, ale dawny obyczaj przeważał. Mnóstwo uczonych i duchownych wyszło z mieszczan i kmieci. Lecz i pod tym względ-

dem rok 1496 był nieszczęsny. Szlachta na każdem miejscu kmiecie wyłączała, poniżała, odejmując sposoby ukształcenia i wyniesienia się. Wszystkie urzęda dla saméj siebie zajęła, rujnując dawny lepszy porządek. Kmiecie po za prawami po za społeczeństwem postawiono.

Od r. 1496 przeto godności kościelne, tylko szlachcie z ojca i matki udzielanemi być miały. Przed r. 1496 zdaje się między diecezyami wprowadzono różnice. Diecezye Gniezna, Krakowa, Płocka, Poznania i Kujaw zaprowadziły zwyczaj udzielania wyższych godności saméj tylko szlachcie. Inne diecezye tych wyłączeń nie znały. W r. 1496 nastąpiło porównanie. Odtąd tylko szlachta na krzesłach katedralnych zasiadać miała. Prawidła powszechne nieco złagodzono. Po dawnych katedrach trzy godności, a po nowych pięć zostawiono wyłącznie nieszlachcie, ale takiéj któraby posiadała naukowe stopnie, doktorat teologii, prawa kanonicznego i medycyny. Szlachcie wystarczało samo urodzenie. Nieszlachta potrzebowała głębszéj nauki na złamanie przekleństwa, które przywiązano do jéj stanu. Myśl uchwały r. 1496 była taż sama, która natchnęła ustawodawce chełmskiéj ziemi, szlachcie wyłącznie zastrzedz dochody bogatych urzędów kościoła. Téj myśli jednak wymówić nieśmiano, i przeto uczonym chociaż nieszlachcicom zostawiono niektóre godności pod tym ujmującym a kłamliwym pozorem: ne quid in ea re actum vidretur in odium plebejorum quorum conditio gaudeat privilegiis specialibus. Zatem ustawy z roku 1496 wszystkie ubliżające prawom kmieci, ograniczające ich osobistą wolność, ich własność, wykluczające od urzędów, których dotąd dostępować mogli, przez miłość i przez sprawiedliwość natchnionemi być miały? Nie przez odium? Sejm z r. 1496 naucza, że conditio plebejorum ma właściwe ich stanowi swobody. Jakie? Wszak tenże sam sejm, jedne kmiece prawa ścieśnił, inne zupełnie wywrócił, a wszystko przygotował ku dokładnemu ujarzmieniu, które niedługo spełniło się najrozległéj. W ustawach z roku 1496, była założona osławiona ustawa z r. 1573—samowładztwo szlachty a niewola kmieciom. Jeżeli zasada wyraźnie ogłoszona, niewątpliwie wszystkie jéj następstwa najokropniejsze. [1])

To co mamy jeszcze przedstawić o położeniu kmieci do r. 1573, rozwija tylko i uzupełnia zasady położone w latach 1477 i 1496. Szlachta nie zatrzymała się dopóki niedoszła najdalszéj granicy i kiedy nic wynaleść nie mogła, czemby zwiększyła swoje władztwo a poniżenie włościan. Niemamy zamiaru opowiadać tych szczegółów, smutnych ale wzruszających głęboko. Każdy z nich ma swoje łzy, swoje boleści i swoje nauki. Sejm z r. 1496 tyle dumny przeciw włościanom, tyle niezdolny przewidzieć następstw ekonomicznych i politycznych tego co stanowił, nieśmiał przecież zaprowadzić pańszczyzny. Przywiązał kmiecie do ziemi, ale kmieć

---

[1]) Chociaż sejm z roku 1496 przemilczał, szlachta przecież ograniczała wolność małżeństw między kmieciami, usiłowała aby synowie i córki wieśniaka nie opuszczali włości. Odejście przez małżeństwo mężczyzny albo kobiety, zmniejszało narzędzia pracy a zatem i dochodów. Sejm z r. 1511 zniósł a raczéj naganił tylko wzmagające się nadużycie, stanowiąc: „małżeństwa wolne mieć chcemy.“ Jednak niedługo zły zwyczaj przemógł.

swój własny grunt uprawiał i tylko dla siebie, wyjąwszy czynsz dosyć umiarkowany, wszystkie korzyści pracy dla siebie zabierał. Ogólnie był zamożny aż do wzbudzenia szlacheckiéj zazdrości, która na włościaninie bogatych ubiorów widzieć nie chciała. Jeszcze we wieku XV, wyraz kmieć oznaczał czynszownika, homo censualis, żadnéj przymuszanéj pracy, robocizny, pańszczyzny. Znaczenie czynszu podaliśmy wyżéj, sejm zamykał wszelkie sposoby, przez któreby kmieć mógł ocalić albo odzyskać wolność swojéj osoby i pracy. Niewoli wyraźnie nałożyć nie śmiano, jednak stopniowo rozwinęły się prawie wszystkie jéj następstwa.

Włościanin miał prawo przejść na grunta królewskie albo duchowne, a jako dowiedliśmy, gdzie tylko chciał. Włościanin mógł wezwać królewskiéj opieki. Sejmy z lat 1505, 1532, 1543, zakazały starostom wydawania listów żelaznych na żądanie kmieci. Wynaleziono sprawy o wydanie zbiegłych kmieci, tak jakoby oni niewolnikami być mieli. Roku 1451 wyznaczono sąd grodzki, a 1496 przyjęto sąd ziemski, ale postępowanie szybkie i tylko jeden termin. Roku 1520 posuniono się jeszcze daléj. Spory o zbiegłych włościan bez żadnych prawnych rękojmi sądzić nakazano. Pokazało się pamiętne ale ohydne wyrażenie użyte przez sejm 1520 *sine stepitu juris*. Co byłby powiedział tenże sam sejm, gdyby król podobne sądownictwo był szlachcie nałożył. Odrzucono by je i słusznie. Kościół miał nad włościanami sobie nadanemi sądownictwo, jednak warunkowe. Włościanie króla ulegali sądom królewskim referendarskim. Król przeto i kościół mogli zasłaniać włościan uchodzących na ich grunta. Sejm z r. 1506 urzędniki królewskie i duchowne o włościany zbiegłe przed sądy zwyczajne pozywać nakazał, dając pierwszeństwo sądom grodzkim surowszym, które na mocy ustawy z r. 1520, wyrokować miały, wedle *quod justum*. Nawet Boga powołać śmiano, *aequitate Dei suadente tenemur cujuslibet justitiœ et indemnitati prospicere*. Przeto wedle téj Boskiéj sprawiedliwości, włościanina zbiegłego na grunt, zwracano. Sąd był, ale jaki? *Sine strepitu juris*. Zdaje się włościaninowi wszelkiéj zaprzeczono obrony. Jako dowód nieomylny i stanowczy przyjęto wezwanie pana, *requisitio Domini*.

Na Mazowszu istniało rękojemstwo do r. 1576 często łamane i wyłudzane. Kmieć korony dopełniwszy zobowiązań nakazanych przez prawo ziemskie, albo wynagrodziwszy straty, jakieby przez jego odejście wyniknęły, przenosił się gdzie tylko chciał. Również rękojemca przyjmujący na grunt, brał na siebie odpowiedzialność, płacił grzywny i włościaninowi zapewniał wolność osoby. To niepodobało się sejmowi r. 1543. Jeżeliby ktokolwiek przyjął kmiecia zbiegłego, właściciela inaczéj dziedzica *possessionatum vel haeredem*, musiał zwracać włościanina chociażby ofiarował opłaty przedtem nakazane przez prawo. Wszelkie wynagrodzenie chociażby największe odrzucano. Wszystko oddane być musiało: kmieć, żona i dzieci, wszelka ich majętność uprowadzona. Jeżeliby włościanin umarł, wdowa i dzieci na grunt dawny koniecznie powracać musieli.

Kmieć który umknął czasem odzyskiwał wolność. Inny pan, aby

zdobyć rolnika mógł stawiać nieskończone prawnicze wykręty, których sądownictwo polskie miało za wiele. Przetoż sejm 1523 r. upoważnił przytrzymanie kmiecia zbiegłego gdziekolwiekby się znajdował. Dający schronienie płacił kary 10 grzywien.[1]) Ten gwałt musiał mocno oburzyć włościan a nawet sejmujących niejako przeraził, albowiem r. 1535 zbiegłe włościany samowolnie chwytać i więzić zakazano. Włościanin nie mógł bydź przytrzymany, jeżeliby sądownie nie był przekonany i skazany. Sławna zasada prawna: *Neminem captivare permittimus nisi jure victum*, w XVI jeszcze wieku zasłaniała włościan. Sejm z r. 1538 zakaz więzienia kmieci ponowił. Kmieć wedle dawnych sprawiedliwych sposobów, miał być poszukiwany. To dobroczynne rozporządzenie rozciągniono do synów kmiecych, służących, najętych rocznie albo czasowo.

Miasta otwierały włościanom schronienie, dozwalając zamieszkania, albo nadając obywatelstwo. Sejm z r. 1507 pod ujmującym pozorem zgody, urzędom miejskim włościany zbiegłe nakazał wydawać; a gdyby odmawiano, pieniężne kary naznaczał. Chętniéj widział miasta zaludnione przez Niemców i Żydów, aniżeli przez krajowców. Przecież kmieć mógł nie być wydany, odzyskiwał wolność, jeżeli na gruncie zostawił zdolnego rolnika. *Cogatur desertos agros aliis possessoribus, loco sui*, przekazać. Jeszcze nowy dowód że prawo, panów a raczéj naczelników włości, nieuważało za właścicieli gruntów posiadanych przez kmieci, albowiem pan, łanów kmiecych opuszczonych, na swój użytek nie mógł zabierać.

Jeżeli włościanin w mieście trzy dni bawił, a zatrudnienia niewynalazł, ustawa sejmowa rzeczywiście szalona, upoważniała chwytać okuć dybami. Przez jaki wzgląd? Role robotników potrzebowały.

Polska zaczynała być więzieniem dla kmieci, nim wedle wyrażenia stworzonego przez Beauplana, we XVII wieku, piekłem dla nich została. Kmieć pojmował że przejście z jednéj do drugiéj włości, nie zwróci jemu dawnéj swobody, nie przyniesie żadnego ulżenia. Przetoż czasowo albo i na zawsze uchodził do Prus, do Szlązka, do Węgier, na ruskie stepy, na kozackie Zaporoże. Sejmy z lat 1496, 1503, 1523, 1532, 1538, chciały wstrzymać wychodztwo kmieci, których oczerniały nazwami próżniaków, włóczęgów, hołoty. Takich wychodzców, każdy miał prawo zatrzymać, przymusić do roboty bez zapłaty, a wedle upodobania uwolnić. Roku 1503 starostwom dano rozkaz chwytania wynoszących się za granicę, oddawania poszukującym panom, przez wzgląd, że rólników potrzebowali, których właściwemi sposoby zatrzymać nie chcieli, szanując ich wolność, wynagradzając pracę, wedle dobrowolnéj umowy. Panowie chcieli pracy wedle

---

[1]) Sejm r. 1523 nie zabrania kmieciowi pozywać szlachcica przed sąd ziemski. Przeto r. 1523 równość przed obliczem prawa jeszcze nie upadła. Pan włości zamieszkiwanéj przez kmiecia wprawdzie był obecny, nie jako pan osoby kmiecia, ale jako okazaliśmy wyżéj, jako *defensor, intercessor, procurator, director villarum*. O tém znaczeniu, o tych obowiązkach, nadania przez nas wymienione zakazują powątpiewać.

ceny ułożonéj przez nich samowolnie, a nawet i darmo, *sine mercede*, jako wyraźnie napisał sejm r. 1503.[1])

Ustawa r. 1496 która ścieśniła wolność synów kmiecych, niepokoiła samychże prawodawców. Mieli wyraźne uczucie nadużycia. Na sejmie z r. 1509 rozporządzenie z r. 1496 złagodzono, a niejako zniesiono. Zawieszono je do przyszłego sejmu, który zwołano dopiero r. 1511, i na nim zachowano milczenie. Jakie wymieniono powody? Prawdziwie szlachetne: „ustawa obrażała słuszność, była przeciwna zasadom wolności po- „spolitéj" *parum æquum et libertati communi contrarium.* Należy ubolewać, że sejmy takich wysokich pomysłów względem kmieci mało zostawiły, albo ich nie długo odstąpiły. Powstał jeszcze inny zły zwyczaj. Szlachta zniosła wolność małżeństwa między kmieciami; mając jedyną myśl, aby jak najwięcéj robotników na gruncie zatrzymać, nie dozwalała aby synowie i córki kmieciów, przez małżeństwo do innych przechodziły włości. I tem ograniczeniem sejm przerażony wyrzekł: „małżeństwa wolne „mieć chcemy." Tylko postanowił, że małżonek, któryby nie miał własnéj ziemi, przenosił się na mieszkanie do małżonka mającego własne grunta, właściciela ziemi. Tu więc także napotykamy dowód, że włościanin był prawdziwym właścicielem i dziedzicem gruntu, który posiadał przez nadanie pierwotnie narodowe. Jakież albowiem miałyby znaczenie wyrazy ustawy: *filius possesionatus*, *filia possesionata*, syn dziedzic, córka dziedziczka? Grunt włościanina, prawo za własność pana pod żadnym względem nieprzyjmowało.

Zakaz nabywania przez włościan gruntów uległych prawu ziemskiemu, ogólnie nie był wykonany. Ogromna liczba własności kmiecych, niepodległych, nagle sprzedana być nie mogła, król zawiesił prawo a przynajmniéj udzielał wyłączenia. Sejm z r. 1505 ponowił rozkaz sprzedaży, a królowi zalecił, aby prawo wykonał, i wyłączeń nie dawał. Król nie odmawiał przecież opieki prześladowanym włościanom, którzy zatrzymali grunta które posiadali, i jeszcze nowe nabywali. Sejmy z lat 1538, 1539, 1543 i 1550 ponowiły rozkaz sprzedaży, a właściwie wywłaszczenia. Daleko łagodniejszy zamiar jakież przeciw Kallimachowi wywołał zaskarżenia, chociaż on, czynsze które szlachta pobierała, dla niéj zachował. Przez takie postanowienie, podważające odwieczny porządek polskiéj społeczności, wielka liczba właścicieli kmieci zniknęła. Ścigano ich sądownie, aby koniecznie sprzedawali najdaléj we trzy lata (1538). A ponieważ następowała konieczność, szlachta grunta prawie za nic nabywała. Jednakże i późniéj napotykamy właścicieli kmieci posiadających własne grunta, co wyraźnie zaświadczyli Petryccy i Starowolski. Gwałt nie spełnił się, ani szybko, ani zupełnie. Gdzieniegdzie pozostali właściciele włościanie, ale własność średnia i wolna ziemia kmieca stanowczo upadły.

Zdaje się, niepotrzebujemy ostrzegać, że nakaz sprzedawania grun-

---

[1]) Ustawy powołane są w *Vol. Legum.* Zebranie ustaw o włościanach zachował Przyłuski: cap. *de Kmethonibus.*

tów niedotykał ziemi narodowéj, wydzielonéj kmieciom, albowiem dowiedliśmy że téj narodowéj ziemi prawo ziemskie, szlachcie posiadać a włościanom odbierać zakazało.

Nakoniec sejm z r. 1520 wprowadził najszkodliwsze wznowienie, zmieniając warunki, na mocy których, od najdawniejszych czasów kmiecie posiadali dziedziczne łany. Ustawa mazowiecka z r. 1421, ustawa rólnicza chełmskiéj ziemi z r. 1472, wydały swój skutek. Sejm Bygdoszczy w r. 1520, czynszu nie zniósł ani zmniejszył, a przecież bezprawnie nałożył wszystkim kmieciom obowiązek pańszczyzny, przymuszonéj roboty: jeden dzień tygodniowo, za każdy posiadany łan, wszędzie gdzieby pańszczyzna dotąd nie istniała, albo gdzieby była mniéj nad jeden dzień tygodniowo. Jednakże dozwolono odkupienia téj pańszczyzny przez podniesienie dotychczasowych czynszów. Pańszczyzna i zbożem odkupiona być mogła.

Uszanowano przecież starożytne nadania służące pewnym włościom, i do tych włości pańszczyzna nowa rozciągniona być nie mogła.[1])

Jakiemi cenami odkupowano pańszczyzny, posłużyć może za przykład wieś Rogoźnica w starostwie Międzyrzecza. Kmiecie za zniesienie pańszczyzny nałożonéj wbrew dawniejszemu prawu ziemskiemu przyrzekli dawać rocznie za każdy łan trzy węgierskie dukaty złotem, i jednego Joachim-talara (1563). Nie powiemy aby istnieć nie mogły ważne powody, które na podwyższenie czynszów wpłynęły. Po odkryciu Ameryki, cena wszystkich rzeczy znamienicie się podniosła. Lecz szlachta niechciała zachować sprawiedliwéj miary. Sobie przyznała za wiele, a kmieciom nałożyła wielki ciężar, nie pytając się nawet o ich zezwolenie. Ztąd w XVI wieku jéj zamożność coraz się wzmagała, a zamożność kmieci coraz się zmniejszała. Na jednych miejscach zajaśniały nagle niejako królewskie dostatki, ale cały kraj, cierpienia i nędza pokryły. Dla jednych było prawie wszystko, a dla drugich za mało. Tym urządzeniem samowolnym niekoniecznie chciwość i niesłuszność zarzucamy. Był zły rachunek, pierwszéj chwili umiarkowany i zdawało się niewinny, który późniéj na ogromne rozszerzono rozmiary. Szlachta wyłączna właścicielka ziemi, długo zrozumieć nie mogła, że nędza i ujarzmienie kmieci nie mogły dać pomyślności materyalnéj i zbawienia, ani dla niéj saméj ani dla państwa. Siebie i kraj postawiła na téj łatwéj a fatalnéj pochyłości, z któréj niewstrzymanie na dół spadała.

Jeden dzień pańszczyzny jako przewidzieć należało nie wystarczył. W 40 lat po sejmie Torunia, synody protestanckie w latach 1558, 1560 i 1573 polecały swoim wyznawcom miłosierdzie dla kmieci. Tylko miłosierdzie: prawa i sprawiedliwości powołać nie śmiały. O cóż błagały synody protestanckie? Aby nad dni trzy tygodniowo pańszczyzny nie wy-

---

[1]) Ustawa poborowa z r. 1552. Była szlachta nierównie uboższa aniżeli kmiecie, których posiadłość ziemska narodowa zwyczajnie wynosiła jeden łan. Często trzy a nawet i cztery szlacheckie rodziny na jednym siedziały łanie.

magano, dowód że pozwalano sobie i więcéj, szczególniéj kiedy na sejmie 1573 r. samowładztwo sądowe włościanom nałożono, odejmując im niejako pełne obywatelstwo, które przez cały okres Piastów nietykalnie posiadali. Katolicki synod Łowicza zapisał czyn pamiętny, ale smutny. Niższe duchowieństwo surowo i namiętnie wyrzucało biskupom dręczenie i łupieztwo kmieci. Sama szlachta dla nich łagodniejsza być miała. Anna Jagiellonka broniła włościan Łobzowa. Na jéj wezwanie biskup Chełma i Płaza starosta Osieka znieśli nadużycia. Odtąd włościanie Łobzowa tygodniowo tylko dwa dni pańszczyzny odrabiać mieli, ale od wschodu do zachodu słońca. Zastrzeżono przecież na południe słuszny odpoczynek.

Samowolność żadnéj nie uznawała granicy. Modrzewski sekretarz Zygmunta Augusta może najrozleglejszy umysł swojego wieku, twierdzi wyraźnie, że panowie zwiększali pańszczyzny i daniny jako tylko chcieli, zabierali własność kmieci, ich łanami dziedzicznemi, posiadanemi odwiecznie zwiększali pole dworskie. Szlachta upodobała sobie, włościan za rzecz uważać, albowiem tenże Modrzewski zaświadcza, że czasami włościan bez gruntu sprzedawano; naznaczono urzędownie ceny za osoby włościan. Na Litwie włościanami prawnie handlowano.

Jan Tarnowski hetman, nieprzychylny niższym szlacheckim rodom, surowy zachowawca, ale sprawiedliwy człowiek, wyznał, że dopiero w XVItym wieku narzucono włościanom ciężary przedtem nieznane. Włościan sąsiadami i niejako równymi uznawał. Zakazał urzędnikom obciążać winami, a nowych nie wynajdywać robót. Wybierał uczciwych a sumiennych włódarzy, sporządził ekonomiczne przepisy dotąd nieodkryte, a które umiarkowanemi być musiały, skoro włościanie mieli napełnione stodoły i obory. Tarnowski posiadał ogromne dostatki, chociaż niezubożył włościan. Przykładem i radami możnowładzcy szlachta lekkomyślnie wzgardziła.

Taki kierunek polityczny i ekonomiczny głęboko rozdrażniał włościan. Brano przeciw nim środki gwałtowne. Ustawa z r. 1532 pozwalała mniemać, że kmiecie szukali zemsty. Jeżeliby kmieć szlachcica, który niedał powodu kłótni zamordował, albo ciężko skaleczył ponosił śmierć. [1]) Lecz jeżeli szlachcic da powód kłótni, kara dawna i zwyczajna. Szlachcicowi jednak pozwalano przysięgać, że nie dał przyczyny. Zachowano piękne umiarkowanie, albowiem ustawa jedynie przez trzy lata obowiązować miała. Zaledwie 40 lat upłynęło, na miejsce téj ustawy surowéj ale przemijającéj, szlachta z r. 1573 założyła pełne samowładztwo, które nazwała sumieniem.

Ustawa z r. 1543 odkrywała inne złe niepotrzebnie stworzone. Była to chwila zaprowadzenia pańszczyzny, zakładania albo powiększania dworskich łanów, przez umniejszanie łanów, które włościanie prawnie i starożytnie posiadali. Włoście i pola zaczęto rozgraniczać, to jest grunta kmie-

---

[1]) Ustawa z roku 1588; mord kmiecia przez szlachcica śmiercią karać nakazała. Lecz byłże sąd grodzki któryby taki wyrok śmiał napisać, a starosta któryby miał męstwo wykonać?

ce dziedziczne na dwór zabierać. [1]) Zjeżdżali na grunt graniczni komisarze, którym jeżeli kmieć groźby czynił, cierpiał sześć miesięcy wieży. A jeżeliby przy tych groźbach miał broń, chociażby jéj nieużył i niezranił, ponosił śmierć. [2])

Zdaje się że oburzenie włościan powszechne być musiało. Ustawa z r. 1538 nakazała surowe i ogólne rozbrojenie włościan. Zakazano im nosić broń publicznie a nawet mieć ją u siebie, wyjąwszy gdyby włościanie do wojny wezwanemi być mieli. [3]) Jedna niesprawiedliwość popychała ku nowym, a coraz rozleglejszym bezprawiom. Wykończyła je i na zawsze utwierdzić miała ustawa z roku 1573 dozwalająca panom karać włościany wedle *rozumienia*. Pod tym najfałszywszym pozorem, jakoby i za dawnych czasów, szlachta kmieci wedle upodobania sądzić mogła. Przez ten jeden wyraz *rozumienie*, wszystkie rękojmie i swobody, jakie kmiecie jeszcze mieć mogli, upadły. Cóż albowiem kmieciom pozostało? Na Mazowszu zniesiono rękojemstwo, w Koronie przenoszenie się włościan z jednéj do drugiéj wsi, nadzwyczajnie utrudniono, a właściwie zniesiono, skoro włościanin musiał uzyskać zezwolenia pana. Włościanin ani do miast, ani do posiadłości królewskich nie mógł przechodzić. Król zrzekł się opieki nad ludem rolniczym, zakazano jemu wydawać listy bezpieczeństwa, to jest, wywrócono prawny środek bronienia własności i wolności włościan. Nakoniec rozbrojono ich.

Taki stan, jaki założyły ustawy z lat 1477, 1496 i 1573 był wznowieniem przeciw szczęśliwéj przeszłości, wznowieniem które dotknęła historyczna odpowiedzialność.

---

[1]) Zdaje się, Modrzewski te rozgraniczenia, a właściwie grabieże miał na myśli, kiedy pisał: „Przestępnemi jesteśmy, kiedy nakazujemy włościanom, aby opuszczali „ich własne siedziby i mówiemy naigrawając się im — To wszystko jest nasze, ustępujcie dawni *właściciele*. Wielu dopuszcza się téj niesprawiedliwości z przekonania, że „co tylko kmieć posiada do nich należy. Takie przekonanie nie ma być szanowane. „Czyliż bowiem jeden człowiek może własnemi rękami 600 włók uprawić? Wszyscy po„winni poprzestać na własnych udziałach, a cudzéj nie porywać własności. Ci którzy „pracują na wydzielonéj im ziemi nie mogą twierdzić najlepszem prawem, że grunt przez „nich uprawiany jest ich własny.“ Modrzewski drobny właściciel i uczony, mógłby być podejrzany. Lecz odmiennież pojmowali stan kmieci Tarnowski, Skarga, protestanckie i katolickie synody.

[2]) Ustawa z roku 1567 chociaż tylko dla Podolan wydana, wykrywa głęboki niepokój rólniczéj ludności. Rozmnażały się kradzieże i rozboje na publicznych drogach. Oskarżonych kmieci sądził starosta Kamieńca, który tylko co do tych zbrodni miał sądownictwo karne bez odwołania. Inne czyny zwyczajnym zostawiono sądom.

[3]) Ustawa z r. 1563 zniosła rękojemstwo dla województwa Płocka, utrzymując fałszywie jakoby ztąd wypłynąć miał „niepożytek i częste rozterki.“ Wynikały, ale tylko dla saméj szlachty, która usiłowała rólników jako najwięcéj zatrzymać albo przywabić. Rękojemstwo przedłużało rozdrażnienie między kmieciami, zostawiało im nadzieje ulepszenia doli, ale nadzieje zwodnicze, skoro niedługo ciężary i powinności narzucone włościanom, na całéj polskiéj ziemi do jednéj ułożyły się miary.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

PIŚMIENNICTWO.

Geografia fizyczna Polski napisał Łucyan Tatomir. Lwów, 1863 — Nakładem Karola Wilda — str. 299 i mappa.

Dziełko niniejsze stanowi część zupełniejszéj publikacyi, noszącéj nazwę *Skarbniczka dziejów i rzeczy polskich*, a mającéj pomieścić oprócz Geografii, Historyę ziemi ojczystéj i Dzieje literatury polskiéj. Praca ta na pierwszy rzut oka ujęła nas bardzo; autor widocznie szczęśliwy sposób pochwycił. Umiejętność zwykle suchą i która tylko pamięci wymaga, uczynił rzeczą wdzięczną, przemawiającą do wyobraźni a nawet i do serca. W czasach naszych starają się powszechnie ułatwić nabycie umiejętności, przystęp do nich stroją ponętami. W téj mierze przesadzić łatwo, łatwo zsunąć się do ostatecznych krańców, poświęcając ścisłość i dokładność malowniczości, poważną prostotę wytworności i poetycznéj manierze. Mało kto naśladuje wzory dobre jak Ritter w Geografii, Augustyn Thierry w Historyi; większość błąka się między sferą takich igraszek dowcipu jak *Lettres à Sophie sur la Physique* a sferą licznych, coraz liczniejszych, publikacyi malowniczych.

U autora *Geografii fizycznéj Polski* i zamiar chwalimy i wykonanie. Zamiar jest wyraźnie pożyteczny. Powiada on:

Bacząc na to, iż przedmiot ten uchodzi zwykle za sam przez się suchy i dla ogółu czytelników mało powabny, starał się autor o ubarwienie rzeczy opisami obrazowemi i nie wahał się nawet wmięszać czasem takie epizody, które ściśle biorąc nie należą do rzeczy. Do tego sposobu traktowania geografii, czuł się autor spowodowanym jeszcze i tą okolicznością, że nauka geografii pomimo ważności swojéj, pomimo że jest niezbędną podstawą historyi, przecież tak mało dotąd ma u nas miłośników i że do bliższego jéj poznania niepodobna inaczéj jak właśnie takiem jéj obrobieniem zachęcić czytelników.

Aby dać poznać sposób autora przytoczymy ustęp o Tatrach. Oto rzeczony ustęp:

Ze szczytu Łomnicy mamy otwarty widok na cały świat górski, na łańcuch Tatrów, na spływające od nich w prawo i w lewo pasma Beskidu, na północ za biegiem Dunajca na dolinę Nowotarską, a daléj kędy już oko nie sięga możemy pogonić myślą w nieskończoność prawie, nadwiślańską doliną ku Bałtykowi, Dniestrem ku morzu Czar-

nemu i naddnieprskim stepom. W najbliższém kole naszego widokręgu rozłożyła się kraina taka groźna i potężna, a jednak tak piękna i wspaniała w swéj dzikości, kraina Tatrów, których obraz maluje tak cudnie w kilku wierszach W. Pol:

Jak potopu świata fale,
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
Po nad niemi stoi chmura,
A po halach wiatr przegania
Uronione orle pióra.
Swiat to chłodny — a Łomnica,
Swieci polskiéj ziemi do dnia,
Nad Tatrami, jak pochodnia,
A na pełni, jak gromnica......

Oddychamy powietrzem, co wionie nasiąkłe wonią milijona ziół i kwiatów z głębi dolin tatrzańskich, a naszych uszu nie dolatuje ani huk potoków pieniących się w skalistych wyłomach, debrach i wąwozach, ani szum świerkowych lasów, które okryły spadziste boki Tatrów. Wyżéj nad potoki i lasy wystrzeliły nagie zupełnie, ogołocone z ziemi i roślinności szczyty zwane w języku góralskim *turniami*. Nieprzebrana w tworzeniu coraz nowych form przyroda, poszarpała i porozrywała te skaliste turnie w najdziwaczniejsze kształty i tu spadają one pionowo w czarną przepaść, owdzie zjeżył się ich czub fantastycznie rozrzuconemi głazami i przystroił niby wiankiem zwalisk jakiegoś starożytnego zamczyska, tam znowu wybiegły one w ostry jak piła grzbiet, lub prują obłoki spiczastemi iglicami.

Historyja Filozofii w zarysie, napisana przez Alberta Szweglera, przełożona na język polski, z czwartego niemieckiego wydania i pomnożona dodatkiem o Filozofii w Polsce, przez F. K. Warszawa, 1863, in 12⁰.

W liczbie książek świeżo przez kongregację indeksu zakazanych, znajdujem dzieło polskie pod tytułem powyżéj wypisanym.

Smutno widzieć jak w dzisiejszych czasach, gdy naród nasz, na najstraszniejsze pokusy ze wszech stron narażony, wiarą jedną żyje i z wiary wszystkie swe siły czerpie aby nie zwątpił i ostatecznie nie upadł; smutno, mówię, widzieć, że właśni rodacy, ludzie skądinąd światli i pracowici, pragnący przewodniczyć uczącéj się młodzieży, a niekiedy nawet postawieni na straży prawdy Bożéj, współpracują z szatanem dla wydarcia nam z serc téj wiary, dla zabicia w nas ostatniéj iskry życia duchowego.

Do tego rzędu ludzi zaliczyć, niestety, musimy tłómacza *Historyi filozofii w zarysie* i autora *Dodatku o filozofii w Polsce*. Dzieło to w tym polskim swoim stroju zostało jak rzekliśmy potępione przez kościół. Stosując się do myśli kościoła, ostrzegającego nas przez podobne potępienia o truciznie w dziele zawartéj, wskażem pokrótce główniejsze niniejszego dzieła błędy. Nie będziemy się wdawać w polemikę: nie piszemy dla niedowiarków, ale dla katolików. Powiemy krótko: autor niemiecki równie jak i tłómacz jego polski są panteistami, czyli po prostu nie wierzą w Boga. Reszta sama z siebie wypływa: nie może być katolikiem, nie może być chrześcijaninem, nie może mieć żadnéj wiary, kto istnieniu prawdziwego

Boga zaprzecza. Zostaje nam tylko dowieść naszego założenia, co trudném wcale nie będzie.

Dzieło niemieckie mniéjby nas zajmowało, jako utwor pisarza obcego nam wiarą i narodowością; ponieważ jednak obdarzono nas jego tłómaczeniem, musim i nad niém chwilę się zatrzymać.

Albert Schwegler, jak świadczy polski jego tłómacz w przedmowie, jest synem *duchownego*, i sam do tegoż stanu przeznaczony słuchał w Tübingen teologii; ale napisawszy kilka rozpraw, które wywołały *niechęć kościelnych władz* Wirtembergskich, musiał zaniechać teologicznéj karjery. Tenże tłómacz dodaje, że Schwegler zgadza sią z Heglem „co do zaradniczéj myśli,“ czyli, innemi słowy, że jest panteistą, bałwochwalcą rozumu.

Takie zalecenie mogłoby już nas uwolnić od rozbioru samego dzieła; wytkniemy jednak kilka miejsc wydatniejszych, założenie nasze stwierdzających.

Mówiąc o Arystotelesie przytacza autor klasyczny jego dowód istnienia Boga, przyjęty późniéj i rozwinięty przez filozofów chrześciańskich, a polegający głównie na téj zasadzie, że każdy skutek musi mieć swoją przyczynę; że przeto świat zmienny, skończony, niedoskonały, mogący z natury swéj być albo nie być, musi mieć jakąś przyczynę swego bytu, a ta przyczyna musi być sama niezmienna, odwieczna, nieskończenie doskonała, koniecznie istniejąca, czyli musi być Bogiem. Autor dziwi się temu dowodzeniu, albo raczéj szczerze wyznaje, że go nie rozumie:

„*Nie pojmujemy*, mówi, jakim sposobem coś miałoby być poruszającą przyczyną a obok tego samo było nieruchome, dla czego owa przyczyna wszelkiego stawania się t. j. powstawania i znikania, jest zawsze sobie równą energią, czemu zasada ruchu sama jest bez *możebności* (Potenzialität); albowiem ten motor powinien zostawać w jakimś stosunku działania lub *bierności* z poruszanym przedmiotem. W ogóle, jak to widać już z tych sprzecznych określeń, nie przeprowadził Aristoteles konsekwentnie stosunku między światem a Bogiem. Ponieważ absolutnego ducha uważa tylko za teoretyczny rozum i odłącza od niego wszelką działalność i *cierpiętliwość* jako nieodpowiedne bezwzględnemu celowi, tedy nie widać słusznego motywu jego wpływu na świat. Zostając w teoretycznym stosunku, nie jest prawdziwym i pierwszym motorem: zaświatowy i *nieruchomy* podług swéj istoty nie wkracza w życie świata; a ponieważ i materja ze swéj strony nie może cała przejść we formę, objawia się więc i tu niepogodzony *dualizm* między duchem boskim a materją.“ (Str. 118 i 119.)

Najprostsza logika uczy, że czego kto nie rozumie, o tém sądzić nie powinien; ale przyznanie swéj niewiadomości jest aktem pokory, a ta jest cnotą trudną i niemiłą naszéj naturze. Wygodniéj z góry potępić cokolwiek w głowie naszéj się nie mieści, siebie za najwyższą wyrocznię prawdy postawić. Takie jest źródło wszelkiego niedowiarstwa. Dowodzenie Arystotelesa jasne jest jak słońce dla każdego umysłu nie zaślepionego pychą, albo raczéj szałem własnego widzi mi się; widzimy dowodnie *że Bóg jest;* a jeźli nie widzim jasno *jakim jest*, przypisujem to nieskończonéj doskonałości istoty Bożéj, któréj umysł skończony ogarnąć nie może. Autor nasz chciałby istotę samą Boga przeniknąć, chciałby pojąć *jakim sposobem* Bóg jest bez ruchu, bez bierności, bez cierpiętliwości, słowem bez tego wszystkiego co jest niedoskonałością; czyli, krótko mówiąc, chciałby pojąć *jakim sposobem Bóg jest Bogiem.* A że tego nie pojmuje, potępia wszystkie dowody istnienia Boga, potępia cały rodzaj ludzki istnienie to uznający, i tylko wśród niedowiarków wszystkich wieków prawdziwe światło upatruje. Odróżnienie Stwórcy od stworzenia zowie *dualizmem*

a *monizm* (czyli panteizm) za jedyną prawdę uznaje. Z tego stanowiska sądzi wszystkie następne systemata filozoficzne.

Ale nie na tém ogranicza się jego zuchwałość. Śmie on twierdzić z mistrzem swym Heglem, że chrześcianizm wprost prowadzi do owego monizmu, że nawet główną zasadą nauki chrześcijańskiéj jest panteizm! Nie śmiéj się, miły czytelniku: wszyscy zwolennicy téj szkoły najpoważniéj to samo powtarzają. — A to jakim sposobem? — Rzecz prosta. Wiara nas uczy że Chrystus jest Bogiem człowiekiem; dla czegoż bym ja miał być gorszy od Chrystusa? A więc i ja jestem Bogiem-człowiekiem. Ponieważ jednak Boga takiego, o jakim nam kościół prawi, w sobie nie widzę, odrzucę go jako wymysł ludzki, a rozum własny bogiem nazwę. I oto już jesteśmy na samém dnie panteizmu. Podajem słowa autora.

„Dualizm zatém był tą zaporą, o pokonanie któréj rozbiła się stara filozofia. Chrześcianizm podjął to zagadnienie, a nawet ideę któréj starożytne myślenie nie umiało przeprowadzić, wziął za swą zasadę, sprowadził Boga z tamtego świata i ogłosił *rzeczywistą jedność bóstwa i człowieczeństwa*. Że Bóg stał się człowiekiem, jest to zasadnicza idea chrześcianizmu. Odtąd tedy *monizm* stał się charakterem i główném dążeniem całéj nowszéj filozofii.“ (str. 156).

Skąd ta pretensija podszywania się pod chrześcianizm? Czy z obawy odpowiedzialności, stracenia katedry lub urzędu, czy dla łatwiejszego złapania w swe sieci chrześciańskiéj młodzieży? o tém sądzić nie chcemy. To pewna, że niedowiarstwo dzisiejszych czasów nosi na sobie wybitne piętno obłudy, które je tém szkaradniejszém czyni. Na wzór Judasza pocałunkiem pozdrawia Chrystusa, zdradę w sercu kryjąc.

Tak postępuje i nasz autor. Z *umiarkowaniem* mówi o scholastyce, owszem *chwali* ją.... ale za co? Za podkopanie wiary, za wykazanie *mimowolne* niezgodności rozumu z objawieniem! Mniejsza o to, że ani jednego dowodu téj niezgodności przytoczyć nie może: śmiałe twierdzenie starczy za dowodzenie. Wypisujem kilka ustępów:

„Wszystkie te *systemy Dogmatyki*, wychodząc z niewzruszonego *przypuszczenia*, że wiara kościelna jest absolutną prawdą i nie mogąc się wznieść *wyżéj po nad to przypuszczenie*, probowały jednak we własnym interesie tę objawioną, daną prawdę, uczynić rozumową, *chciały dogmat zracjonalizować*. „Wierzę abym pojął“ „Credo ut intelligam“ to wyrzeczenie Anzelma założyciela scholastyki było jéj hasłem.“...... (str. 157).

„Ale tu się též zaczął upadek Scholastyki...... Główném jéj przypuszczeniem, chociaż zamilczaném, było: że dogmat jest rozumny, czyli że *wiara a wiedza stanowią jedność*. Lecz jak tylko Duns Skot zadanie teologii na pole praktyczne skierował, owo przypuszczenie upadło i cały grunt scholastycznéj metafizyki przyszło opuścić. Z rozdziałem praktyki od teoryi, a jeszcze bardziéj z rozdziałem myślenia i bytu w nominalizmie odłączyła się filozofia od teologii, wiedza od wiary. *Wiedza obrała swoje stanowisko po nad wiarą*, nad powagą (nowsza filozofija), a świadomość i sumienie religijne zerwały z tradycyjnym dogmatem (Reformacja). (Str. 158)......

„Najbliższą przyczyną odmiennego, nowego kierunku czasu, był wewnętrzny upadek Scholastyki. Jak tylko bowiem główne przypuszczenie, na którém się scholastyczna teologia i cała metoda opierała, zostało rozbite, gdy *racionalność dogmatu* czyli *umiejętna dowodliwość* objawienia upadła, zawalił się též, jak już wyżéj rzeczono, i cały budynek. Przekonanie wprost przeciwne zasadzie scholastyki, przekonanie, że coś ze stanowiska dogmatu może być prawdziwe a ze stanowiska rozumu fałszywe, chociaż się kościół przeciw niemu srożył, stawało się coraz powszechniejsze, a obok tego *wychodziło na jaw niepodobieństwo pogodzenia wiary z rozumem*..... Wzmagało się uczucie, że filozofia z dotychczasowego stanu niemowlęctwa i służalstwa otrząść się powinna; obudziło się dążenie do większéj niezależności i samodzielności filozoficznego badania......

„Mimo to wszystko Scholastyka sprowadziła i dobre pozytywne skutki. Chociaż

cała w usługach kościoła, zrodziła się wszakże z umiejętnego popędu i obudziła swobodnego ducha badania i zmysł dla wiedzy. Uczyniła przedmioty wiary przedmiotami wiedzy, przeniosła człowieka *ze sfery ślepéj wiary w sferę wątpliwości*, krytyki wiedzy a usiłując *teologiczne prawdy wiary udowodnić*, utwierdzała przez to mimo woli i świadomości powagę rozumu. Postawiła tedy *inną zasadę aniżeli miał stary kościół*, zasadę myślącego ducha, świadomość rozumu, lub przynajmniéj przygotowała téj zasadzie zwycięstwo. Nawet ciemna strona Scholastyki, owe liczne a niedorzeczne zagadnienia nad któremi wielu ze Scholastyków czas trawiło, owe tysiączne, niepotrzebne i przypadkowe definicye, owe ciekawości i łamigłówki, trzeba przypisać rozumnemu pierwiastkowi, pragnieniu światła i badawczemu duchowi, który pod cisnącém jarzmem kościoła tak a nie inaczéj mógł się objawić. Dopiero gdy postępujący duch czasu ją prześcignął, zlała się Scholastyka w jedno z rzeczą i interesem starego kościoła, stanęła *w przeciwieństwie do dawnego swego znaczenia*, i została najzapaleńszą przeciwnicą rozbudzonego lepszego ducha czasów nowych." (Str. 159, 160, 161.)

Ile słów tyle prawie kłamstw i potwarzy w tych ustępach. Nie tylko scholastyka, ale cały kościół od początku aż dotąd wierzy i naucza, że światło rozumu i światło wiary są dziełem jednego i tegoż samego Boga, że zatém w sprzeczności z sobą być nie mogą; ale ani scholastycy ani żaden katolik nie nauczał nigdy, że dogmat jest racyonalny czyli *umiejętnie-dowodliwy*. Dowieść tylko można umiejętnie *obowiązku wierzenia*, tak iż kto aktu wiary uczynić nie chce, tego własny rozum potępia; prawdy zaś wiary same w sobie uważane są i będą tajemnicami przewyższającemi siły rozumu ludzkiego, których przeto dowieść nie można. Zasada scholastyków „Wierzę abym zrozumiał" nie jest ich wymysłem, bo już u najdawniejszych ojców kościoła się spotyka; znaczenie zaś jéj takie: Rozum przyrrodzony nie daje nam zrozumienia prawd Bożych, prawd nadprzyrodzonych; aby je pojąć potrzebne nam światło nadprzyrodzone, światło wiary. Trzeba więc uwierzyć aby za łaską Bożą przeniknąć głębokie znaczenie prawd objawionych. Rozum wskazuje nam obowiązek wierzenia; nie możem jednak wierzyć bez łaski Bożéj, bez światła nadprzyrodzonego wzmacniającego siły naszego rozumu. Gdy szczerze i pokornie prawdę objawioną przyjmiemy, rozum nasz nabywa nowéj dzielności, możem pod światłem wiary coraz głębiéj i daléj wiedzą naszą sięgać, możem nawet z tajemnic wiary wyprowadzać rozumowe wnioski, upatrywać wzajemny ich związek, ująć je w pewną umiejętną całość. Im większa obfitość łaski oświecającéj, tém głębsze zrozumienie prawd Bożych, tém szerszy zakres wiedzy; tak iż tu nawet, za życia, święci odbierają cudowne i językiem ludzkim wyrazić się nie mogące widzenie wewnętrzne najgłębszych tajemnic wiary. Tam jednak dopiero, w wieczności, wiara ustaje, a następuje pełność wiedzy, widzenie bezpośrednie istoty Bożéj. Ale kto pierwszego kroku nie uczynił, kto nie upokorzył swego rozumu przed wiarą, kto nie prosił Boga o światło a własnym tylko siłom zaufał, ten w ciemnościach na wieki zostanie, w tém życiu i w przyszłém; światło bowiem przyrodzone rozumu tak nędzném jest i ograniczoném w obec bezmiarów światła Bożego, że się słusznie ciemnością zwać może.

Takie jest głębokie znaczenie owych słów: „Credo ut intelligam." Wiara otwiera podwoje mądrości Bożéj, zamknięte dla niedowiarków. Wiara jednak sama przypuszcza uprzednie działanie rozumu; owszem, jakeśmy powiedzieli, na rozumie się opiera, na tém pierwotném świetle od wiary niezależném, które nas do niéj prowadzi i obowiązek wierzenia wskazuje. Tym sposobem wiara nie niszczy rozumu, a rozum nie niszczy wiary; podają sobie rękę aby się wspierać wzajemnie, a rozbrat ich jest śmiercią jednego i drugiego. Rozum prowadzi do wiary, wiara podnosi rozum do wyższéj sfery, zbliża go do Boga.

Nigdy zaś przytoczone słowa św. Anzelma nie miały tego znaczenia jakie im mylnie Dr. Schwegler przypisuje, że rozum i wiara są jedném i tém samem, że dogmatu rozumem dowieść można. Rzuca więc czystą potwarz na scholastyków, albo ich sam nie rozumie.

Co do owego mniemanego upadku scholastyki i fałszywości jéj zasad, nie potrzebujemy zbijać autora. Do niego należało przytoczyć choć jeden dowód na poparcie swych twierdzeń, a ponieważ tego nie uczynił, możem pominąć te przechwałki. Dzięki Bogu najcelniejsze umysły uznają dziś potrzebę zgłębiania mistrzów szkoły i opierania się na ich zasadach.

Na zakończenie powiemy jeszcze jakim przyczynom przypisuje Dr. Schwegler mniemany upadek scholastyki czyli filozofii chrześcijańskiéj. Oto dwóm głównie: odrodzeniu nauk klasycznych czyli pogańskich i protestantyzmowi. Że w pogaństwie widzi ideał prawdy, to zgodne z jego zasadami; ale protestantyzm nie zupełnie mu dogadza. Dla tego starannie uprzedza czytelnika, że o tyle chwali protestantyzm, o ile jest *zaprzeczeniem powagi*; zachowanie zaś pisma świętego uważa za resztki zastarzałych przesądów.

„Reformacya, mówi, chociaż bardzo wcześnie wpadła na tor fałszywy i przeszła w dogmatyczno-kościelną jednostronność, była jednakże w zasadzie i w jéj prawdziwych następstwach *zerwaniem myślącego ducha z powagą....* (str. 162).

„Albowiem zredukowanie religii do jéj najprostszych elementów, które protestantyzm religijny raz rozpoczął, *ale przy biblii przerwał i stanął*, musiało koniecznie daléj być prowadzone i cofnięte aż do pierwiastkowych, *przedhistorycznych* źródeł, t. j. do zródła wszelkiéj filozofii i religii, do *świadomego siebie rozumu.*“ (str. 163).

Więc nie Bóg, ale rozum, według autora, jest źródłem wszelkiéj religii. Nic dziwnego: wynika to wprost z jego zasady, że Bóg jest wymysłem ludzkim; rozum zatém, który Boga wymyślił, jest wyższym od niego, jest jedynym prawdziwym Bogiem i twórcą wszystkiego.

Sądzim żeśmy dostateczne dali wyobrażenie o duchu autora niemieckiego.

Przejdźmy teraz do *Dodatku o filozofii w Polsce*, równie bezbożnego utworu jak poprzedni, mniéj tylko poważnie i z pewném złośliwém dowcipkowaniem napisanego. Widać tu człowieka czującego fałszywość swego położenia, przewidującego zarzuty jakie mu czynić mogą, i zawczasu miotającego się na swych przeciwników. Smutniéj i boleśniéj przychodzi nam o tém mówić, ze względu zwłaszcza na osobę autora. Litery początkowe wskazują, że nie chciał nazwiska swego zupełnie zataić, ale też ani zupełnie wyjawić; zaprawdę nie miał się z czém popisywać!

W przedmowie już oświadcza, że ktokolwiek ma wiarę, ten filozofem być nie może:

„Komentarzy nad katechizmami nie uważamy za filozofią, która nie nadaje swego obywatelstwa stojącym za granicami *samodzielnego badania.*“ (str. IV.)

Zarzuty jakie Szwegler czyni scholastykom nie wystarczały polskiemu tłómaczowi; dla dodania im soli tak mówi w przypisku:

„Aby dać czytelnikom przykład owych niedorzecznych kwestyi scholastycznéj uczoności, przytoczymy z nich parę a i te zdolne będą niesmak obudzić w każdym zdrowo i po chłopsku myślącym człowieku. Tak np. rozbierano następujące pytania: czy osieł mógłby być ochrzconym?...... czy Bóg mógłby przyjąć postać kobiety, djabła, osła, ogórka, krzemienia? i jakim sposobem ogórek byłby nauczał, czynił cuda, na krzyż przybity? Ile aniołów mogłoby usiąść na końcu szpilki? Feuerbach Geschichte der neuren Philosophie. Scherc-Geschichte der Religion.“

Do Feuerbacha niejednokrotnie jeszcze odsyła tłómacz czytelnika, co mocne rodzi podejrzenie że on z podobnych tylko źródeł wiadomości o scholastyce czerpał. W każdym razie daje to wyobrażenie o dobréj wierze autora, wskazującego najbezszczelniejszych oszczerców nauki Chrystusowéj jako źródło do poznania filozofii chrześciańskiéj.

Na samym wstępie *Dodatku* wychodzą już na jaw zasady panteistyczne. Najwyższą istotą nie jest Bóg, ale *Rozum*. Rozum ten *bezwzględny* rozwija się wciąż w głowach filozofów, sam się tworzy, *urzeczywistnia własną samodzielną siłą*. Oto są słowa autora:

„Długo, bardzo długo bo aż do ostatnich czasów nie znaliśmy filozofii w jéj właściwém znaczeniu, jako niezależnéj i samodzielnéj umiejętności idei, przedstawiającéj się we wszystkich państwach materyi i ducha, leżącéj na dnie wszystkiego istnienia, a pojawiającéj się jako *rozum bezwzględny*.“ (str. 381).

Ledwo wyrzekłszy tę bezbożność, czuje już tajemny wyrzut sumienia i stara się go zagłuszyć obelgami na ludzi wierzących:

„Oklepane i po wszystkich rynkach całego świata otrąbione są zarzuty, któremi *ludzie wsteczni* i *obskuranci*, zazdrośni niepodległemu badaniu wszech rzeczy pod słońcem, obsypują filozofią, jéj systemy i szkoły. Co tam, prawią nam ci *ślepéj powagi wychowańcy*, wasza filozofia znaczy!...... Hegel i nasi nowsi filozofowie wykazali dostatecznie trywjalność takich sądów, dowiodłszy, że jak filozofia jest genetycznym rozwojem *rozumu bezwzględnego*, tak jéj dzieje nie są igraszką ślepego przypadku, lecz właśnie sprawdzaniem tego rozwoju, gdzie każdy system stanowi organicznie wiążące się z innemi ogniwo, i służy do wyświecenia tego lub innego momentu *idei urzeczywiszczającéj się własną, samodzielną siłą*.“ (382).

O scholastyce tak się odzywa:

„Scholastyka gościła u nas z rozmaitemi przerwami i szczęściem aż do ostatnich czasów, i dziś nawet jeszcze kołacze się jak fantastyczna zmora po seminaryach i klasztornych studjach. Jeszcze ona tam służebnicą teologii jak za błogich czasów Skota lub Anzelma.“ (str. 385.)

Daléj żałuje, że u nas bezbożność późniéj się szerzyć zaczęła niż gdzieindziéj:

„Chociaż na zachodzie dzieła Dekarta, Bakona, Spinozy i innych, dokonały radykalnéj rewolucyi we filozofii i naukach przyrodzonych, to u nas ani słychać przez cały wiek XVI i XVII, by ktoś choć wzmiankę uczynił o tych *wielkich reformatorach filozofii*. Spory religijne ku którym co dzielniejsze zwróciły się umysły, pochłaniały wszystkie siły ducha na czcze szermowania i logomachje o têm *czego nikt nie rozumiał*, zamiast jąć się na seryo coraz więcéj upadających nauk podniesienia.“ (str. 386).

Co za zuchwałe powiedzenie: *Nikt nie rozumiał!* I skądże autor jest tego tak pewny? Lecz to co innego znaczy. Zdradza się tu autor sam mimowolnie. Te słowa: *nikt nie rozumiał*, dowodzą tego tylko że on sam nie rozumie nauki kościoła, może nawet nigdy o jéj rozumienie się nie troszczył; dowodzą więc tego jeszcze, że wyrokuje o rzeczy jeszcze sobie nieznanéj. Sam autor wydaje wyrok na siebie. I rzecz prosta: nie rozumie i nie może rozumieć, bo nie ma wiary. Gdyby miał wiarę, rozumiałby jéj dogmata, jak je rozumieją wszyscy wierzący; ale dla niedowiarków są to hieroglify niezrozumiałe. Sprawdza tu sam autor prawdziwość i konieczność powyższéj zasady: *credo ut intelligam*.

A z jaką nową zarozumiałością wyrokuje nieco niżéj:

„ ....historya filozofii nie miesza się wcale do teologiczno-szkolarskiego kramu i nie widzi nic godnego do pokazania zdrowo myślącemu widzowi.“ (str. 389).

To tylko dowodzi jaki własny kram autora i jak w nim zdrowo myślą.

O Zbawicielu tak się wyraża:

„Wszakże Chrystus był tylko moralno-religijnym reformatorem mozaizmu.“ (str. 399, 400.)

Daléj oświadcza życzenie aby zasady moralności na żadnéj zewnętrznéj powadze się nie opierały, lecz aby je każdy sam z siebie wysnuwał:

„Dążenie które Kant objawił, by moralność oparła się na sobie, by ów kategoryczny nakaz wewnętrzny był jedyną bussolą naszych czynności, wart jest w naszych oczach bardzo wiele, bo tym tylko sposobem czystą moralność ugruntować można. To dążenie powinno być zadaniem każdéj filozofii *nieobłudnéj*, niezależnéj, *niezawierającéj sojuszu z żadną, choćby najstarożytniejszą powagą.*“ (str. 402.)

Z tego samego stanowiska podnosi pod niebiosa dzieło Hugona Kołłątaja: *Porządek fizyczno-moralny*:

„Jest to etyka oparta na odwiecznych prawach natury i ducha, wywiedziona nie z téj lub owéj powagi uświęconéj, nie dla Chińczyka lub Polaka, ale dla człowieka w ogóle napisana. Jakoż innéj nauki moralnéj nie pojmujemy..... Takie pojmowanie moralności stawi Kołłątaja na równi z Kantem i innymi wielkimi myślicielami, którzy chcieli oprzeć moralność na sobie saméj i sankcyi dla niéj szukali *nie w pozaświecie* lecz w tajnikach ludzkiéj jaźni“ (str. 417).

Że zaś Kołłątaj w Boga nie wierzył, wykazuje to starannie nasz autor:

„Zastanawiając się nad niezmiennemi prawami wszech jestestw pod zmysły podpadających, przechodzi (Kołłątaj) do wniosku, iż same sobie onych nadać nie mogły, że więc była *pierwsza ich przyczyna*, którą nazywamy *„przyrodzeniem.“* „Przyrodzenie „(słowa są Kołłątaja) nie jest nic innego, tylko wyobrażenie umysłowe, pod którém „chcemy mówić o przyczynie wszystkich skutków w ogólności; lub w szczególności; „o przyczynie która wyprowadziła wszystkie jestestwa i poddała je prawom statecznym, „nieodmiennym i koniecznym.“..... Książka Kołłątaja więcéj może nauczyć moralności, lepiéj utwierdzić obyczajowy zmysł człowieka nad tysiączne kompendya *dewocyjnych moralistów*, zachęcających do kwietyzmu i *buddyjskich rozmyślań o nicości*. Z tego względu polecamy ją wszystkim myślącym pedagogom.“ (str. 417, 418).

Ideałem postępu i oświaty dla autora jest wiek ośmnasty. Oto jak o nim się wyraża:

„Duch ten (nowy) i cały wiek XVIII okrzyczany przez *hierofantów* za szatański więcéj dobrego zrobił, aniżeli o tém marzą *ludzie wsteczni*. Gdyby nie on, gdyby nie rok 1789 mielibyśmy jeszcze owe romantyczne wieki średnie i scholastykę, do których *pewne stronnictwa* dziś wzdychają. Dla tego wysoko cenimy tych rodaków, którzy...... pojęciem *idei czasu*, wznieśli się po nad *przesądy* i krzyki *najeżonéj powagą głupoty*.“ (str. 416.)

Rozbudzenie tego ducha przypisuje głównie Konarskiemu, a za celniejszych jego przedstawicieli podaje Kołłątaja i Staszica. Dla czasów poprzedzających ma tylko słowa politowania:

„Z małym wyjątkiem, tylko *dewocyjne piśmidła* wychodziły przez cały wiek XVII i połowę XVIII. Nie ciekawa to historya, a tym smutniejsza dla filozofa. Już w pierwszéj, a tem więcéj w drugiéj połowie XVIII wieku rozbudzona działalność umysłowa wpływem i mądremi pracami *wiekopomnego Stanisława Konarskiego*, tudzież wiejący duch od Zachodu, otworzyły narodowi oczy na przepaść dzielącą go od europejskiego postępu...... Osobliwie *Zgromadzenie Pijarów* niezmordowanie krzątało się koło poprawienia wychowania młodzieży i utrzymania umysłowéj godności narodu na równi z resztą oświeconéj Europy. Ale *fanatyzm*, ciemnota i lenistwo przywykłe do chodzenia *owczemi ślady powagi*, zżymały się na te podrygi młodzieńczego ducha cywilizacyi. Nie brak też dowodów, że jeszcze za Stanisława Augusta, znający nieco chemii i fizyki, jak niegdyś Galileusz, uważani byli za czarowników lub heretyków. Wszakże jeszcze

pławiono czarownice! A jednak lękano się filozofii jako bezbożnéj, chociaż ta nigdy nie doradzała ani fajerwerków z innowierców ani kąpieli na czarownice!" (str. 413, 414.)

Smutna to pochwała dla polskich Pijarów, a w ustach naszego autora tém większéj nabiera wagi, i znaczy tyle co najmocniejsze i najdowodniejsze ich potępienie.

Ciekawy jest nadewszystko sąd jego o najnowszych usiłowaniach naszych filozofów niemieckiéj szkoły. Uważa najprzód dość trafnie że charakterem naszéj filozofii w Polsce było bezowocne usiłowanie dowiedzenia z zasad heglowskich osobowości Boga i nieśmiertelności duszy. Dążenie to w oczach autora trąci zabobonem, mistycyzmem, nie może więc ujść jego nagany; choć z drugiéj strony widzi na jego dnie szczery panteizm, wita go z radością i ze zwykłą zapalczywością powstaje na katolickich pisarzów, wykrywających bezbożność téj nowéj szkoły. Oto jak o nich mówi:

„Czuwająca atoli z argusowemi oczyma *hierologija*, która za dni naszych tak górnie głowy zadziera, nie pozwoliła wyrobić się filozoficznéj myśli polskiéj, mianując wszystko co się dzielniejszego ukazało, panteizmem, ateizmem i płodem zbuntowanego ducha; tak więc młode pacholę o mało że nie zostało zaduszone czadem średniowiecznéj a nowym językiem strojnéj babuli scholastyki. Jednakże Herkules skoro podrośnie będzie dusił węże i wszystkie potwory spaczonego rozumu." (str. 421.)

Przy rozbiorze pism Trentowskiego dodaje:

„Ludzie zwrotu, inaczéj wstecznicy, okrzyczeli Trentowskiego panteistą, dyssydentem, zgoła Herostratem. Jeszcze niedawno temu, pewien kronikarz utrzymywał, że Trentowski ogłosił się Bogiem i Chrystusem doskonalszym od „Chrystusa." Taka to u nas do dziś dnia krytyka!" (str. 424.)

Ktośby pomyślał, wnosząc z oburzenia autora, że ów *kronikarz* niesłychaną potwarz na Trentowskiego rzucił; tym czasem oto jak sam autor o tymże Trentowskim się wyraża:

„Chrystus, według niego, jest takim człowiekiem jak i wszyscy wielcy ludzie; jest człowiekiem „mysłowym i jaźniowym" na wzór którego wszyscy mogą a nawet powinni stać się synami Bożymi, a bliżéj Bogami-ludźmi." (str. 441.)

Istotę zaś Boga tak według systemu Trentowskiego sam autor przedstawia:

„Istota Boga jest naprzód co do *ilości* troistą, a momenta troistości są: materya, duch, istnienie; powtóre co do *jakości* jest także trojaka: zmysłowość, umysł, jaźń: co do *stosunku* jest absolutną identycznością całéj swéj tak ilościowéj jako i jakościowéj strony... Istota więc Boga i istota człowieka są zarówno w momentach jako i w swéj całości *absolutnie* identyczne a *względnie* różne... Natura, jako taka, jest tém czém jéj pierwiastek, t. j. boskiem istnieniem w momencie swéj materyi, czyli Bogiem w swéj wiecznéj i czasowéj cielesności." (str. 435.)

Jakiż więc jest powód oburzenia na owego *kronikarza* i wszystkich *hierologów*? Oto ten tylko że oni *wierzą* i ganią Trentowskiego jako niedowiarka; gdy to niedowiarstwo, zdaniem naszego autora, stanowi właśnie największą jego zaletę. Dla tego zowie go „najgenjalniejszym i najwięcéj *samoistnym* przedstawicielem filozofii"; choć z drugiéj strony, gdzie Trentowski mówi o połączeniu człowieka z Bogiem, tak się wyraża nasz autor:

„Ta unia, podobna bardzo do rozmyślania Buddystów i Nowo-platońskiéj extazy, nie da poznać Boga, a prędzéj zrodzi *mystykę*, któréj równie jak kołowacizny owczéj lękać się należy." (str. 441.)

O Libelcie zaś mówi:

„Dostało się Libeltowi mimo jego arcy-chrześciańskiéj barwy niejedno, czegoby się uchronił nie naciągając swojéj filozofii do dogmatyki...... Co sądzić o filozofie, który

na wzór Towiańskiego lub *mystyków*, między Bogiem a człowiekiem legiony duchów osadza?" (str. 449.)

Na szczególną uwagę zasługuje sąd autora o Kremerze. Tu odsłania on rany swéj duszy, spowiada się ze swych wątpliwości, zdaje się nawet zdradzać pewne pragnienie wiary w Boga; ale wnet tłumi budzący się głos sumienia i kończy jak zaczął, szyderstwem i drwinkami. Przytaczamy te ustępy nieco obszerniéj:

„Głównym i najważniejszym punktem, w którym się Kremer różni od Hegla, jest ta myśl, że nie idea bezwzględna lecz osoba bezwzględna, Bóg, jest najwyższym szczytem mądrości ludzkiéj... Jakim sposobem głucha, bezdenna i jak fatum nad wszechistnieniem królująca idea mogła się stać osobą? Na to pytanie odpowie rozumowanie samegoż autora, które tu przytaczamy." (str. 458.)

Następuje długi wyciąg z Kremera; potém tak ciągnie autor:

„Przytoczyilśmy nieco obszerniéj te ustępy... Jakoż co do strony formalnéj, trudnoby p. Kremerowi coś zarzucić. Konieczność nowéj, pełniejszéj kategoryi nad ideę bezwzględną, wywodzi autor ztąd, iż duch poznający tę ideę bezwzględną raz widzi się z nią w jedności, drugi raz ma ją za swój przedmiot czyli odosobnia się od niéj, a tak rodzi się potrzeba stopnia, gdzieby już nie było takiéj różnicy, gdzieby duch zrodził sam z siebie ideę bezwzględną, jako sam także bezwzględny i osobowy. Wymaga tego doskonałość pojęcia; jest to konieczność metafizyczna, na ten wywód zgodzić się z autorem każdy musi. Idzie nam tylko o ścisłe oznaczenie pojęcia téj osoby bezwzględnéj. Zwykle bowiem z osobowości względnéj przenosimy formy na osobowość bezwzględną i inaczéj wyobrazić ani pojąć jéj nie możemy. Pojmujemy że duch ludzki mając przedmiotowość świata, oraz własną, odróżnia się od nich, czuje się osobą, wymawia swoje Ja: ale duch bezwzględny, a mówiąc lepiéj Bóg, takiéj przedmiotowości, mocą któréj sam w sobie by się odróżniał, mieć nie może, bo ona właśnie byłaby jego ograniczeniem. Z drugiéj strony, Bóg osobowy jest postulatem serca i życzeń ludzkich — głuchy bowiem absolut chociaż konsekwentnie z poprzednich niższych kategoryi płynący, jest dla uczucia czémś nieznośném, zabijającém, przed czém wzdryga się ludzka natura, którą on pochłania. Tak tedy inaczéj teorya, a inaczéj praktyka do nas przemawia; rozum nieubłagany w swéj konsekwencyi w żaden sposób nie może pojąć indywidualnéj, a do tego bezwzględnéj osobowości; osobowość jest tylko przywiązaną do ducha skończonego; w nieskończonym zdaje się nam sprzecznością. Chociaż więc p. Kremer *zapewnia* nas o potrzebie owego wyższego stopnia nad ideę bezwzględną, chociaż i sami na pewien czas zgadzamy się z autorem, atoli wnet po skończonem rozumowaniu, nie ufamy by ów wyższy stopień był właśnie tą pożądaną osobą bezwzględną. Wprawdzie bliższy wywód téj osobowości mógłby znaleść miejsce dopiero w Teozofii, a téj autor nie opracował, jednak wątpimy by można coś wyższego postawić nad rozum czy ideę bezwzględną — mogą być wyrazy zmienione i w miejsce „idea bezwzględna" napisana „osobowość bezwzględna" ale to rzeczy nie rozwięzuje. Być może, iż to ochroni system od zarzutu jakoby był panteistyczny, ale z drugiéj strony — nie widzimy téj konsekwencyi oczywistéj, którą rozum na poprzednich stopniach uglądał i która mu była jedyną gwarancyą prawdy. Tu przystanie na osobowość bezwzględną, skoro mu powiadają, że tego potrzebuje ludzkość: lecz sam do siebie powiada, iż to raczéj cel pragmatyczny a nie wynik konieczny. Byłby to filozof nad filozofy, coby nam tę zagadkę rozwiązał i dowiódł, że tak jest i tak a nie inaczéj być musi. Dotąd bowiem jest owa osobowość bezwzględna tylko w myśli, w głowie, a nie wszystko, co jest w myśli, ma byt rzeczywisty. Przypuściwszy zaś, że ma byt rzeczywisty, zostaje zapytanie, jaki? Tu węzeł gordyjski nad którym napróżno siłą się głowy uczonych; na tém zasłona Izydy rozpostarta któréj nikt nie odsłonił dotąd, lubo nie jeden chwalił się (a nie mówim tego o p. Kremerze) że prawdę twarz w twarz oglądał......" (str. 461—463.)

Tu przynajmniéj autor zdaje się być szczerym: wyznaje otwarcie, że „Bóg osobowy jest postulatem serca i życzeń ludzkich," że „głuchy abso-

lut jest dla uczucia czémś nieznośném, zabijającém, przed czém wzdryga się ludzka natura;« jednak wątpi „by można coś wyższego postawić nad rozum czyli ideę bezwzględną.« Jest więc w wątpliwości, nie jest pewien siebie, nie śmie przeczyć; czemuż nie zrobi ztąd wniosku, że źle szukał prawdy, że ta walka wewnętrzna między uczuciem i rozumem jest chorobą jego ducha, że przedewszystkiém lekarstwa dla swéj duszy szukać powinien, a wtedy mu się prawda jasną okaże? W kościele katolickim nie brakło potężnych geniuszów, a żaden z nich nie miał trudności w zrozumieniu że Bóg musi być osobą; ale autor z zasad panteistycznych błędne wyobrażenie usnuł o znaczeniu wyrazu „osoba,“ wzgardził źródłami któreby go oświecić mogły, a stąd nierozwikłane trudności. Żal nam autora, ale któż mu winien? Czemu tak złośliwie miota się na tych, którzy by mu lekarstwo przynieść mogli.“ Zdałoby się iż te pociski na własne sumienie wymierza, któreby chciał zagłuszyć, pozbyć się natrętnych jego wyrzutów... Bądź co bądź, zostaje przy Heglu, którego nadewszystko czytelnikom zaleca:

„Hegla nie prędko ze spekulacyjnego piedestału potrafi kto zepchnąć i długo jeszcze filozofowie abstrakcye jego przeżuwać i rozwałkowywać będą.“ (str. 476.)

Na zakończenie swéj pracy jeszcze raz chciałby się zabezpieczyć od zarzutu niedowiarstwa:

„Według Tybetańskiego pojęcia dość u nas powszechnego filozof jest nieprzyjacielem Boga, religii, obyczaju, krótko: wrogiem tego wszystkiego co ludzkość za świętość uważa. Pojęcie to wylęgłe w czasach naukowego terroryzmu encyklopedystów francuzkich, dziś jest już śmieszne i trąci chińszczyzną...“ (str. 478.)

Tak tedy w braku argumentu ucieka się do szyderstwa. Zwykła to broń zaprzysiężonych nieprzyjaciół prawdy i filozofów desperatów! Chcieliby nią przynajmniéj czytelników lub słuchaczy omamić, kiedy żadną lepszą bronią nie byli w stanie samych siebie przekonać, i własnego sumienia zabezpieczyć.

Kończąc życzymy autorowi aby tych lepszych głosów swego sumienia nie głuszył tak lichemi konceptami, — ale raczéj aby z pod popiołów swojego rozumu wydobył te iskierki wiary — i kiedy już się sam przyznał że rozumem nie może podołać najwyższéj kwestyi i dosięgnąć szczytu całéj prawdy (osobowości Boga), aby przyznał zarazem że podstawy téj saméj, *całéj*, a więc jednéj prawdy, rozumem zgłębić nie może; a porzuciwszy swoje dotychczasowe nierozsądne krzyki: *Rozumiem, chociaż nie rozumiem!* raz przecie zdobył się na ten jedyny rozsądny głos: *Uwierzę, abym zrozumiał!* Credam ut intelligam!

SPRAWY PUBLICZNE.

Wniosek Hr. Adama Plater na ostatnim sejmie prowincyonalnym W. Ks. Poznańskiego względem pomnożenia gimnazyów katolickich.

W tylko co ogłoszoném urzędowém sprawozdaniu z czynności i uchwał trzynastego sejmu prowincyonalnego W. Ks. Poznańskiego w r. 1862, (Verhandlungen des dreizehnten Provinzial Landtages der Provinz Posen im Jahre 1862. Posen, gedruckt in der Hofbuchdruckerei von W. Decker et Comp. 1864), znajdują się dwie następujące wzmianki:

Pierwszy Wydział uchwalił na dzisiejszém posiedzeniu w skutek wniosku Hr. Platera, zalecić Stanom Sejmowym podanie prośby do N. Pana: aby liczba katolickich gimnazyów w W. Ks. Poznańskiém w tym samym stosunku jak w innych prowincyach pomnożoną została.

Na posiedzeniu było obecnych dziewięciu członków, z których pięciu za wnioskiem Hr. Platera głosowało.

Poznań, dnia 3go Grudnia 1862.

Sprawa ta przyszła pod obrady Stanów sejmowych na czternastém posiedzeniu tegoż dnia (3go grudnia) odbytem. Oto jak brzmi sprawozdanie co do tego wniosku:

Następnie Wydział I referuje przez dep. Scholtz wniosek dep. Hr. Platera, aby sejm obecnie zgromadzony zaniósł do Króla Jegomości prośbę o pomnożenie w W. Ks. Poznańskiém Gimnazyów katolickich w takim stosunku, w jakim w innych prowincyach już to nastąpiło.

Wydział pięciu głosami przeciw czterem się za podaniem prośby oświadcza.

Dep. Hrabia Plater na poparcie swego żądania w przydłuższéj mowie motywuje je datami historycznemi, statystycznemi i szkolnemi; przechodzi historycznie stan szkół w 1815 znalezionych, i wykazuje iż po okupacyi, przez reorganizowanie szkół, wiele natenczas istniejących i wyraźny charakter katolicki noszących, częścią na protestanckie zreformowano, częścią zupełnie zniesiono: czego wynikiem oczywistym być musi, iż albo dla natłoku ani wykład ani dozór nie może życzeniu odpowiadać, a ztąd wkrada się nieporządek i brak dyscypliny, albo téż dla braku miejsca znaczna część młodzieży katolickiéj nie może używać nauki, przez co wiele talentów upada.

Z tych i z wielu innych przez mówcę przytoczonych powodów, poleca Hr. Plater przyjęcie postawionego wniosku.

Referent wydziału, dep. Scholtz. stara się zbijać statystycznemi motywami potrzebę utworzenia więcéj gimnazyów i poleca przejście z wnioskiem do porządku dziennego.

Dep. Niemojewski w zabranym głosie popiera gorąco przyjęcie wniosku i motywuje swoje poparcie obszernym wywodem.

Po postawioném życzeniu jednego z deputowanych o zamknięcie dyskussyi, wniosek Hr. Platera 26 naprzeciw 16 głosom upada.

Mowę Hr. Adama Platera, zbyt treściwie powyżéj podaną, uważamy za tak ważną, iż ją tu w całości przytaczamy:

Z ostatnich urzędowo ogłoszonych wiadomości statystycznych o gimnazyach państwa pruskiego okazuje się, iż w siedmiu prowincyach w przecięciu na 100,000 mieszkańców istnieje jedno katolickie resp. protestanckie gimnazyum. W Wielkiém Xięstwie Poznańskiém zaś dla więcéj 800,000 mieszkańców katolickich przywrócono powoli tylko trzy gimnazya, resztę zaś częścią poznoszono, częścią na protestanckie poprzemieniano. Wedle

tego więc już nie może ulegać wątpliwości, że wszyscy członkowie sejmu, bez różnicy wyznania, chętnie zechcą poprzeć wniosek o zniesienie tak wielkiéj *krzywdy* i zaspokojenie potrzeb katolickich swych współobywateli. Jego Królewska Mość zaś tem łaskawiéj przyjmie najpokorniejszą prośbę, iż tu idzie o pomnożenie środków naukowych, których z największą gotowością zawsze zwykła żądającym udzielać. Jego Królewska Mość tem chętniéj raczy przyjąć najpokorniejszą prośbę, jeżeli Jéj się przedstawi, że tu rzeczywiście niesprawiedliwość i krzywda się dzieje, która już od tylu lat zgubne za sobą pociąga następstwa, i dotąd jeszcze szkodliwie działać nie przestaje. Gdy ziemia ta w roku w 1815 przeszła pod panowanie pruskie, istniało w niéj oprócz kilku szkół klasztornych, sześć katolickich wyższych zakładów naukowych. Były to gimnazya katolickie w Poznaniu, Bydgoszczy, Rydzynie, Wschowie, Pakości i Trzemesznie, — wszystkie pozakładane z funduszów czysto katolickich. Każdy, co nie jest obojętnym dla sprawiedliwości, przyzna, iż zakłady te przez królewski rząd powinny były nietylko być zachowane, ale i poprawione, ponieważ liczba mieszkańców katolickich nie zmniejszyła się, lecz owszem ciągle wzrasta, co przecież jak wiadomo, nie nastąpiło. Owszem, zaczęto kasować te zakłady właśnie dla tego, że odpowiednéj potrzebom czasowym wymagały naprawy. To zaś, co pozostało, zreorganizowano w taki sposób, iż zupełnie zatarto charakter katolicki. W skutek tego stało się, iż nareszcie, za czasów Królewskiego Naczelnego Prezesa Flottwela, w całém Wielkiém Księstwie nietylko ani jednego katolickiego nie było gimnazyum, ale nawet ani jednego aspiranta do stanu duchownego. Archidyecezye Poznańska i Gnieźnieńska, pisał wspomniany Naczelny Prezes, zupełnie upadają, — i prosił zarazem, aby temu zapobieżono. Wtedy to powstał Alumnat duchowny, i dzisiejsze gimnazyum katolickie w Poznaniu. Katolickie fundusze tegoż gimnazyum podzielono przy téj sposobności na dwie równe części, aby z jednéj połowy założyć gimnazyum protestanckie.

Daléj, katolickie gimnazyum w Bydgoszczy zmieniono powoli na protestanckie. Wszelkie prośby i reklamacye Ks. Arcybiskupa były nadaremne, w ręku katolików pozostawiono tylko kościół pojezuicki, i dla uczniów katolickich tego gimnazyum przekazano stypendya z funduszów klasztoru koronowskiego, Gimnazyum to tak powszechnie było znane jako katolickie, iż p. Minister Skarbu w etacie przedłożonym sejmowi berlińskiemu wzmiankuje je jako katolickie. Pan Minister Spraw duchownych już był przecież zupełnie usunął charakter katolicki téj szkoły, o czém tylko Pan Minister Skarbu nie był zawiadomiony.

Gimnazyum w Pakości nie zostało naprawione, lecz zniesione, ponieważ nie odpowiadało zupełnie potrzebom czasu. W sąsiedniém mieście Inowrocławiu i powiecie inowrocławskim utworzyło się stowarzyszenie w celu uzyskania napowrót gimnazyum katolickiego dla téj okolicy. Nawet Najprzewielebniejszy Ksiądz Arcybiskup kilkakrotnie podawał swoje przedstawienia, żeby przecież powiatowi, który dawniéj tylu aspirantów do stanu duchownego dostarczał, przywrócono znów wyższy katolicki zakład naukowy. Stany powiatowe nareszcie, jako i miasto, oddały do dyspozycyi na ten cel znaczne fundusze, albo przynajmniéj coroczne przyobiecały datki. Lecz tameczny Radzca ziemiański od początku zaraz czynił zabiegi o założenie szkoły symultannéj, która też przyszła do skutku z rektorem na czele protestanckim, i charakterem wybitnie akatolickim.

Fundusze katolickiego gimnazyum w Rydzynie przekazano szkole Braci Unitarnych w Lesznie, zakład ten przemieniono na gimnazyum mieszane, z tém wszakże zastrzeżeniem, że ani dyrektor, ani żaden z ordyaryuszów wyższych klas nie ma być religii katolickiéj, a to w celu iżby co

do istoty zachować pierwiastkowy charakter szkoły. Na nowsze zapytania oświadczyło tutejsze Król. Prowincyonalne Kollegium Szkolne, iż zakład ten należy uważać nie już jako mieszany, lecz jako ewanielicki. Mimo to wszystko jednakże gimnazyum to ciągle ma tylu uczniów katolickich, co protestanckich z żydowskimi razem. Niedawno było tamże 126 katolików a 125 niekatolików. Wszystkie prośby Ks. Arcybiskupa, aby przynajmniéj pensyę nauczyciela religii katolickiéj (200 Tal.) podwyższono stosownie do potrzeb, aż do téj chwili zostały bezskutecznemi.

Gimnazyum w Wschowie, fundacya czysto katolicka, zostało najprzód zamienione na mięszane progimnazyum. Na zażalenia ks. Arcybiskupa oświadczył pan Minister Spraw duchownych jeszcze w r. 1851, iż rząd sumiennie o to starać się będzie, aby równość wyznań surowo była przestrzeganą, że pan Minister sam czuwać nad tém będzie, i że prosi ks. Arcybiskupa aby był pewien zupełnie bezstronnego obsadzania posad nauczycielskich. Tymczasem zakład ten tak został przemieniony, że ostatni dwaj uczniowie katoliccy wyższych klas musieli je opuścić z tego powodu że z strony zakładu, pomimo wszelkie remonstracye zwierzchności duchownéj, w klasach tych nauki religii katolickiéj nie udzielano.

Natomiast przywrócono gimnazyum w Trzemesznie, i nowe założono w Ostrowie. Tak więc mieszkańcy katoliccy W. Ks. P. w liczbie blizko 900,000 zostali ograniczeni na trzy gimnazya. Niezliczona ilość młodzieży z tego powodu od r. 1815 pozostała bez wyższego wykształcenia, a tém samém przystęp do posad urzędniczych został jéj uniemożebnionym; kościół przez wiele lat pozbawiony był potrzebnych księży, a nawet teraz jeszcze wiele mniéj wyposażonych plebanii i niezliczona ilość wikaryatów jest nieobsadzonych. Gdzie zaś brak prawdziwego wykształcenia, tam się zakrada zepsucie wszelkiego rodzaju. Dwa lata temu jeszcze Magistrat miasta Gniezna udowodnił nazwiskami, iż w przeciągu dwóch lat przeszło 200 aspirantów nie znalazło przyjęcia w żadném katolickiém gimnazyum, z tego powodu, że z góry oznaczona liczba normalna uczniów już była zapełnioną. Oprócz straty czasu zachodzi potém nowa przeszkoda; aspirant bowiem musi teraz wedle przepisu powtórnie, a tym razem na zawsze być oddalonym, ponieważ tymczasem posunął się w lata i przekroczył wiek prawem przepisany do téj klasy do której się zgłaszał, a do wyższéj nie jest przysposobionym. Zresztą samo przepełnienie tych kilku katolickich gimnazyów niejednego już pełnego nadziei młodzieńca o zgubę przyprawiło, ponieważ nauczycielom przy najlepszéj woli niepodobna tak w wychowaniu jak i nauce każdego ucznia szczegółowo dostatecznie uwzględniać. To też przy tutujszém najbardziéj przepełnionėm gimnazyum ciągle zachodzą skargi to o różne poodkrywane wykroczenia, to o nieporządki, swawole. Gani się zewnętrzne pojawy, nie bada się moralnego ich sprawcy i prawdziwéj przyczyny. A wszystkie te smutne następstwa pochodzą poprostu stąd, że liczba zakładów naukowych zamiast być pomnażaną stosownie do potrzeby, została sprowadzoną do wcale niewystarczającego minimum.

Potrzebę tę zawsze z boleścią serca czuli katolicy w wszystkich częściach kraju. Wstawianie się Najprzewielebniejszego Arcypasterza doprowadziło wreszcie do tego, iż P. Minister Spraw Duchownych niedawno temu przyobiecał założenie czwartego gimnazyum w najbliższym czasie, pod tym warunkiem, że Ks. Arcybiskup z panem Naczelnym Prezesem zgodzi się na wybór miejsca, i że interesowana gmina miejska resp. powiat założenie tego zakładu przez odpowiednie z swéj strony ofiary ułatwi. Ostatniemu warunkowi natychmiast z strony kilku miast zupełnie stało się zadosyć. Lecz miasto Śrem odrzucono; a co do miasta Inowrocławia P. Naczelny Prezes taką dał odpowiedź, iż wyższy zakład naukowy tamże

w żaden sposób istnieć nie może; lecz mimo to, tak jak w Śremie, udało się Panu Radzcy ziemiańskiemu wbrew wyraźnemu oświadczeniu stanów powiatowych urządzić tamże progimnazyum z protestanckim rektorem, i zupełnie wybitnym protestanckim charakterem, co dla katolickiéj ludności także jest bez najmniejszéj korzyści.

Zdawało się przynajmniéj, że Gniezno, jako starożytne miasto z czysto katolicką okolicą, zasłuży na większe względy, i że po tylu stratach przez czasy niepomyślne, dozwolonem mu będzie korzystać z takiego zakładu aby się nieco podnieść. Stany powiatowe i miasto ofiarowały bardzo znaczne środki na założenie katolickiego gimnazyum, do czego jeszcze dołączono wielkie mnóstwo dawnych a nawet nowych fundacyi, zawiadowanych przez tameczną Kapitułę Metropolitalną. Lecz na to oświadczył P. Naczelny Prezes Puttkammer, jak Magistrat ks. Arcybiskupowi zakomunikował, iż nigdy w Gnieźnie nie stanie gimnazyum, dopóki z góry nie będzie uczynione oświadczenie, iż zakład ten będzie miał charakter czysto niemiecki. Jakkolwiek ks. Arcypasterz wykazywał bezużyteczność podobnego zakładu, ponieważ w całéj okolicy nie masz Niemców katolików, i niesprawiedliwość leżącą w tém, iż w zasadzie wypowiedziano, że czysto polska okolica tameczna ani tyle nawet co w dotychczasowych gimnazyach katolickich nie miała być uwzględnioną, pomimo to stało się co Pan Naczelny Prezes był zapowiedział, a nadto, jak naturalnie można było przewidzieć, uczyniono dodatek, że zakład ten ma być co do religii mięszanego charakteru.

Że zaś poddanym polskim Wielkiego Księstwa przez Najjaśniejszego Pana zagwarantowanem było utrzymanie ich narodowości, musimy więc w tém właśnie upatrywać i wypowiedzieć wielką krzywdę, że co więcéj nie powiemy, wyrządzoną nam przez wspomnionego P. Naczelnego Prezesa. Występuje tu bowiem wyraźnie na jaw czynna dążność wynarodowienia wyższych stanów przez odmawianie im zakładów naukowych. Lecz przez to pozbawia się nawet ogólnego wykształcenia niezliczoną liczbę poddanych polskiéj narodowości; gdyż jak od znawców fachowych codziennie słyszeć możemy, wielu młodych uczniów polskich musi niemieckie szkoły opuszczać już z Kwarty i Tercyi, ponieważ brak im talentu do języków, którym nie każdy lecz mało tylko kto jest obdarzony.

Jedno słowo sprawiedliwości Jego Król. Mości krzywdę tę naprawi, i założy fundament do zadowolnienia, którego katolicy tego kraju od tak dawna niezaznali. Miasta wzmiankowane zaraz dopełnią danych obietnic i oddadzą rządowi do dyspozycyi potrzebne środki do zakładania szkół katolickich. Nadto fundacye katolickie znajdują się w ręku Król. Rządu, gdyż cały tak nazwany prowincyalny-fundusz-szkolny składa się tylko z katolickich fundacyi. Zgromadzone stany mogą i chcą oddawać się téj pewnéj nadziei, iż Jego Król. Mość i tu także w najłaskawszéj i ojcowskiéj swojéj pieczołowitości raczy wyrzec słowo sprawiedliwości.

Panowie, proszę o poparcie mojego wniosku:

Zgromadzone Stany Wielkiego Księstwa Poznańskiego zechcą postanowić podanie najuniżeńszéj prośby do Jego Król. Mości, iżby liczba gimnazyów katolickich była pomnożoną w tym samym stosunku, jak w wszystkich innych prowincyach.

DZIENNIKARSTWO.

Jeźli w miarę jak człowiek zdobywa coraz większą władzę nad siłami przyrodzenia, nie oczyszcza się w nim i nie podnosi uczucie moralne, władza ta nie na korzyść ale na szkodę ludzkości obracać się musi.

Statki parowe, koleje żelazne, telegrafy elektryczne, działa gwintowane i tyle innych naszego wieku wynalazków, które zniosły opór czasu i przestrzeni, tak ogromną stanowią potęgę, że kto ją posiada, ten łatwo może słabszego wszędzie dosięgnąć i od razu pokonać.

Jak najściślejsza więc i najtroskliwsza sumienność w kierowniku władającym temi potęgami zdoła jedynie zastąpić brak wszelkiego zewnątrz hamulca i ograniczenia, jeźli ma być jakakolwiek słuszność i prawo na świecie.

Téj to sumienności wymaga dziś równie stosunek państw mocniejszych do słabszych jak stosunek rządów do podwładnych. Inaczéj, przemoc stałaby się prawem powszechném.

Atoli przemoc fizyczna nie jest jeszcze złém największém. Człowiek, czy w okowach, czy na torturach, może zawsze zachować wolność ducha, zwłaszcza jeźli wspiera go niczém niepokalana cnota, a z góry przyświeca mu wiara.

Złe najstraszniejsze wtedy jest, gdy przemoc zwalniając swą żelazną rękę nad ciałem usiłuje zwątlić, struć i pokonać duszę przeciwnika podstępem, fałszem lub pokusą.

Tego to sposobu, jako wielce skuteczniejszego niż przymus fizyczny, chwyta się dziś każdy co usiłuje zapanować nad światem. Nim posługują się zdobywcy i przywłaszczyciele ziem obcych, nim rządy trzymające kraj w ucisku, nim narody chełpiące się wyższą nad wszystkie inne intelligencyą, nim radykalni reformatorowie, wszelkie sprzysiężenia i tajne towarzystwa, zgoła wszyscy co zamierzyli albo uczynić społeczność ludzką ślepem narzędziem swéj woli, albo też ją z istniejących dotąd karbów, zwłaszcza z pod zwierzchnictwa moralności i religii, wyzwolić, by ją następnie tém snadniéj wedle swych szalonych teoryi przekształcić.

Na posługę ku temu celowi, i jedni i drudzy, i despoci i radykaliści, uznali najdzielniejszym środkiem druk, a mianowicie dziennikarstwo.

Dziennikarstwo stało się obecnie tém w sferze duchowéj, czém w zakresie materyalnym są owe potęgi, o których była mowa na początku. Prawie nieograniczone czasem i przestrzenią, wszędzie sięga, wszystko obejmuje, na wszystko się odważa.

Skoro zaś tam konieczną jest wysoka sumienność, o ileż więcéj tu jéj potrzeba, gdzie już nie o ciało ale o duszę chodzi.

Spytajmyż się teraz czy z niesłychanem wzrostem dziennikarstwa postąpiła jego sumienność?

Nim na to odpowiemy, zważmy czy w ogóle rozwinęło się i podniosło w naszych czasach moralne uczucie?

Nie będziem o to pytać Jeremiaszów i Teofrastów naszego wieku. Ich świadectwo nie wszędzie z jednaką wiarą byłoby przyjętém.

Zagadnijmy raczéj wielbicieli dzisiejszéj epoki, zwolenników nieograniczonego postępu, zwiastunów zupełnego przeobrażenia ludzkości i zbliżającego się raju na ziemi.

Oto co powiada jeden z najbystrzejszych, najuczeńszych i najgorętszych między niemi: Certainement (mówi Michelet w Histoire de France, Tom II, str. 622) la moralité est plus éclairée aujourd'hui; est-elle plus

forte?... Qui ne tressaille de joie en voyant la victoire de l'égalité?... Je crains seulement qu'en prenant un si juste sentiment de ses droits, l'homme n'ait perdu quelquechose du sentiment de ses devoirs. Le coeur se serre quand on voit que, dans ce progrés de toute chose, la force morale n'a point augmenté.

Nigdy świat nie był wolnym od występków, od wykroczeń przeciw moralności. Okrucieństwa były dawniéj może sroższe, gwałty częstsze. Człowiek niezawodnie postąpił w uobyczajeniu. Ale dawniéj ciemiężono, katowano ciało, nie każono duszy. Dobro miało przewagę. Złe znajdowało w niém silny odpór i w końcu zawsze przezeń pokonywanem bywało. Dziś dobru wytrącono oręż z ręki, zgruchotano powagi, na których się wspierało.

Powaga religii i tradycyi wszędzie zwątlała.

Rzadko kto nie pomiata powagą wieku i doświadczenia.

Powaga zasługi tylko wyjątkowe ma znaczenie, wedle potrzeby dnia i godziny, i o ile namiętnościom chwilowym dogadza.

Powaga nauki tylko wtedy bywa uznaną, gdy pójdzie w posługę bezwiednym prądom panującéj opinii.

Nawet powaga wymownego lub natchnionego słowa niczém jest, jeźli nie wtoruje szałom i ślepym rozpędom przemijającéj chwili.

Otóż dziennikarstwo głównie dziś ku temu wszystkie swe siły wytęża, aby te powagi obalić do reszty i samo siebie wyłącznie na ich miejscu postawić.

Nie jest tu mowa o dziennikarstwie polskiem, które zaledwie zaczyna się rozwijać, i dotąd zostaje albo w kolebce albo w więzach. Ani też mowa o całéj zagranicznéj prasie, ale, niestety! o przeważnym w niéj zastępie. Większość ta mieści w sobie najróżnorodniejsze żywioły, najsprzeczniejsze kierunki, najzaciętszych między sobą nieprzyjaciół. Skądże ta ich zgodność i obłudne sprzymierzeństwo? Zobaczmy.

II.

Wiek nasz chlubi się głośno z umiarkowania. Przeznaczeniem jego niby ma być skojarzenie wszelkich sprzeczności, i wynalezienie tego środka, w którym starożytni upatrywali równie cnotę pojedyńczych ludzi jak doskonałości urządzenia społecznego, zalecając godło: in medio virtus.

Śmieszna to przechwałka lub ogromne złudzenie. Dzieje się dziś na odwrót. Tylko zręcznością w przybieraniu jak najrozmaitszych barw i najzwodniejszych pozorów wiek nasz wygórował nad inne. Rzeczywiście zaś jest wiekiem jak najliczniejszych i najsroższych przeciwieństw.

Walka między niemi tém jest zaciętszą, że zapaśnicy występują najczęściéj ze spuszczoną przyłbicą i pod fałszywemi znakami umiarkowania, bezstronności i niesamolubstwa. Rycerskie te znamiona służą jedynie do pokrycia wszelkiego rodzaju zasadzek i podstępów.

Cechę tę naszych czasów najlepiéj odbija dziennikarstwo. Pod złudnemi formami względności, wyrozumienia, szacunku dla każdéj opinii, popycha ono ludzkość na coraz węższy przesmyk między dwoma przepaściami.

Owładnięte też zostało przez potęgi królujące w tych przepaściach. Z jednéj strony występują rządy w imie porządku, z drugiéj zastępy rewolucyjne w imie wolności, ale po za tamtemi kryje się sztandar despotyzmu, a po za temi chorągiew anarchii.

Oba te obozy gotując się do ostatecznéj walki, usiłują najprzód uprzątnąć pole, znieść wszelkie pośrodku przeszkody, któreby mogły zrobić bój

nierozstrzygniętym albo zwyciężonych od zupełnéj zagłady uchronić. Wzięły więc w krzyżowy ogień wszystko to, co dotąd spór łagodziło, co broniło od ostateczności, co podawało sposobność porozumieniu.

A najprzód oczywiście wytężyły całą swą potęgę na kościół katolicki, na tego najwyższego i najskuteczniejszego rozjemcę. Ta tylko w ich taktyce zachodzi różnica, że gdy zwolennicy przewrotu społecznego jawnie nań biją, — rządy, i skojarzone z rządami stronnictwa, skrycie podkopują odwieczną jego opokę.

Pierwszych hasłem było w przeszłym wieku wolterowskie: Ecrasez l'infâme! W obecnym zaś idą oni śmiało pod godłem Edgara Quinet: Qu'on etouffe le catholicisme dans la boue. Wiek osiemnasty pragnął tylko zwalić kościół, dziewiętnasty usiłuje zwalić go i zwalać, — nie tylko zetrzeć na miazgę, by się już nigdy nie podniósł, ale splugawić, by po sobie nic nie zostawił we wspomnieniu ludzkości prócz odrazy i przekleństwa.

Rządy obłudniéj działają. Jedne schlebiają kościołowi do czasu, chcąc go użyć za narzędzie, drugie patrzą spokojnie na zamachy i ciosy wymierzane nań przez ochotników niedowiarstwa, tajemnie ciesząc się gdy się tym zuchwalcom powiedzie, przyznając sobie zasługę obrony, gdy się napaść nie uda.

Ilekroć zaś podwójna ta gra odsłoniętą nagle zostanie, ilekroć wypadki przymuszą skrytą niechęć przejść w jawną walkę, wtedy rządy dają zwykle za powód nacisk opinii publicznéj.

W obec tego co się dziś dzieje pod rządem rosyjskim, widzimy jak to łatwo poburzyć, sfanatyzować tak zwaną opinię publiczną. Niecna to wymówka, gdy kto twierdzi, że ulega prądowi, który sam stworzył. Pan udaje sługę.

Ale i w łagodniejszym, słuszniejszym, normalniejszym stanie spraw politycznych, cóż to rządy, postępujące według dzisiejszego wzoru francuzkiego, zwą opinią publiczną, gdzie szukają jéj wyrazu, o jaką jedynie się troszczą? Wszakże o tę, która w dziennikarstwie przemaga. A któż ją tam tworzy? Też same rządy.

Tworzą ją tysiącznemi sposobami. Już jako władza szafująca groszem publicznym, urzędami, niezliczonemi ponętami, to znów działająca postrachem, posiadają one niezmierną przewagę w nadawaniu duchowi publicznemu kierunku, jaki im się podoba. Mają na swe usługi dzienniki oficyalne, pół i ćwierć oficyalne, poufne, a często nawet przybrane na pozór w barwy im najnieprzyjaźniejsze. Mają ajentów w całéj niemal prasie opozycyjnéj. Jestto bowiem na rękę choćby nawet najzacięciéj im przeciwnemu dziennikowi, jeźli publiczność mniema, że pomimo niewzruszoności swych zasad, odbiera on w pewnych sprawach natchnienia i wiadomości wprost z biór ministeryalnych. Takim to trybem dokumenta dyplomatyczne i wieści, które rząd potrzebuje z nienacka puścić w obieg, najczęściéj pojawiają się najprzód w dziennikach opozycyjnych.

Pierwszeństwo w przesyłaniu i odbieraniu telegramów daje także rządom niemałe ułatwienie. Od nich również w znacznéj mierze zależą przedsiębiorstwa prywatne, które się trudnią dostarczaniem prasie telegraficznych wiadomości.

Są inne, także prywatne i rzekomo niezależne, które za lichą opłatą i za pomocą litografowanych listów przesyłają prowincyonalnym dziennikom najświeższe wiadomości i objaśnienia z stolicy. Przez te rząd działa jak chce na kraj cały, podsuwając wieści, jakim pragnie dać rozgłos, uprzedzając nieprzychylne sobie, objaśniając wszystkie wedle swych chwilowych potrzeb i zamysłów.

Najpotężniejszą jednak posiłkową w téj mierze rzeszę stanowią kore-

spondenci z zagranicy. Tymi najczęściéj są albo niżsi urzędnicy w ambasadach, albo ludzie od nich zależni. Ajent rządowy, wysłany do obcego kraju, zwykle dla niepoznaki wyprawia swe korespondencye do jednego z dzienników opozycyjnych, a jeśli zarazem obsługuje i prasę rządową, tém snadniéj uwodzi publiczność, która znajdując w organach wręcz jeden drugiemu przeciwnych tę samą wiadomość i takie same jéj wytłómaczenie, ani przypuszcza podstępu i złéj wiary. Są korespondencye, które nie pochodzą ani z miejsca ani z daty na ich nagłówku wypisanéj. Fabrykują się one, albo w gabinecie ministeryalnym, albo według tegoż wskazówek w biórach redakcyjnych. Rzadki dziś dziennik, któryby się tego na swoją rękę nie dopuszczał. Grzech to tak zwykły, tak powszedni, że należy do owych siedmiu, w które i najsprawiedliwszy mąż z téj większości cechu redaktorskiego codzień popada.

A z jakichże to pracowników cech ten w większéj składa się mierze, z jakich warstw się wywodzi, w jakiéj klasie rekrutuje, jakim ambicyom daje pochop, jakim nadziejom na oścież otwiera wrota?

Należałoby mniemać, że kierownikami opinii publicznéj powinniby być ludzie lat dojrzalszych, wytrawnego sądu, długiego doświadczenia, spokojnego i pojednawczego temperamentu, nieposzlakowanych obyczajów. Tymczasem dziś wręcz przeciwnie się dzieje. Znanym jest sofizmat Lamartina, że najdoskonalszym prawodawcą bywa młodzieniec dwudziestoletni, najlepszym kochankiem czterdziestoletni mężczyzna, bo w pierwszym razie powinno przewodniczyć natchnienie, w drugim doświadczenie i rozsądek. Otóż zdaje się że i w publistyce ta sama reguła przyjętą została. Student bywa od razu przewinięty w redaktora. Przewodnikiem narodu, stróżnikiem moralności, sędzią w zawiłych sprawach świata staje się człowiek w téj przejściowéj epoce życia, w któréj już utracił wiarę z domu rodzicielskiego wywiezioną, a jeszcze nie powrócił do niéj przez trud i cierpienie, w któréj rozum indywidualny stawia się nad wszystko jako wyłączny sternik działań i sumienia bliźnich, w któréj zasady moralności wydają się regułami nałożonemi przez tych, co już więcéj grzeszyć nie mogą, a krzepkość ciała i zdrowie fizyczne funduszem niewyczerpanym przez żadne nadużycia i rozpusty, w któréj wreście każdy stopniowy pochód i mozolne przedsiewzięcie przedstawia się ckliwem i niechwalebném, a najwyższe stanowisko i najświetniejsze losy niechybną nagrodą jednego zamachu i ślepego poskoku choćby w najciemniejszą bezbrzeżną przestrzeń. Talent też, a raczéj ta dziś tak pospolita wprawa pisarska, co to o jakimkolwiek przedmiocie w jakiéjkolwiek rozciągłości, na każde zawołanie, gotowa jest uklecić posuwisty artykuł, stała się jedynym paszportem do biór redaktorskich.

Praktyka, życie dziennikarskie, nie otrzeźwia, nie leczy złych tych usposobień młodzieńczych, ale owszem jątrzy je i wzmaga. Tysiące pochlebców z potrzeby wzbija coraz wyżéj już i tak wygórowaną dumę codziennego rozdawcy tuzinkowych honorów i twórcy reputacyi brukowych. Ułatwione związki z zamożną a hulaszczą młodzieżą, z wszystkiemi sferami pół-świata, biesiady, teatra, czynią jego życie jednym ciągiem upojenia umysłowego i fizycznego. Upojenie to nieraz przemienia się w pijaństwo, bo gdy wycieńczony, odurzony tylu zbytkami publicysta, chwyta za pióro by swoje dzienne zadanie odrobić, musi szukać podniety tam, gdzie się może niekiedy znajduje bodziec dla fantazyi i imaginacyi, ale nigdy źródło zdrowéj myśli i sumiennego sądu. Możnaż od takiego pisarza spodziewać się poszanowania dla ustalonych powag, dla religii, dla tradycyi, dla moralności, dla wieku i zasługi, dla prawdziwéj nauki i mistrzowskiego słowa? Przewrot więc tego co istnieje, co mu zawadza w dojściu jednym skokiem

do najwyższych stanowisk, musi być jego gorącem życzeniem, które o tyle tylko nie bywa jawném, o ile jeszcze jest niebezpieczném.

Dodać należy, że zastęp dziennikarski dziś rekrutuje się jak najliczniéj z młodzieży ambitnéj a niedouczonéj, to jest takiéj, co obok zaufania w swych zdolnościach leniwa, nie skończyła kursów uniwersyteckich, a może nawet i szkolnych, a przez to ujrzała przed sobą zamknięte wszystkie karyery fachowe, — z członków rozmaitych sprzysiężeń i tajnych towarzystw a najwięcéj z wolnomularzów, — wreście z tego jawnego a najpotężniejszego sprzymierzenia przeciw spółeczności chrześciańskiéj, które jest zlepkiem demagogów z judaizmem, czego najdobitniejszy dowód przedstawia nam Wiedeń.

Ale powie kto z przekąsem: Czemuż ludzie *porządni* i *wytrawni* nie zakładają dzienników? Zarzut to niesłuszny. Nigdzie mężowie poważni, podnioślejszéj myśli i rzetelnego poświęcenia, nie uchylają się i od téj swemu narodowi posługi, lubo rozmiary, które w ostatnich czasach dzienniki przyjęły, tysiączne błahe przedmioty, które zagarnęły w swój zakres, lekka lub zbyt pieprzna strawa, do któréj publiczność przyuczyły, wymagają pracy tak nieustannéj a pobieżnéj, tak licznych a tak lichych zasobów, takiéj lekkomyślności w taką czelność uzbrojonéj, że prawdziwemu talentowi, rzeczywistéj nauce i sumiennemu zdaniu, trudno bardzo się nagiąć albo raczéj zniżyć do podobnego zawodu. A jeźli mimo tego zawiąże się grono osób, szczerze przejętych ważnością swego zamiaru, założony przez nich dziennik, obsypany na wstępie oszczerstwami, prześcignięty przez inne, które najgorszym instynktom i namiętnościom publiczności dogadzają, zaledwie utrzymać się zdoła.

Nic więc dziwnego że w dzisiejszém dziennikarstwie rządy znajdują tak szerokie i przyjazne pole do krzewienia swych pomysłów. Obie strony oszukują się nawzajem. Zgoda tylko do czasu. Ale dopóki stoją po środku przeciwnicy jednych i drugich, dopóty sojusz ten coraz silniejszym i serdeczniejszym wydawać się będzie, jak zwykle przymierza przed rozbiciem.

Lecz nie tylko we własnym kraju rządy przemożny wpływ na tworzenie tak zwanéj opinii publicznéj za pomocą czy zależnych czy na pozór niepodległych dzienników wywierają. Od pewnego czasu wszystkie większe mocarstwa starają się mieć swe organa w stolicach swych mniéj więcéj szczerych sprzymierzeńców. Dotąd najwidoczniéj to się okazuje w Paryżu, ale łatwo przewidzieć że wkrótce Berlin i Wiedeń, a nawet i Petersburg, nie pozostaną w tym względzie zaniedbanemi. Ilekroć téż które mocarstwo przygotowuje jaki wielki wypadek, zaraz znać nadzwyczajne zmiany i obroty w dziennikarstwie francuzkiem. Tym to sposobem zjednoczenie Włoch ułatwionem zostało. Jakżeż musiało wszystkich zdziwić, że taki poważny i konserwatywny Journal des Debats stał się od razu najżarliwszym poplecznikiem jednego z najlekkomyślniejszych i najradykalniejszych państwowych przeobrażeń. Bezpośredniego przekupstwa udowodnić trudno. Ale są niezliczone sposoby, któremi się ujmuje dziennikarstwo. I my od lat dwóch poznaliśmy się blizko z niektóremi.

Znanemi doskonale są te drogi i wszystkim prywatnym, zwłaszcza finansowym przedsiębiorstwom. Mires wyznał przed sądem, że całą niemal prasę francuzką miał w swém ręku, a raczéj w swéj kieszeni, i że na pozór nieprzyjazne mu dzienniki najużyteczniejszemi mu były.

Dziwić-że się potém téj zręczności, téj taktyki, téj dokładności i sprężystości ruchów na całem polu dziennikarskiem, które poprzedziły zamach na doczesną władzę Ojca świętego, a które obecnie raz po raz przypuszczają szturm do opoki Piotrowéj. Niepodległe, sumienne dzienniki, co stało się

prawie synonimem z katolickiemi, musiały, w obec tych potężnych armii, ograniczać się na powołaniu i obowiązku partyzantów, którzy broniąc ognisk domowych, zarazem ostrzegają swemi strzałami ostatnią pozostałą im twierdzę wolności, że wróg pod jéj mury podchodzi.

Kreśląc ten smutny obraz, mieliśmy głównie Francyę przed oczami, jéj dziennikarstwo znikczemnione równie przez wpływy rządu jak przez zepsucie téj części spółeczności, która dziś najdonośniejszy posiada głos w sprawach publicznych. Zaraza ta utartemi drogami, któremi na cały świat zwykło płynąć ztamtąd wszelkie skażenie, obejmuje już prawie całą Europę. Rządy nauczyły się od Napoleona IIIgo jak dzielnem narzędziem despotyzmu może być wolnomyślna prasa, podobnie jak głosowanie powszechne podstawą samodzierżstwa.

Niemowlęctwo i ubóstwo dziennikarstwa polskiego dotąd je ochraniało niemal od tych plag wszystkich. Uchroni-ż się od nich tak wrażliwy organizm w przyszłości, skoro się rozwijać i rozrastać pocznie? Choroby w dzieciństwie przechodzą szybko i niezostawiają zgubnych śladów, w późniejszym wieku niszczą i skrzywiają go na zawsze. Aby więc uniknąć téj zarazy należałoby się wcześnie przeciw niéj ubezpieczyć. Właśnie najwłaściwsza ku temu zdarza się teraz pora. Samo nasze nieszczęście nam ją nastręcza. Ostatnia katastrofa wcisnęła nasze życie w daleko węższe koryto, rozproszyła mnóstwo złudzeń, otrzeźwiła nas a przynajmniej otrzeźwić powinna, przerwała zasnute wątki prac najważniejszych, prawie wszystkie trzeba z nowa poczynać od pierwszego ściegu. Osobliwie też dziennikarstwo może a nawet musi począć od nowego. Jego trudy, przepowiednie, rachuby spełzły na niczém. Cel oczywiście pozostaje ten sam, ale dobro narodu wymaga aby się zastanowiono nad wyborem środków i sposobów, nim się nowa praca zawiąże. Łatwo przewidzieć że po chwili odrętwienia, ruch dziennikarski wzmoże się u nas z podwójnym zapałem. Jeźli prasa pod rządem rosyjskim podupadnie, a nawet całkiem zniszczeje, to na odwrót można się spodziewać że Kraków, Lwów, Poznań, i emigracya, nie będą narzekały na brak dzienników. Oby ich tylko nie miały za nadto, bo wtedy wewnętrzne spory i jałowa polemika, między zbyt rozmnożonymi współzawodnikami, nie wzmocniłyby nas, ale owszem ująć-by nam sił musiały. Podwójnym przeto byłoby obowiązkiem zgodzić się u wstępu na pewien kodeks publicystycznéj moralności.

Do przygotowawczych w téj mierze rozmyślań, chcielibyśmy i my kilka uwag dorzucić, zwłaszcza że od lat dwudziestu nieraz przychodziło nam wskazywać naszym dziennikom na jak lekkomyślne, że nie powiemy zgubne, puszczały się tory. Może nie bez pożytku w téj mierze będzie, jeżeli najprzód rozpatrzymy się, do jakiego rozwoju nasze dziennikarstwo przed ostatniemi wypadkami przyszło. Nie mogąc szczegółowo tak obszernego roztaczać przedmiotu, wezmiemy dwa najświeższe i najcelniejsze w tym zakresie objawy. Mówimy *przed ostatniemi wypadkami*, gdyż trzech dopiero co ubiegłych lat nie podobna brać w rachunek, były to lata anormalne, w których pisma publiczne pod rządem rosyjskim zamilknąć musiały, a wszystkie inne niepojęty szał i dziwne ogarnęło złudzenie.

III.

Po roku 1831 dziennikarstwo polskie straciło wszelkie znaczenie. Zostały tylko ramy dla pomyślniejszych czasów. Znaczenie to ożywiło się w 1848 r., ale nie w Warszawie, tylko tam kędy przeciągnął powiew swobody, to jest w Krakowie, we Lwowie i Poznaniu. Wnet znowu zdro-

bniało pod naciskiem wracającéj samowoli rządów. Z rozbicia uratował się tylko jeden *Czas*, który znamienitym taktem i doborem redaktorów zdołał utrzymać się na zajętém stanowisku.

Ale właśnie wtedy gdy dziennikarstwo omdlewa w Galicyi i Poznańskiem, wzmaga się ruch onego w Warszawie. Popęd ku temu daje Henryk Rzewuski założeniem *Dziennika Warszawskiego*. Wprowadza on nowe żywioły do swego pisma, spaja go silniéj z pracami umysłowemi w Europie, podnosi stronę literacką, wciąga w prąd kraj cały za pomocą licznych korespondencyi, a co najważniejsza, stawia zasadę swemu organowi i daje mu wyraźną barwę. Kolor ten jednak był za nadto silnym i przeciwnym usposobieniu narodowemu. *Dziennik* musiał upaść, ale dany przezeń popęd już się nie wstrzymał. Na jego gruzach powstała *Kronika*. Z najzacniejszych pobudek i w wzniosłych pojęciach podjęta, rozchwiała się brakiem doświadczenia redaktorów, po większéj części literatów dopiero poczynających, nieładem w zbytecznéj obfitości materyałów, i niejednością kierunku. Natomiast *Gazeta Warszawska*, pobudzona współzawodnictwem *Dziennika*, przyswoiwszy sobie wszystkie ulepszenia przezeń wskazane, przyciągnąwszy do siebie najcelniejszych w kraju pisarzy, przy staranności i większéj jednolitości w redakcyi, przy rozmaitości dobrych korespondencyi z kraju i zagranicy, wreście przy zręczności w obchodzeniu się z cenzurą, prześcignęła daleko wszystkie warszawskie codzienne pisma, i zyskała taką liczbę prenumeratorów, jaką dotąd ani w zbliżeniu żadne inne poszczycić się nie zdołało. Ściśléj jednak zasady nie można się było w niéj dopatrzeć. Ta, którą jéj podsuwano, była tylko domysłem, powziętym raczéj ze stosunków osobistych głównego redaktora, z przemysłowego jéj antagonizmu najprzód przeciwko *Dziennikowi* a następnie przeciw *Kronice*, niż z jakich wyraźnych oświadczeń. Skutkiem miejscowych okoliczności, wszystkie nasze dzienniki pod rządem moskiewskim były w téj epoce jak najprzeważniéj literackiemi, a że do *Gazety Warszawskiéj* pisywali najgłówniejsi nasi autorowie, więc téż najrozleglejszą posiadała wziętość.

Rozbudzone wszędzie po wojnie włoskiéj w 1859 życie polityczne silnie wpłynęło i na nasze dziennikarstwo. Literatura poczęła coraz bardziéj z jego kolumn ustępować, a polityka i kwestye żywotne coraz śmieléj się wychylają. Romans z feljetonu znika prawie całkiem. Wszędzie powstają nowe dzienniki, a dawne przeobrażają się. W naszéj prowincyi zjawia się *Dziennik Poznański*, we Lwowie *Przegląd Powszechny*, na Litwie *Kuryer Wileński* przybiera nową i wspanialszą lubo wątpliwą co do ducha postać, a nawet daleko za granicami kraju, w Petersburgu przemawia *Słowo*, w Paryżu *Wiadomości Polskie*. Natężone oczekiwanie i zadziwiająca liczba prenumeratorów, które powitały samą zapowiedź *Słowa*, dowodzą jak naród pragnął ogniska, gdzieby się promienie ze wszystkich rozerwanych dzielnic wzdychającéj za jednością ojczyzny zbiegały. Skwapliwość zaś i uniesienie z jakiemi chwytano i czytano każdy numer *Wiadomości*, okazywały ile naród czuł potrzebę troskliwéj chociażby nawet nieco ostréj straży, któraby niekrępowana żadnemi względami i przymusem, głośno ostrzegała go za każdém zboczeniem, fałszywym kierunkiem lub podstępnem przedsiębiorstwem wśród téj ożywionéj działalności dziennikarskiéj. Głos téj straży, postawionéj zbyt daleko by mogła uledz posądzeniom stronniczéj namiętności lub miejscowéj zawiści, najlepsze wywarł skutki. Dzienniki poczęły się coraz bardziéj pozbywać lekkomyślnych swych pociągów, coraz głębiéj wzierać w duch i potrzeby kraju.

Tu zaszły dwa wypadki, o których, zwłaszcza o pierwszym, obszerniéj nam pomówić należy.

Wśród powszechnych około dziennikarstwa zabiegów, któreby może jeszcze daleko więcéj uskuteczniły, gdyby się wciąż nie rozbijały o podejrzliwość i nieprzełomny opór rządu, p. Kraszewski objął naczelną redakcyę *Gazety Codziennéj*. Rzutkość w pomysłach, nieporównany wdzięk i łatwość pióra, zadziwiająca rozległość wiadomości wszelkiego rodzaju, obszerność stosunków z literatami tak w kraju jak za granicą, przytém popularność, jakiéj mało u nas przykładów, wskazywały w nim człowieka wybranego do utworzenia nowéj i świetnéj epoki dla dziennikarstwa polskiego. Ale był on w téj dobie czémś więcéj. Są chwile, w których naród wzdychający do jedności kierunku nie pyta jak się do niego przemawia ale kto przemawia. Potrzebuje przedewszystkiém widzieć przed sobą człowieka. Pan Kraszewski zdawał się z wielu względów być przeznaczonym na to stanowisko.

Co innego przecież jest odzywać się z oddalenia, poruszać umysły zajmującemi powieściami, ognistemi listami lub natchnionym wierszem, prorokować z po za obłoku, a co innego zstąpić na bruk uliczny, i wśród szybko przepływających wypadków, dzień w dzień przynosić zebranemu na forum ludowi ukojenie, radę i sąd. Aby wtedy wpływ mógł być trwałym i zbawiennym, nie dość talentu, trzeba człowieka rzeczywistéj siły, człowieka charakteru. Otóż najżyczliwsi p. Kraszewskiemu wątpili czy te przymioty w dostatecznym posiada on stopniu. Fantastyczny, drażliwy aż do chorobliwości, zepsuty kilkoletnią dyktaturą literacką, troskliwy nad miarę o popularność, łatwo ulegający chwilowemu uniesieniu, pragnący wszystkim dogodzić a zatém chwiejny w zasadach, wzbudzał obawę że nie on prądem codziennym, ale prąd nim kierować będzie. Mniemano że może starczyłby jeszcze zwykłym czasom, zwłaszcza pod uciskiem, kiedy niczego wyraźnie i stanowczo się nie mówi, ale gdyby przyszły ruchliwsze chwile, prędko się zrazi, zużyje i złamie.

Na szczęście, znalazł on zaraz u wstępu w swym nowym zawodzie niespodziany opór, zawiść i obmowę. Przedsiewzięcie jego przyjęto w Warszawie i całym niemal kraju z niechęcią i podejrzliwością. Znalazło się półtorasta obywateli, którzy, aby mu dobitnie okazać tę niechęć, sprzeciwili się jego przyjęciu do Towarzystwa Rolniczego. Dość że, w nagrodę rzetelnego poświęcenia się, najpowszechniéj ulubiony dotąd pisarz zeszedł od razu na stopień niepopularnego dziennikarza. Nie uląkł się on jednak, ani ugiął. Próbę tę poczytaliśmy za opatrzną dla niego, a jego wytrwałość za doskonałą wróżbę.

Redakcyę *Gazety Codziennéj*, nabytéj przez p. Kronenberga w maju 1859, objął p. Kraszewski pod koniec lata tegoż roku. Właściwie przeobrażenie *Gazety* datować należałoby od listopada 1859, to jest od czasu, w którym dwójnasób rozszerzoną została. Format okazały, druk jasny i poprawny, papier piękny, porządek w rozkładzie, podniosły ją od razu co do zewnętrzności na stopę dzienników europejskich. Skrzętnie zbierane zewsząd wiadomości z dziedziny literackiéj, obfitość korespondencyi tak krajowych jak zagranicznych, część polityczna szczupła, lecz starannie redagowana, wzmogły wartość pisma wewnętrzną. Romans przestał samowładnie rozpościerać się w odcinku, ustępował miejsca obszernym rozbiorom krytycznym, obrazom dramatycznym, listom L. Wołowskiego o ekonomii politycznéj, opowiadaniom historycznym Szajnochy. Stał widocznie tylko w odwodzie na przypadek niedostatku. Dopiero też późniéj gdy cenzura stawała się coraz wybredniejszą, a zbyt obszernego formatu nie było czém zapełnić, czterotomowe naczelnego redaktora romanse (*Jasełka*,

Kopciuszek) rozwielmożyły się w felietonie. Zgoła wewnętrzne udoskonalenie postąpiło o tyle, o ile tylko karby cenzury dozwalały.

Ale nie w tém leżała główna zaleta nowéj redakcyi. Z wyjątkiem zewnętrznéj postaci, przymioty powyższe posiadała niemal w równym stopniu i *Gazeta Warszawska*. Oczekiwanie publiczne na coś innego, na coś ważniejszego zwróconém było. Z zaostrzoną ciekawością wyglądano w jakiéj formie i duchu p. Kraszewski zacznie kwestye żywotne traktować, boć dobrze rozumiano, że dla udoskonalenia dziennikarstwa w ciasnocie dotychczasowéj rutyny nie byłby z swego Olympu na poziom zstępował.

Jakoż od razu uwydatnił on objęcie redakcyi wprowadzeniem artykułu wstępnego. Choć rzadkie i tylko chyłkiem między innemi pojawiające się, ograniczone do spostrzeżeń ogólno-moralnych, artykuły te z chciwością chwytała publiczność, nadstawiając domysłem to, czego pisarz w obec podejrzliwości władz wyrazić nie mógł? Przedmiotem pierwszych w tym rodzaju rozpraw była *Praca*. Tu autor *Chorób Wieku* zmienił się od razu z przeciwnika na zwolennika postępu w zakresie materyalnym, zaczął głosić konieczność krzewienia zasobów i bogactwa narodowego, wykazywać obowiązek jak najspieszniejszego podążania w rolnictwie i przemyśle za doświadczeniem i ulepszeniami krajów zachodnich. *Gazeta Warszawska*, zagrożona nowém współzawodnictwem, pochwyciła ton dawnych swego przeciwnika deklamacyi na temat: Ducha nie gaście. Dzielnie odpierał on te napaści, naznaczając właściwe granice duchowości i materyalizmowi, dowodząc że postęp w jedném nie sprzeciwia się bynajmniéj postępowi w drugiem, owszem że oba wzajemnie się wspierają i że bez silnéj materyalnéj podstawy sam duch podnieść i wskrzesić narodu nie zdoła. Stanowisko jego w téj mierze najlepiéj następujące oznaczyły słowa:

„Łaknąć wiedzy i wytrwałą pracą do niéj dochodzić, wydzierać naturze praw jéj tajniki, badać materyę, by ją opanować, posługiwać się przemysłem, by władzę człowieka nad martwym spotęgować światem — to żyć duchowo.

„Lecz nie tak pono rozumieją życie duchowe i materyalne owi krzykacze, co straszą społeczeństwo nasze widmem materyalizmu.

„Kto niema odwagi do wypowiedzenia swego zdania, trzyma zawsze z większością — to materyalista.

„Mówić im o pracy — to materyalizm.

„Przywiązywać wielką wagę do nauk społecznych, do rozwiązania kwestyi ekonomicznych — to materyalizm.

„Badać przyrodę, zajmować się naukami ścisłemi — to materyalizm.

„Deklamować pogardliwie o pieniądzach, to dowieść już bezinteresowności, — wspomnieć o bogactwie narodowem, o handlu, to żądza bezwzględna zbogacenia się, giełda, ażioterstwo!

„Wtórować ich krzykom, wołać: duch, duch! — to żyć duchowo.

„Nie powtarzać za niemi — to materyalizm nie do przebaczenia.

„Schlebianie ogółowi jest u nich narzędziem najmilszém, co każdą wadę w cnotę zamienia, każdą mierność talentem, a talent genjuszem mianuje.“ [1])

Ten jeden szczegół da poznać jakie redaktor zajął stanowisko co do spraw wewnętrznych. Polityki zagranicznéj nie wolno było w owe czasy dziennikom warszawskim roztrząsać. Natomiast znajdowały one ku temu

---

[1]) Tu wypada nam dla własnéj obrony i stwierdzenia naszych przekonań następujące przyłączyć przypomnienie.

Myśmy ani w części tak gromko i bezwzględnie jak w powyższym artykule nie występowali przeciw *Chorobom Wieku*, przedstawialiśmy tylko

obszerne pole w korespondencyach, którym nie wzbraniano rozprzestrzeniać jak najradykalniejszych zasad, byle tylko Polski i Rosyi nie tykały. O niedostatkach i zboczeniach korespondencyi do naszych dzienników nieraz już mówiliśmy. Do podniesienia na nowo tego przedmiotu upoważnia nas ta okoliczność, że p. Kraszewski wyjechawszy za granicę w rok po objęciu redakcyi, sam został korespondentem swego pisma. Sześćdziesiąt sześć listów, które zamieścił w *Gazecie* uważać więc można jako tyleż artykułów wstępnych wykładających jego przekonania w zakresie wypadków europejskich. Góruje w nich oczewiście sprawa włoska, a w szczególności sprawa papieska, tém wyłączniéj że najdłużéj bawił we Włoszech. Ze smutkiem ale bez zdziwienia ujrzeliśmy w nim stanowczego przeciwnika władzy świeckiéj papieża.

Z chlubnym przeto wyjątkiem, jaki przedstawia *Czas* (i to tylko w artykułach wstępnych i korespondencyach paryzkich pod literą E), *Wiadomości Polskie*, przytém pisma przedmiotom religijnym wyłączniéj poświęcone, a prócz chwilowych usterek może i *Nadwiślanin*, całe zresztą dziennikarstwo polskie skojarzyło się przeciw władzy świeckiéj papieża. Bolesny to fakt ale na nic nie zda się ani taić go ani znaczenia mu odmawiać. Przekonani jesteśmy że Polska kiedyś tego głęboko żałować będzie. Bodajby tylko srogo nie odpokutowała. Ale zgodność ta większości pism naszych politycznych nie jest żadnym dowodem iżby prawdę miały za sobą. Nieraz już widziano całe narody pogrążone w najzgubniejszem omamieniu. Ani też znaczy ona iżby naród nasz albo nawet większość onego przystawała na wywłaszczenie papieża. Lud, duchowieństwo i znaczna część szlachty nie osłabły bynajmniéj, owszem wzmogły się pod naciskiem ostatnich wypadków w przywiązaniu do stolicy apostolskiéj. Mniejszość nadrabia ruchliwością i hałasem.

W sprawie więc papieskiéj dziennikarstwo nasze przedstawia to samo oblicze co prasa zagraniczna. Przyjęto też od niéj cały tryb postępowania. Tak samo na dany znak wszystkie swe ewolucye odbywa jak ona. Nie od dziś przecież datuje oziębłość dla kościoła w pewnéj części naszego spółeczeństwa. Uniesienie dla niepodległości Włoch, entuzyazm dla zjednoczenia półwyspu

---

jak najłagodniéj przesadę, z jaką autor powstawał przeciw wszelkim ulepszeniom na wzór zagraniczny, a zastałość i nieład krajowy ubarwiał poezyą tradycyi i wdziękiem rodzinnéj serdeczności. I jakąż odebraliśmy odpowiedź? Także: Duch! Duch! Zarzucono nam *bezwzględną żądzę bogacenia się, materyalizm nie do przebaczenia*, okarżono nas że wiedziemy do *wynarodowienia i ostygłości*, że schlebiamy szlachcie a *chłopa nie mamy za Boże stworzenie, niedopuszczając mu podnieść się nawet cnotą ku Bogu, a w raju mu miejsca zazdroszcząc.* Owczesną polemikę z nami autor *Choréb Wieku* zakończył temi wyrazy: „Kto z nas ma słuszność, „powie przyszłość. Mówiono dawniéj że płakać i manifestować się wszyst- „kim wolno. My tylko płaczemy i manifestujemy, przyjmcie manifest do „akt, sprawę kto inny osądzi.“ Otóż ta przyszłość przysunęła się ku nam prędzéj niż ktokolwiek mógł przewidywać. Sprawę osądziła *Gazeta Codzienna*. Sowicie wynagrodzeni i zaspokojeni wyrokiem, zwracamy manifest powodowi.

Przeciwnicy p. Kraszewskiego szli coraz daléj. Z zarzutów przeciw artykułom o postępie materyalnym wywinęło się oskarżenie że redaktor *Gazety Codziennéj* podpiera panoszącą się szlachtę a na dolę ludu oczy zamyka.

On est toujours puni par où on a péché.

italskiego nie stworzyły u nas téj obojętności dla kościoła, tylko ją odsłoniły. Wielkie przemiany, głębokie wstrząśnienia, nie czynią od razu człowieka złym albo dobrym, ale jakim jest wykrywają. Rana ta oddawna rozpościerała się w naszym organizmie. Nie dawały jéj się zagoić, owszem rozszerzały ją w jednych resztki wolterjanizmu, w drugich mrzonki filozoficzne i radykalne, w innych jeszcze jad niewoli, a ztąd nienawiść ku wszelkiéj władzy i powadze, wreście żądza byle jakiego ruchu, im gwałtowniejszego tém lepiéj, — wołająca: niech się świat łamie, bo może z tych ruin wyjdzie odrodzona Polska. Zakrywały tę ranę instynktowy popęd koniecznéj dla nas polityki w obec schizmy i protestantyzmu, uczucie przyzwoitości w obec głęboko wierzącego ludu, nawyknienia z młodości przechowane, — wreście jakiś czułostkowy, artystyczny, malowniczy katolicyzm, bez którego osobliwie nasi poeci i literaci niemieliby barw i dekoracyi dla swych utworów. Nie dziw więc, że za pierwszą ciężką próbą musiało istotne usposobienie wyjść na jaw. Przeciwnicy nasi mówią: ależ my nie powstajemy przeciw władzy duchownéj papieża, a władza świecka nie jest dogmatem. Prawda. Lecz ktoby wyłamywał się i z pod władzy duchownéj, ten już nie byłby katolikiem, a wtedy tém samém wszelki z nim spór w tym przedmiocie upadłby od razu. Nie dość téż jest dla katolika trzymać się tylko dogmatu, trzeba pojmować duch, przeznaczenie kościoła, wspierać go czynną miłością, radować się z każdéj jego pomyślności, wzrostu potęgi, boleć nad każdym jéj uszczerbkiem, zgoła tak czuć, pojmować nasze obowiązki względem kościoła jak nasi ojcowie czuli i pojmowali. Walka, którą od lat dwódziestu toczymy w naszém piśmie, nastręczyła nam aż nadto sposobności przekonania się ile te pojęcia i uczucia zatarły się osobliwie u literatów naszych. Byliśmy przeto przygotowani na tak zdrożne wystąpienie dziennikarstwa polskiego. Aleśmy się spodziewali po niem więcéj bezstronności i umiarkowania. Mieliśmy nadzieję, że przynajmniéj obojętnie się zachowa, że poświęciwszy idei zjednoczonych Włoch własność i niepodległość Ojca św. nie zrzecze się tak łatwo sądu o środkach użytych ku urzeczywistnieniu téj idei, że niedopuści do swych kolumn kłamstw i oszczerstw na rządy papiezkie, że bezstronnie podawać będzie z obu stron dostarczane akta w toczącéj się sprawie, że pomnąc na dzieje własnego narodu nie odmówi szacunku obrońcom upadającym w tak nierównéj walce, i że pamiętając jak naród nasz stał się ofiarą faktu dokonanego i tak zwanéj konieczności politycznéj, nie tak chętnie tu upadnie na kolana przed zasadami przemocy. Stało się wręcz przeciwnie. Głęboko bolejemy, a tém głębiéj im wznioślejsze umysły widzimy porwane w ten odmęt szału i niesprawiedliwości.

P. Kraszewskiemu nie służy nawet wymówka iż olśniony został tryumfami Piemontu i porwany niespodziewanem powodzeniem idei zjednoczenia włoskiego. Kierował się on od początku powziętym z góry zamiarem. Dawny korespondent rzymski *Gazety* wspomina w *Tygodniku Katolickim* (Nro 37 z 1860) jak p. Kraszewski, skoro tylko widoczném się stało, że Piemont mógłby pochłonąć posiadłości kościelne, nakazywał mu występowanie przeciw władzy świeckiéj papieża, dając za powód że inaczéj *Gazeta* straciłaby wielką liczbę prenumeratorów. Jakżeż to biedny powód, jakżeż ostać się może w obec owych szumnych redaktora frazesów o godności dziennikarstwa? Pod naciskiem opinii publicznéj nie wyparł się on pana Kronenberga, a wyparł się papieża. Zajście to z korespondentem rzymskim rozgłosiło się po kraju. Redaktor ujrzał się zmuszonym do odpowiedzi. Odpowiedział swoim sposobem. Zarzuca korespondentowi namiętność i stronniczość, udawanie świętoszka, a wreszcie powiada że zdań sobie przeciwnych nie mógł *opłacać*. Gdzie tu godność, gdzie miara?

Redaktor skłonił następnie jednego z najznakomitszych naszych literatów, serdecznego przyjaciela Włoch ale sumiennego człowieka (Juliana Klaczkę) do podróży po Włoszech i przesyłania ztamtąd korespondencyi do Gazety. *Listy Włoskie* obudziły niezmierną ciekawość. Z niecierpliwością wyglądano rychło korespondent przybędzie do Rzymu i co powie o sprawie papiezkiéj, ale rzecz dziwna, właśnie na Rzymie listy te nagle się urwały. Pozostały więc w *Gazecie* liczne z Włoch i Francyi korespondencye ale wszystkie jak najściśléj trzymające się drogi wytkniętéj przez głównego redaktora. Sam on wreście objął przewodni głos wśród tak zgodnego chóru. Listy jego są nieprzerwanym dytyrambem na cześć Piemontu. Zgromadza wszystko co tylko można powiedzieć na korzyść tryumfujących zaborców. Żaden gwałt, żadne wykroczenie z ich strony nie znajduje u niego słowa nagany. Przeciwnie o Rzymie, zbiera jak najskrzętniej z dzienników piemonckich najdrobniejsze plotki i oszczerstwa. Nie przytacza ani jednego faktu, ani jednego dokumentu, a było ich tyle, na obronę Rzymu. Wojsko papiezkie u niego są same najemne bandy. Irlandczycy przyszli bronić papieża tylko dla pieniędzy, i żeby się bić przeciw Anglikom pomagającym Garibaldemu. Lamoricière jest wysłańcem koalicyi absolutystycznéj. Po rozbiciu wojsk papiezkich znajduje on dla tego dobre przyjęcie w Rzymie „że tak prędko i ładnie poddał Ankonę...“ „Biją medal na cześć jego jako „miłe wspomnienie z powodu samego bicia.“ Montalembert dla tego występuje w obronie stolicy apostolskiéj, aby na siebie zwrócić uwagę świata, który go zapomniał. *Armonia*, (która w Turynie w obec rządu i hałasów ulicznych tak szlachetnie i odważnie ujmuje się za papieżem) nosi maskę i kapelusz Don Basiliów według naszego sprawozdawcy. Ale *Gavazzi* (Nro 274) to prawdziwy apostół, to bohater! Redaktor pomija milczeniem okrucieństwa i nadużycia wojsk piemonckich, ale za to jakżeż głośno dzwoni o rzezi w Perudżyi. Jakżeż znowu się smuci i oburza na pogłoskę, że Francuzi mają zająć Marchie i Umbrię. Władzy świeckiéj na którą się tyle wieków składało, daje bardzo lekką odprawę. Powtarza ciągle, że posiadłości kościelne do nowo tworzącego się państwa należeć koniecznie *muszą*. „Nieuchronny ten wypadek sprowadzi reformy, wyro„dzi nowe położenie, ale jest-że kto, coby śmiał ręczyć że pierwsze nie „pójdą na pożytek kościoła, a drugie nowéj mu nie nada potęgi? Są „co mówią że niezależność kościoła od tego zależała. Lecz byłaż ona kiedy „taką by ją tém imieniem nazwać można?“ Ależ sam papież i biskupi całego świata muszą wiedzieć lepiéj niż p. K. co daje najpewniejszą rękojmię niezależności stolicy apostolskiéj. Na to odpowiada redaktor jakby z litości, że papież o niczém niewie, niczego nierozumie. „Pius IX uległ „troskliwéj opiece ludzi co ciężar rządów dźwigać się za niego obowiązali. „Ci ludzie. którzy są wszystkiego złego przyczyną, co niedosięgli wysokości „Chrystusowéj nauki, i świecką swą mądrość wzięli za przewodnika, nie„dosyć że sprowadzają na ojca św. wszystko co cierpi, jeszcze odpowie„dzialność swych czynów, słów swoich i myśli, rzucają na jego barki, tą „szatą jak płaszczem Chrystusowym okrywając ramiona głowy kościoła.“

Jakżeż podobne zdania i wyroki dadzą się pogodzić z artykułami *O władzy sądzenia*, *Czasy wątpliwości*, *Jak zapatrywać się na świat i ludzi*, *Sądy ludzkie etc.* Z listów tych nic prawie nie ostałoby się gdyby je przymierzyć do prawideł, które innym tak wymownie ich autor przekłada. Nic łatwiejszego jak prawić ogólniki moralne. Ale niech tylko zadrgnie namiętność, spadamy jeszcze niżéj od tych, ktorych moralizowaliśmy. Video meliora proboque, deteriora sequor. Pan Kraszewski jako redaktor *Gazety*, okazał się w polityce na tym dopiero stopniu, na którym

był w romansopisarstwie gdy wydawał *Pana Walerego* i *Cztery Wesela*. Zmieniał on tyle razy swe kierunki, posiada tak wielki dar kształcenia się, iż należało się spodziewać, że niebawem i w polityce wiele jeszcze postąpi. Ale, jak bohaterom Byrona, brakło mu czasu. Nadeszły wypadki połyskujące nadzieją. Gazeta *Codzienna* przemieniła się na *Polską*, właśnie wtedy gdy o politycznych polskich sprawach zakazano dziennikom w Królestwie mówić, a o wszelkich innych nikt słyszeć ani czytać nie chciał. Z każdym więc dniem poczęła słabnąć. W końcu, gdy nadeszła druga, groźniejsza doba wypadków, i gdy położenie każdego głośniejszego człowieka poczęło się stawać coraz trudniejszém, p. Kraszewski opuścił redakcyę, zostawiając tylko wspomnienie, jak w wielu innych zawodach, szlachetnych chęci, ogromnych zdolności, ale skutku nieodpowiedniego ani jednym ani drugim.

Dziennik Lwowski *Głos* wzbudził wielkie oczekiwania. Część umiarkowana narodu była tém przychylniéj ku niemu usposobioną, im niesprawiedliwsze posądzenia i niechęci spotkały go na samym wstępie, a nawet uprzedziły pierwsze jego przemówienie. Rzecz dziwna, ci sami, którzy u nas tak usilnie zachęcają do pisania, stawiając obfitość literatury za miarę życia narodowego, którzy lada młodocianą próbę pióra uważają za wzbogacenie literatury i zasługę patryotyczną, ci sami, skoro ich przeciwnicy zamierzą stworzyć sobie organ, wznoszą krzyk na sprzysiężenie, na koteryę, na podstępny zamach przeciw dobru powszechnemu. W tym razie jeden tylko zarzut miał po sobie niejaką słuszność. Gdy nastała pora, w któréj trudno było pisać, stronnictwo umiarkowane w Galicyi umilkło, zeszło z pola publicystyki, zostawiając je w wyłączném posiadaniu ruchliwszych pisarzy. Powinnością zaś obywatelską jest w złéj i dobréj doli nieść zawsze chorągiew swych opinii górą a przodem, o ile można, a kiedy nic już nie można, to przynajmniéj utrzymywać stanowisko do lepszych czasów, aby od razu wystąpić, gdy pomyślna pora zabłyśnie. „Walczyć (mówi Pan de Falloux) nie jest to jeszcze bynajmniéj pewnym być zwycięztwa. W każdym przecież razie jest to pierwszym do niego warunkiem. Prawda posiada ukryte i niespodziane zasoby. Siły jéj niedadzą się nigdy z góry obliczyć. Rośnie ona wśród zapasów. Bóg to bowiem wznieca jéj sprzymierzeńców. Dzieje pełne są tryumfów, których punktem wyjścia było trochę męztwa, trochę poświęcenia i trochę ufności w pomoc Bożą. Człowiek choćby tylko pojedyńczy, który się samego siebie nie zaprze i gwałtu swym przekonaniom nie czyni, dopełnia zbawiennego posłannictwa i rzeczywistą przysługę ojczyznie oddaje. Kładzie on kamień tymczasowy, przechowuje depozyt i przekazuje przyszłości protestacyę i nadzieję.“

Wprawdzie stronnictwo umiarkowane miało *Czas*, ale ten zbyt na skrajnym punkcie położony, nie wystarczał dla środkowego ogniska, dla Lwowa. Pojawienie się *Głosu* winno było być powitaném jako nowy pojaw budzącego się życia. Walka stronnictw, byle w narodowych szrankach zawarta, jest onego żywiołem. Ale tu niechodziło o stronnictwa ale o wyłączne przewodnictwo, o samowładztwo. Wystawiano sobie, że primus occupans już tém samém jest naczelnym dowódzcą.

O programacie *Głosu* już wspomnieliśmy w dawniejszym poszycie i daliśmy zeń obszerny wyjątek. Z wielkiem umiarkowaniem i oględnością napisany, nie uniknął przecież zaczepki. Oburzono się na to, że postawił na swém czele *sprawę religii i kościoła*. Inny znowu ustęp, w którym dziennik ten przyrzekał, że będzie gorliwie obstawać za tém, aby w stosunkach między szlachtą a ludem wiejskim „miejsca dawnéj pa-

trimonialności nie zajęła martwa obojętność, ale przeciwnie, ażeby wspólnością celów natchnione, utrwalały się ciągle z jednéj strony żywe poczucie się do obowiązków opieki, pomocy i rady, a z drugiéj życzliwość i zaufanie," — obwołano jako podstępnej przygotowanie do przywrócenia dawnych przywilejów i ujarzmienia włościan. I *Głos* więc musiał przejść na wstępie przez ogniową próbę. Zdało się, że właśnie tylko tego mu brakło by go wzmocnić i utwierdzić w wyjawionych przezeń zasadach, a zarazem przekonać, z jakiem to umiarkowaniem i bezstronnością trzeba ważyć słowa i czyny nieprzyjaciół i jak śliską jest droga podejrzeń i nienawiści. Ale zaraz w pierwszych numerach *Głos* zdradził nie męską drażliwość, odcinając się ząb za ząb swym przeciwnikom i zniżając się aż do osobistości. Zamiast spokojnie czekać, pomijać milczeniem niesłuszne zaczepki, jął bez wszelkiéj miary rozpędzać się na wszystkie strony, jak gdyby usiłował rozbroić swych przeciwników okazaniem, że jeszcze daléj od nich pójść potrafi. I tak, opuścił legalną podstawę i zaczął o wskrzeszeniu dawnéj rzeczpospolitéj junacko rozprawiać, przez co naraził się na kilkokrotne upomnienie ze strony rządu i stracił a przynajmniéj nadwerężył ten wpływ, który mógł mieć na ważące się właśnie pod ten czas w Wiedniu losy autonomii krajów koronnych. Przyswoiwszy sobie ze słownika demagogicznego całą nomenklaturę polityczną, nieprzestawał miotać bez pomiarkowania wstecznością, reakcyą, obskurantyzmem i t. d. W sądach o sprawie włoskiéj ten sam brak powagi. Nie dość że cieszył się z upadku króla neapolitańskiego, ale po dziecinnemu naigrawał się mu, naprzykład do opisu jak jeden z jeńców burbońskich wrzuconym został przez lud genueński w morze, lecz wyratowanym, dodając arcydowcipną uwagę, że będzie pewnie wisiał, kiedy nie utonął. W sprawie papiezkiéj jeszcze gorzéj. Z góry ogłosił że władza doczesna stolicy apostolskiéj na zawsze upadła i że już nic jéj nigdy podnieść nie zdoła. Zamieszczając jedynie to w swych kolumnach, co najradykalniejsze dzienniki piemonckie podają, nie tylko żadnych faktów ani dokumentów wychodzących z Rzymu nie przytaczał, lecz zbywał je szyderstwem i obelgami. Przyjmował korespondencye doradzające narodowi polskiemu, aby zbierano u nas adresy nakłaniające papieża do zrzeczenia się władzy doczesnéj. Słowem, w kwestyi téj szedł w parze z swemi przeciwnikami. I czy ich tém rozbroił? Bynajmniéj. Nie przestano mu zarzucać służenie możnowładztwu, przywilejom, ciemnocie, przesądom, „lokajstwo i Targowicę." Z pod nóg swych podciął najsilniejszą swą podporę. Zraził swych przyjaciół, zwłaszcza duchowieństwo, a z przeciwnéj strony nikogo sobie nie zyskał.

Zgoła we wszystkich kolumnach tego dziennika widać było wielki nieład, rozprzężenie w układzie, jak gdyby każdy wydział miał osobnego kierownika nieznoszącego się z innymi, działającego samopas. Założyciele, znani z swych imion i zasług, dawali rękojmię umiarkowania i powagi, ale zdaje się jakoby ułożywszy program, sami niepochopni do pióra lub innemi zajęciami odrywani, powierzyli dalsze onego rozwijanie pierwszym lepszym młodocianym literatom, okazującym może zdolności pisarskie ale nowicyuszom w polityce.

Nie dziw więc, że niebawem nawet ciekawość publiczna, która wszelką nowość otacza, poczęła się od tak niewykształconego *Głosu* usuwać. Słabnął też i niknął z dnia na dzień, jak w galopujących suchotach. Widząc niechybny swój upadek, zamierzył przynajmniéj skończyć z rozgłosem. Wystąpił z artykułem tak jaskrawym, że w obec zasad porządku i umiarkowania, które sobie w programacie założył, trudno w nim się było dopatrzeć innego celu jak zmuszenie rządu do zadania śmiertelnego ciosu temu, co już samo z siebie żyć przestawało, i opromienienia tym sposo-

bem pogrobowéj jego pamięci. Można to było uczynić mniejszym kosztem. Figiel ten, czyli jak wtedy nazwano, końcowy fajerwerk, główny redaktor opłacił kilkoletniém więzieniem, a w pamięci rodaków zostało tylko przekonanie, że umiarkowane stronnictwo w Galicyi, (*Czas* był zawsze więcéj ogółowo-polskim, więcéj krakowskim niż galicyjskim), na żaden trwały organ zdobyć się nie może.

IV.

Dwa te ostatnie, tak wiele obiecujące, a tak w skutku drobne i nikłe objawy dziennikarstwa polskiego, naprowadzają nas od razu na główny powód i źródło niepowodzenia dotychczasowych usiłowań w téj dziedzinie. Powodem tym jest brak wyraźnych i stałych zasad, a ztąd brak jedności kierunku.

Człowiek dobréj wiary wywieszający śmiało swą chorągiew, stojący przy niéj wytrwale, z wyrozumiałością dla przeciwników ale bez lekkomyślnych i tylko pozornych ustępstw, choćby nawet jego zasady były fałszywemi i zgubnemi, zawsze mniéj jest szkodliwym niż polityczny korsarz, co pod nieswoją banderą żegluje.

Nic fatalniejszego nad mieszaninę prawdy z fałszem, zwłaszcza gdy to, co nam się fałszem wydaje, używamy za pokrywkę tego, co za prawdę uznajemy. Nieraz już powtarzaliśmy, że dobro w spółce ze złem traci zawsze prawie całą swą wartość, a złe w dwójnasób potężnieje, bo się pod pożyczonemi u swego towarzysza wkrada pozorami.

Mówimy tu nie o prawdzie absolutnéj, ale o względnéj, radykalnéj dla radykała, konserwatywnéj dla konserwatysty. Otóż tak samo grzeszy pierwszy, jeźli dla rozpowszechnienia swych doktryn przybiera się w maskę religijną, schlebia szlachcie, udaje odrazę do wszelkich gwałtów i przewrotów, jak drugi gdy dla miłéj zgody wchodzi w sojusz z żywiołami nieporządku, czyni ustępstwa w zakresie prawd wiecznych religii i moralności, nie staje w obronie kościoła, ugina się pod terroryzmem szumnych frazesów o patrjotyzmie i zbawieniu ludzkości, zgoła ugania się za popularnością i poklaskiem ulicy.

Ludzie dobréj wiary z wybitnemi zasadami, i w tym i w tamtym obozie, prędzéj się zrozumieją, prędzéj jeden drugiego przekona i nawróci, a jeźli zagrzmi hasło do czynu, pójdą ręka w ręką, odłożywszy na bok swe systemata.

Jeźli zaś gdzie ta wyrazistość i jednolitość zasad, tudzież konsekwentne onych przeprowadzenie w szczegóły bieżącéj polityki, jest i łatwém i niezbędném, to w tém dziennikarstwie, które uznaje przewodnictwo religii i moralności chrześciańskiéj. Łatwém jest, — bo nauka kościoła, który jest uosobieniem pierwszéj a podstawą drugiéj, przewidziała wszystko, postawiła regułę na wszelki przypadek, rozwiązała najzawilsze trudności. Jest niezbędném, — ponieważ wszystko tak się szczelnie tu trzyma, że gdy się jedno ogniwo skrzywi, cały się łańcuch niepowrotnie rozpada.

Concordia discors, wszędzie szkodliwa, tu najzgubniejszą jest. Chrońmy się najdrobniejszych zboczeń, unikajmy wszyscy podobieństwa z tym Belakwą z czyśca dantejskiego, który doszedłszy do samych stóp góry oczyszczenia, wzbrania się, przez jakąś tchórzliwość czy lenistwo duchowe, pomknąć do końca, i traci całą zasługę swych trudów.

Atoli nie dość spójności zasad w jednym, głównym oddziale dziennika. Powinna ona w każdym szczególe odbijać. Niech się odcinek nie odpacza od przeglądu politycznego, niech korespondencye nie podkopują dążności i wpływu artykułów wstępnych.

Tu natrafiamy na przedmiot, którego ścisłe określenie i wprowadzenie w należyte karby może się najwięcéj przyczynić do podniesienia działalności dzienników naszych, chroniąc je od chwiejności i zapobiegając niepotrzebnym starciom między niemi.

Ważną, może najważniejszą dziś częścią dziennikarstwa są korespondencye zagraniczne. Skoro kto zakłada dziennik, najprzód stara się o korespondentów. Niektórych gazet naszych, zwłaszcza warszawskich, korespondencye są jedyną zaletą i powabem. Zadanie to nie tylko ułatwionem, ale wyraźnie wskazanem do pochwycenia zostało już przez to samo, że niema obcego kraju, w którymby liczni Polacy nie przemieszkiwali. Emigranci więc stali się z powołania swego korespondentami. Jest w tém i dobra i zła strona. Dopóki korespondent taki ogranicza się do objaśniania kraju o stosunkach zewnętrznych, do podawania mu wiadomości użytecznych, zdolnych podnieść u nas dobrobyt i oświatę, do utrzymywania osobliwie czujnéj straży nad położeniem sprawy naszéj u obcych narodów i rządów, dopóty oddawać będzie znakomitą ojczyznie przysługę. Ale skoro przekroczy tę granicę, skoro ośmieli się narzucać krajowi wyobrażenia w całkiem odmiennych od naszego organizmach społecznych wylęgłe, przenosić swary emigracyjne na rodzinną ziemię, mięszać się do naszych spraw wewnętrznych, zgoła przewodzić we wszystkiém jakoby z urzędu i wyższego stanowiska, wychodząc z tego uroszczenia, że każdy obywatel w kraju przedstawia tylko swoją miejscowość, a każdy wychodziec reprezentuje całą Polskę, wtedy taki korespondent staje się szkodliwym natrętem, krzewicielem niezgody i zgubnych pojęć w narodzie.

Przyznajemy, iż jest mnóstwo powodów, dla których korespondenci muszą być bezimiennemi. Właśnie też dla tego tém ściśléj powinno być ich zadanie ograniczoném. Redaktorowie, miejscowi współpracownicy jakiego dziennika, są znani jeśli nie wszystkim, to najprzód niezawodnie swym współzawodnikom w publistyce, a wreście każdemu, co bierze żywszy udział w sprawach krajowych. Ztąd oprócz odpowiedzialności przed opinią publiczną, baczność na swe osobiste stanowisko i dobre imie, chronią ich zwykle od nierozmyślnych rozbiegów. W codzienném stykaniu się ze swemi przeciwnikami, w niejednokrotném uczestniczeniu w neutralnych z niemi pracach albo zebraniach towarzyskich, obok możebnych z niemi związków czy familijnych czy przez wspólnych przyjaciół, nabierają względności dla nich, a sama uprzejmość towarzyszka zaciera szorstkość politycznych zapasów. Tymczasem korespondent zdala nie zna tych wszystkich hamulców, przedstawia sobie złe stokroć czarniejszém, przeciwników nierównie gorszymi niż są w istocie. Odłączony od kraju, coraz mniéj świadom położenia i potrzeb jego, osamotniony, zjątrzony wewnętrznemi w emigracyi rozterkami, stęskniony do ojczyzny i wzdychający do powrotu, a więc łatwo podający się lada nadziei i podżeganiom sprzysiężeń cudzoziemskich, z drugiéj znów strony, jeśli mniéj sumienny, w przekonaniu, że pod tarczą bezimienności wszystko mu ujdzie, że pogłoska przezeń rozszerzona sprawi zamierzony skutek, nim się z tak daleka jéj fałszywość odkryje, że redaktor w pośpiechu nie zrozumie, a zatém nie usunie jego pocisków, zmyśleń i igraszek, — dozwala on sobie lekkomyślnych a często i występnych wybryków, które tylko zawsze baczna, surowa, a nawet podejrzliwa kontrola redakcyi utrzymać na wodzy zdoła.

Nauczeni długiem doświadczeniem, ośmielamy się przedstawić w tym przedmiocie redakcyom niektóre prawidła: 1°, Nie przyjmować za korespondenta pierwszego lepszego ochotnika, ale wybierać z pomiędzy znanych już i poważnych ludzi, niezawikłanych w stronnictwa i rozterki emigracyjne; — 2°, Nie dozwalać korespondentom aby występowali raz bezimiennie, drugi

raz pod swém własném nazwiskiem, albo jednocześnie pod kilku odmiennemi znakami pisywali, albo wreście zmieniali raz przyjęty znak na inny, skoro im wypadnie inną niż dotychczas popierać politykę; — 3°, Nie zaciągać do swéj służby korespondenta, który już do innego, lub do wielu innych dzienników pisuje, dogadzając każdemu według jego życzenia i koloru, a tym trybem nieznacznie własną swą politykę lub wiadomości jéj sprzyjające na całéj przestrzeni dziennikarstwa rozpowszechniając; — 4°, Zastrzedz sobie, że ilekroć zdarzy się korespondentowi jaką fałszywą wieść podać, będzie jego najnaglejszym obowiązkiem odwołać ją, przyznać się do winy, i dla wynagrodzenia pokrzywdzonym przytoczyć wszystkie szczegóły i dokumenta dowodzące jéj fałszywości; — 5°, Jeśli redakcya spostrzeże że korespondent zawsze na tę samą uderza osobę, niech zabroni mu o niéj mówić, a postara się o innego w tym przedmiocie sprawozdawcę.

Te prawidła, do których moglibyśmy wiele innych dołączyć, dadzą się poniekąd zastosować i do korespondentów pisujących z jednego działu Polski do drugiego. Zwracając się teraz do samych redakcyi, pozwolimy sobie jeszcze im parę przedstawić uwag.

A najprzód należałoby się raz pozbyć tych czczych frazesów lub nazw obraźliwych, które niczego nie dowodzą, a polemikę zaostrzają, i ogółowi nie dają dostrzedz rzeczywistości. Nie godzi się naprzykład żadnemu dziennikowi odmawiać swym przeciwnikom dobréj wiary, sumienia, patryotyzmu. Szkodą i ohydą jest dla wspólnéj sprawy, wołać za lada uchybieniem: *Zdrada, Odstępstwo, Targowica!* Przeniewierców, chwała Bogu, bardzo mało mamy. Poznasz ich po zyskanych honorach i dobytkach. Nikt się nieponiża za darmo, a woluntaryusz podłości jest raczéj wymysłem dowcipu niż osobą rzeczywistą. Jeżli małe przewinienia będziem zaraz tak srogo karać, jakież nam piętno zostanie na wielkie? Cóż dopiero powiedzieć o tych, którzy swych antagonistów dobijają wyklęciem: *Przestaliście już być Polakami.* Moskwa w nas wmawia, żeśmy nie Polacy, Rusini wypierają się nas, Niemcy wyrachowali że już nas tylko parę milionów, cóż zostanie, jeśli jedni drugich będziemy z narodu wykluczali? Cóż znowu znaczy, tak często u nas używane wyrażenie: *Naród jest za nami.* Choćby mowa była o większości, któż wie za czém ona jest, kto ją zdoła policzyć? Jedni mogą mieć za sobą ludność miejską, drudzy mają włościan. Ci u nas dotąd ogromnie tamtę przeważają. Ztąd też w Polsce *lud* oznacza włościan, kiedy we Francyi przez *le peuple* każdy w potocznéj mowie rozumie rzemieślników i w ogóle tam tak liczną ludność miejską. Wypadałoby także w dziennikach mniéj przemawiać do strony uczuciowéj patryotyzmu, a więcéj do rozumu politycznego. Zostawmy tamtę naszym wieszczom i powieściopisarzom. Nic łatwiejszego jak na zarzut odpowiedzieć sromotnem przezwiskiem, na argument wyklęciem albo zaklęciem w imie ojczyzny, na gorzką prawdę podchlebieniem próżności narodowéj, na zdrową radę pociskiem podejrzenia. Arsenał steryotypowanych formułek liberalnych i komunałów patryotycznych stoi dziś każdemu otworem, ale jako skład téj staréj, zardzewiałéj broni, która może rekrutom posłużyć do parady, do pierwszych ćwiczeń, do pozornéj wojny, lecz w rzeczywistéj walnéj bitwie na nic się nie zda, chyba na to aby pęknąć z hałasem i ranić rękę, co nią włada.

Przedewszystkiém prawda, najsumienniejsza prawda powinna się stać godłem naszego dziennikarstwa. Ostatnie powstanie, które zadało nam jeszcze większą klęskę moralną jak materyalną, między tylu innemi potwornemi nowościami przyjęło i tę, że należy zwalczać wroga całym przyborem, którego on sam przeciw nam używa. Podniesiono więc kłamstwo do godności środka politycznego. Podwójny przeto obowiązek spoczywa teraz

na dziennikarstwie, aby polskiemu słowu wiarę przywróciło. Nawet mówiąc o bezprawiach naszych ciemiężycieli, chrońmy się najmniejszéj przesady. Sama naga rzeczywistość już jest aż nadto straszliwą. Każde powiększenie ich winy zostanie przez nich pochwyconem jako dowód, że cały ogrom ich zbrodni jest naszym tylko wymysłem, a przeciwnie każdą z naszéj strony powściągliwość pod naciskiem krzywd tylu, poczyta nam Europa za dowód naszéj rzetelności i dojrzałości politycznéj.

Na zakończenie przypomnieć nam jeszcze należy, znane wszystkim, a przecież nie w zupełności dotąd w naszém dziennikarstwie wykonywane prawidła: Nierozszerzać niedostatecznie sprawdzonych wiadomości, choćby te naszym zamiarom najbardziéj dogadzały; — skoro się one okażą fałszywemi, odwołać je z taką szczerością i przyciskiem, jak gdybyśmy z nas samych niecnie zarzuconą nam zbrodnię zmywali; — nie nakręcać wypadków do naszych celów, nie ujmować z ich opisu tego, co się nie składa w obraz nam pożądany, nie przemilczać zdarzeń nam nieprzyjaznych; — w polemice przytaczać całe zdanie przeciwnika, nie wyrywać pojedyńczych wyrażeń, nie podchwytywać słów niezgrabnie lub przez widoczną pomyłkę w pośpiechu nakreślonych, — dla ułatwienia sobie odporu, nie przesadzać zarzutów nam czynionych, ten co ostrzega drugiego że się nie ostrożnie z ogniem bawi, nie mówi jeszcze że jest podpalaczem, — umieszczać odpowiedzi wywołane naszém wystąpieniem, stawiać się zawsze na stanowisku przeciwnika, rozumieć go jak on pragnie być zrozumianym, — nie zbywać milczeniem niczego i nikogo, — nie ciskać posądzeń i podejrzeń na domysł, — nie uciekać się do wymówki, że przez ogłoszenie wieści ubliżającéj komu, podaje mu się sposobność okazania jéj fałszywości, gdyż to byłoby zadawać komu ranę, dla tego aby miał potém przyjemność wyleczenia się; — zgoła niech będzie hasłem naszego dziennikarstwa, jak Anglik mówi: the truth, the whole truth, and nothing but the truth.

Mniemamy że napomknięte tu wady, lubo gdzieniegdzie w naszém dziennikarstwie spostrzegać się dają, nie wnikły tak jeszcze w jego organizm, aby się wykorzenić nie dały. Sanabilibus laboramus malis.

Dziennikarstwo coraz wyłączniéj zabiera miejsce piśmiennictwa. Dziennik wydziedziczył książkę z prawa zajmowania ogółu poważną myślą lub wzniosłém uczuciem. Na spadkobiercy więc, który odzierżył taki nabytek przypadkiem, ciąży tém większy obowiązek utrzymania go na wysokości jego początków i przeznaczeń. Straciliśmy już tyle skarbów, nagromadzonych pracą i dzielnością przodków naszych. Zachowajmy przynajmniéj godność, rzetelność i czystość słowa polskiego.

Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu, ulica Berlińska Nr. 32.

Nakładem Redakcyi.